

SARA GRANT

Neva



Moim rodzicom – w podziękę za to,
że nauczyli mnie, iż marzenia nie mają granic.
I mojemu mężowi Paulowi w podziękę za to,
że dał mi skrzydła

gola

BARA GRANT

Tytuł oryginału
DARK PARTIES

Tłumaczenie
Ewa Spirydowicz

Redakcja
Elżbieta Stegłińska

Korekta
Bożena Dembińska

Skład i łamanie
Włodzimierz Ferdek


Printed in EU

Copyright © 2011 by Sara Grant
Copyright © for the cover by Zero Media GmbH & Co. KG

Copyright © for the Polish edition and translation
by MAK Verlag GmbH, Bremen 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone.

ISBN: 978-3-86380-004-8

 jest marką wydawniczą MAK Verlag GmbH

MAK Verlag GmbH
Birkenstrasse 15 • D-28195 Bremen

Napisz do nas:
kontakt@makverlag.eu

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:
www.makverlag.eu

Rozdział 01



Stoję w ciemności; nie w pastelowej szarości zmierzchu,
nie w miękkiej czerni księżycowej nocy, ale w smolistej
czerni. Serce szamocze mi się w piersi jak ptak w szklanej
klatce.

Macham dłonią przed oczami. Nic nie widzę. Nie wie-
działam, że może być aż tak ciemno. Czuję, że zlewam
się z atramentową czernią wokół mnie. Ojciec w końcu
byłby ze mnie dumny. Wtopiłam się w tło.

Ktoś dotyka mojego łokcia. Reaguję nerwowo.

– Jestem przy tobie, Nevo. – Ethan. U mojego boku, jak
zawsze. Jest, ale zarazem go nie ma. Szukam go po omacku:

bark, szyja, twarz. Zsuwa moje palce na swoje usta, całuje je. – Chodź ze mną. – Czuję jego słowa na palcach, czuję jego ciepły oddech, pieszczotę ust, gdy szepcze. Ciągnie mnie na podłogę. Wszystkie komórki mojego ciała płoną oczekiwaniem. W tej ciemnej nicości wszystko jest możliwe. Może odnajdziemy z Ethanem to, co utraciliśmy. Może wtulona w niego będę tylko czuć, nie myśleć, nie patrzeć. Ale wszyscy postanowiliśmy: żadnego seksu. Nie tylko dzisiaj, w ogóle, dopóki nie nabierzemy pewności, że nie urodzimy następnych, takich samych jak my.

Oddycham głęboko: powolny wdech i wydech. Oczyszczam umysł i przesuвам się w stronę poduszek, które wcześniej tego popołudnia ułożyliśmy w jednym kącie pokoju. Staram się nie przywoływać wspomnień, bo w ten sposób przekreślę sens całej imprezy. Ciemność ma być ucieczką, ale jestem zakładniczką strachu. Ilekroć gasną światła, strach chwyta mnie za gardło. Pocę się, skóra mnie piecze jakby była poparzona. Mam dosyć ciągłego strachu. Zrobię to.

Naprawdę.

Zaciskam zęby, staram się nie zwracać uwagi na szum krwi w uszach.

No, rusz się.

Potykam się o czyjeś stopy. Buty ze spiczastymi noskami. Braydon Bartlett. Oczami wyobraźni widzę czerwoną skórę kowbojskich butów. Właśnie tak postrzegam innych. Filtruję ich za pomocą charakterystycznych cech, którymi się wyróżniają. Braydon zawsze nosi te buty, lśniące, gładkie, wyglądają na nowe. My wszyscy nosimy

niemal wyłącznie buty po kimś, zniszczone, naznaczone śladami poprzednich właścicieli.

Niepotrzebnie go zaprosiliśmy. Co prawda ma dobre nazwisko, wywodzi się w prostej linii od jednego z ojców-założycieli, ale jest w nim coś, co budzi moją nieufność. Ale najlepsza przyjaciółka mnie błagała, moja najlepsza przyjaciółka z gojącą się blizną, z różowym S na policzku. Opiekunom powiedziała, że to był wypadek, ale ja widziałam, jak nanosiła szkiełką, zanim wycięła literę S na swoim policzku.

Niepotrzebnie to zrobiła. Policja zwraca baczniejszą uwagę na osoby ze znakami charakterystycznymi. Ale taka już jest Sanna.

Przesuвам się dalej i potykam o jej bose stopy. Sprzeciwia się wszelkim ograniczeniom, butom także.

– Przepraszam – mówię. Odsuwa się ode mnie i szepcze coś do Braydona. Po chwili słyszę ciche cmoknięcie. Dobrze, że jest ciemno i nie muszę na to patrzeć.

Przesuвам dłonią po podłodze.

– Tędy – mówię do Ethana. Dotyka mojej kostki. Przesuвам się razem. Ciemność sprawia, że czujemy się, jakbyśmy byli sami, ale tak nie jest; moi przyjaciele zebrali się tu na mały eksperyment.

Planowaliśmy to od wielu tygodni. Mroczna impreza. Ostatni bunt, zanim staniemy się szacownymi obywatelami. To kolejny wspaniały pomysł Sanny. Chcemy się przekonąć, kim naprawdę jesteśmy, bez użycia zmysłu wzroku.

Eatwo uwierzyć że jesteśmy tacy sami, bo jesteśmy bardzo podobni fizycznie. Sanna twierdzi, że tylko po ciemku

poznamy prawdę, ale ja nie jestem taka pewna. Ciemność czyni niewidocznym.

Sanna chciała, żeby impreza odbyła się u mnie. Mroczna impreza w domu ministra historii starożytnej. Tym sposobem wszystkich na nią namówiła. Im większe ryzyko, tym lepsza zabawa.

Znam tych ludzi niemal od dziecka, ale to przyjaciele Sanny. Nie ufają mi, nigdy mi nie ufali. Jestem córką ministra historii starożytnej; winna z założenia.

Sanna namówiła wszystkich, żeby włączyli się w organizację imprezy. Nicoline przyniosła czarne plastikowe worki. Ethan – ręczniki, które ułożyliśmy pod drzwiami. Brat Sanny dał jej trzy rolki taśmy klejącej. Nigdy nie pytamy, jakim cudem zdobywa to, czego potrzebujemy.

Godzina minęła, zanim odcięliśmy wszelkie źródła światła w moim pokoju. Zasłoniliśmy okna czarnymi workami. Zgasiliśmy światło. Po kilku minutach wzrok przywykł do ciemności i widzieliśmy się w odcieniach szarości. Za jasno. Szczelniej zasłoniliśmy okna.

Ale nadal widoczne były zarysy postaci. Malutka czerwona dioda na zapasowym generatorze zdawała się oświetlać cały pokój. Wyłączyliśmy generator. I tym razem, gdy zgasło światło, otoczyła nas idealna, cicha ciemność.

Teraz słyszę szmer szeptów i odgłosy wydawane przez splątane ciała.

Może popełniliśmy błąd. Liczyliśmy, że w ciemności zdołamy się odnaleźć, a tymczasem igramy z postanowieniem o życiu w celibacie.

W końcu docieramy z Ethanem do poduszek w rogu. Leżymy obok siebie, dotykamy się łokciami i kostkami, ale wydaje się, że Ethan jest setki kilometrów ode mnie.

Ciemność zakrada się mi pod skórę lodowatymi palcami, ale się bronię. Usiłuję odepchnąć wszelkie wizje i obrazy. Nie myślę o kolorze powłóczki czy dziurach w koronce na falbanie. Wystarczy jeden malutki obraz, by wywołać lawinę. Najpierw widzę salonik, a w nim sfatygowaną kanapę obitą skórą, kominek ze sztucznymi płomieniami, półki pełne książek historycznych o treści zgodnej z oficjalnymi wytycznymi. A teraz wznoszę się jak balon i widzę cały kwadratowy murowany domek, jeden z wielu takich samych w tej okolicy. Wzbijam się coraz wyżej i widzę zielono-szare place Miasta, zwielokrotnione po tysiąckroć, tworzące Kraj. Odpycham ten obraz, wracam w ciemność.

Przeszywa mnie dreszcz.

– Już dobrze – mówi Ethan, obejmuje mnie i nie wiadomo dlaczego, od tego robi mi się jeszcze zimniej. Moje oczy pragną kolorów, kształtów, ale otaczająca mnie ciemność zdaje się gęstnieć. Odwracam się i opieram na łokciu, twarzą do niego. Nie myślę o imieniu, bo imię przywoła obrazy, o których chcę zapomnieć. Jego skóra jest koloru herbaty z mlekiem, którą pijemy. Jego uszy mają ten sam kształt co uszy mojego ojca. Jego krótkie brązowe włosy są niesforne, falujące, jak nas wszystkich. Za każdym rogiem, co chwila, widzę siebie, jakbym żyła w labiryncie luster.

Babcia opowiadała mi o czasach, gdy wszyscy byli różni. To było dawno, dawno temu. Te opowieści o życiu

poza kopułą, przekazywane szeptem... wtedy jeszcze wolno nam było wychodzić na zewnątrz i wracać. Do dziś widuję ją codziennie, choć odeszła już dawno.

– Dawno temu, moja śnieżynko – opowiadała – ludzie byli cudownie różni. Każdy był inny. – Chichotałam, ilekroć to słyszałam. – Ale bardzo trudno jest być innym i równym. – I tu opowiadała przedziwne opowieści o wojnach spowodowanych różnicami – religijnymi, kulturowymi, rasowymi. – Odziolowaliśmy się. I każde następne pokolenie jest do siebie coraz bardziej podobne. – Babcia łamała jeden z wielu niepisanych zakazów. Według wersji oficjalnej przed terrorem i zamknięciem kopuły nie istniało nic, podobnie jak nic nie ma poza kopułą. Kazała mi obiecać, że nikomu nie powtórzę tych opowieści.

– Ale co w tym złego, że mi mówisz? – zapytałam i przytuliłam się mocniej.

Pogłaskała mnie po głowie.

– Jesteś inna. – Jej słowa laskotały mnie w ucho; zawsze mówiła je z bardzo bliska, jakby to była tajemna przepowiednia.

Tylko ja ją pamiętam. Jednego dnia układała mnie do snu, a następnego wszelki ślad o niej zaginął. Nawet jej syn, a mój ojciec, nie wypowiada jej imienia.

– Neva – szepcze Ethan i wracam do rzeczywistości. Opieram głowę na jego piersi i słyszę rytmiczne bicie jego serca, rytm, który tak dobrze znam. Obie z Sanną zaklinamy go, żeby zrobił sobie znak charakterystyczny, ale mówi, że mu nie wolno. Mój jeszcze się goi po nakłuciach

igłą; jest czerwony. Sanna pomogła mi go zrobić w dolinie między żebrami a biodrami. Malutki płatek śniegu opadający ku włosom łonowym.

Delikatnie przewraca mnie na plecy i nakrywa sobą. Całujemy się, jakbyśmy to planowali. Przyciągam go bliżej i bliżej. Zmuszam się, by reagować jak dawniej. Czas przestaje istnieć. Ethan błądzi dłońmi po moim ciele. Oddycha szybko, płytko. Udaję, że nadal go kocham. W tej pustce czuję się jeszcze bardziej osamotniona.

Ktoś chrząka. Sanna, wiem, że to ona. Ogarnia mnie kolejna fala paniki. Więc naprawdę to zrobi. Rozmawialiśmy o tym od wielu tygodni. Ten wspólny sekret pozwala nam nie zwariować, ale to nie to samo co wagary czy ufarbowanie szkolnych beżowych szat na różowo. Rząd mógłby nas zlikwidować, jak jej ojca i moją babkę, za czyny niepatriotyczne. Muszę ją powstrzymać. Siadam, zderzam się czołem z Ethanem.

– Au – jęczy i zaraz zniża głos do szeptu. – Co się dzieje?

– Przepraszam, Ethan. – Muszę znaleźć Sannę. Myliłyśmy się, licząc, że w ciemności zdołamy się odnaleźć. Może mylimy się, licząc, że zdołamy cokolwiek zmienić. – Zaraz wracam. – Wstaję, poruszam się po omacku. Gubię się. W ciemności nie ma punktów orientacyjnych. Góra to dół, prawo to lewo. Coś ścisza mnie w piersi. Ciemność mnie przytłacza. Oddycham z trudem.

– Uwaga! – Sanna. Już za późno. Każde uderzenie serca roznosi się echem w całym ciele. – Przepraszam, że przerywam... cokolwiek robicie. – Mówi cichym, przeprasającym głosem, jakby chciała, by był

nierozpoznawalny. – Mam wam coś do powiedzenia. – Razem zdecydowałyśmy, że to ona będzie mówić. I bez tego jest mi trudno w ciemności, zresztą i tak sporo ryzykuję, organizując tę imprezę w domu. Tata dostałby szału, gdyby się dowiedział. Nie akceptuje nawet najmniejszej wzmianki o tym, że Kraj nie jest idealny.

Mama obiecała, że zatrzyma go dzisiaj poza domem. Myśli, że urządzam imprezę z okazji ukończenia szkoły. Nie powiedziałam jej o naszych planach. Nikomu nie powiedziałam.

– Mamy szesnaście lat. – Sanna robi pauzę, wszyscy wiwatują. Przytłacza mnie to, co zamierzamy zrobić. – Mówią nam, że już jesteśmy dorośli. – Skupiam się na Sannie, staram się opanować. Słyszę delikatne drżenie w jej głosie. – Czas, żebyśmy się sprzeciwili. – Spodziewaliśmy się w tym momencie entuzjastycznych okrzyków, ale w pokoju panuje śmiertelna cisza. – A więc dobrze – mówi, jakby do siebie. Cisza się przeciąga. – Kopuła nas zabija – wybucha Sanna.

Ktoś sapie. Takich rzeczy nikt nie mówi na głos.

Jej słowa wiszą w powietrzu jak kryształy spragnione słońca.

– Wszyscy o tym wiemy. Rząd pozbawia nas przyszłości. Jest coraz mniej możliwości. Mniej surowców. Oklamują nas co do świata zewnętrznego i trzymają w zamknięciu. Musimy coś zrobić.

Puchnę z dumy. Szkoda, że sama nie jestem taka odważna.

Sanna jeszcze nie skończyła.

– Zostańcie z nami, jeśli chcecie walczyć i zmusić ich, by otworzyli kopułę. Mamy prawo wiedzieć, co jest na zewnątrz. Mamy prawo mieć przyszłość.

Moja babcia wierzyła, że poza kopułą nadal istnieje życie. Świadomość, że za tą ogromną zaporą elektryczną jest inny świat, jest dla mnie jak wiara w życie po śmierci. Bardzo chcę uwierzyć.

– Kto nie chce się do nas przyłączyć, powinien już wyjść. – Liczyliśmy, że anonimowa ciemność wystarczy, a jednak czuję się obnażona. – Mam nadzieję, że ci, którzy nie chcą albo nie mogą, co doskonale rozumiem, będą trzymali buzię na kłódkę.

Słyszę, jak ktoś się porusza. Czekam, aż mnie minie, ale nie drgnie. Macham dłońmi przed twarzą jak ślepiec bez laski. Nasze palce dotykają się i nagle ten ktoś znajduje się w moich objęciach. Myślę, że to Ethan, czuję jego palce na szyi, i niżej, na naszyjniku – płatku śniegu między piersiami. Czuję drugą rękę na karku, delikatnie odchyła mi głowę do tyłu. I całuje, nie delikatnie i słodko jak Ethan, ale namiętnie, gorąco. Obejmuje mnie silnymi ramionami. Przywiera do mnie całym ciałem, a mnie ogarniają pragnienia, których jeszcze nie znałam. Usiłuję się odsunąć, ale nie przestaje mnie całować, tylko obejmuje mocniej. Przywieram do niego i całuję do utraty tchu. Jeszcze nigdy nie doświadczyłam takiej pełni życia. Powinnam przestać go całować, ale wciąż całuję. I jeszcze raz.

Ktoś nas potrąca. Ludzie wychodzą, ale nie mnie to nie obchodzi. Po raz pierwszy od dawna czuję, że moje życie mogłoby być inne, że ja mogę być inna.

Puszczam go z wahaniem. Na miękkich nogach osuwam się na podłogę.

Mija mnie i jego but muska moją dłoń. Wyczuwam charakterystyczną gładkość skóry i kształt. Kowbojki Braydona.

Podnoszę rękę do ust. Braydon?

Dzwoni budzik – to koniec imprezy.

Sanna, zgodnie z planem, zapala światła. Blask oślepia mnie na chwilę.

Pokój jest niemal pusty – koło dziesięciu osób patrzy na siebie niepewnie.

Braydon obejmuje Sannę. Zerka na mnie. Uciekam wzrokiem.

Dlaczego po ciemku całował nieznajomą? Wie, że to bylam ja?

Rozglądam się w poszukiwaniu Ethana, ale go nie ma. A liczyłam, że jednak zostanie.

Nie mogę jednak tyle od niego wymagać. Dawny Ethan zostałby ze mną, ale ten Ethan poddał się i pogodził z przyszłością, jaką zaplanował dla nas rząd.

Sanna tłumaczy małej grupce rewolucjonistów, gdzie i kiedy spotkamy się następnego dnia.

Mam wrażenie, że światło mnie obnażyło i wszyscy widzą zdradę wrytą na mojej skórze. Zdradziłam ojca, najlepszą przyjaciółkę i Ethana.

– Idźcie, zanim wrócą moi rodzice – mówię i patrzę na wszystkich, tylko nie na Braydona.

Bo teraz ciemność gęstnieje we mnie.

Rozdział 02



W rogu mojego pokoju świeci nocna lampka – kryształowy płatek śniegu. Ścieli się na suficie trójkątami światła. Nie mogę zasnąć. Cały czas wracam myślami do wcześniejszych wydarzeń – do pocałunku i deklaracji Sanny.

Jakbym podpaliła lont i czekała na wybuch.

Wyjmuję pamiętnik spod poduszki. Jego okładka ma barwę spłowiałego rózu. Dwa podłużne pęknięcia jak nierówne blizny odsłaniają brązową fakturę pod okładką. Plastikowa obwoluta łuszczy się i kruszy, odpada płatami jak sucha, łuskowata skóra. Trzeszczy, gdy otwieram książkę. Muskam palcem moje nazwisko wypisane

po wewnętrznej stronie okładki. To babcia je tam napisała, ostatnie w kolumnie wytartych nazwisk. Z dziennika wydarto niestarannie plik kartek. Tak łatwo usunąć cudze sekrety. Papier jest szorstki, sztywny. Dostałam ten dziennik od babci w noc przed jej zniknięciem.

– Dziękuję – powiedziałam. Nie pojmowałam wtedy, co to jest. Miałam sześć lat i jeszcze nigdy nie widziałam książki z niezapisanymi kartkami. Uściskałam babcię, poczułam szorstkość jej garsonki ze sztucznego włókna. – Bardzo ładny.

– Proszę bardzo, śnieżynko – szepnęła, choć byliśmy same w moim pokoju. Pocałowała mnie w czoło. – Najlepiej będzie, jeśli go schowasz – dodała i wsunęła dziennik pod poduszkę.

Uśmiechnęłam się. Lubiłam tajemnice. Wtedy nie miałam zbyt wielu. Skinęłam radośnie głową i kosmyk włosów opadł mi na czoło. Założyła mi go za ucho i pogłaskała mnie.

– Kocham cię, Nevo – powiedziała. – Zapamiętaj, że bez względu na wszystko, bardzo cię kocham.

Pachniała płatkami róż. Objęła mnie i nie puszczała, aż zaczęłam się wyrывać, bo dławily mnie jej ciepło i zapach.

Pierwsza strona dziennika nadal jest czysta. Nawet jako sześciolatka doceniałam znaczenie kamuflażu. Gdyby ktoś kiedyś wyciągnął dziennik z kryjówek, może uzna, że dziennik jest niezapisany.

Co noc upycham go w materacu, wśród kłębków zbitej bawełny. Dziura w materacu już była, jakbym nie

ja pierwsza wpadła na taki pomysł. Nigdy nie jestem pierwsza.

Przekładam kartkę – oto strona, którą czytam co noc. Jest na niej nazwisko babci i dzień, w którym widziałam ją po raz ostatni. Zapisałam je dopiero wiele miesięcy później, gdy byłam już pewna, że babcia nie wróci. Zapisałam, żeby nie zapomnieć.

Mam wrażenie, że poza mną nikt o niej nie pamięta. Ale istniała, wiem to. Jako sześciolatka narysowałam ją – kółko z loczkami, wielkie, okrągłe oczy i szeroki uśmiech. I jakimś cudem to nadal jest ona.

Spisałam wszystko, co o niej pamiętam. Wraca do mnie – jakiś dźwięk czy zapach przywołuje wspomnienia i zaraz spisuję je w pamiętniku. Widziałam starszą siwą panią w turkusowym kostiumie i nagle przypominałam sobie, że babcia ubierała się podobnie. Uwielbiała żywe kolory – barwy były bardziej intensywne, gdy mogliśmy kupować nowe ubrania, a nie donaszać po kimś. Ubierała się na niebiesko, fioletowo, pomarańczowo i czerwono, nosiła kostiumy, przypinała do nich broszki, wielkie klipsy zasłaniały jej uszy.

Ponownie czytam listę. Ostatnią pozycję dodałam przed kilkoma tygodniami. Malowałam akurat usta domowej roboty błyszczkiem Sanny. Oblizalam wargi i mlasnęłam, i wtedy przypomniało mi się, że babcia robiła to samo, gdy malowała usta brzoskwinową szminką. Wciągała powietrze kącikami zaciśniętych ust. Nie umiałam tego powtórzyć, zapominałam już, jak szminka uromadziła się w zmarszczkach wokół ust.

Kolejnych kilka stron było czystych – liczyłam, że przypomnę sobie o niej coś więcej i ożywię blednące wspomnienia.

A dalej jest lista zaginionych. Słowa napisane kościanym dziecięcym pismem: Maud Rikker, pani kucharka z ukruszonym zębem, Tommy Donovan, Lukas Freely, pan w brązowym garniturze, który co weekend odwiedzał tatusia, Jemma Johnson. Lista zajmuje wiele stron. Piszę bardzo ciasno. Do nazwisk dochodzą daty zaginięć, nawet gdy nie znam nazwiska danej osoby.

Kiedy zapytałam o Maud Rikker, tata powiedział, że umarła. Miała sześćdziesiąt lat. Szukałam nagrobka na cmentarzu koło kościoła, ale nie znalazłam. Jemma Johnson była w moim wieku. Siedziałyśmy razem na lekcjach pani Powell. Nigdy nie wróciła z wakacji. Mama usiłowała mi wmówić, że cała rodzina przeprowadziła się na północ.

Czasami popełniam błędy. Kilka tygodni temu zauważyłam zniknięcie faceta z kościoła, który śmierdział serem i zawsze częstował mnie miętówkami. Okazało się, że pojechał z wizytą do córki. Przekreślałam więc jego nazwisko długą, prostą linią i piszę „odnaleziony” wielkimi, wyraźnymi literami, obrysowuję je kilkakrotnie, ale sztywny papier nie ustępuje pod naciskiem pióra.

Ponownie czytam ostatnią stronę: Megan, Abbey, Tamryn, Jill, Madeline, Vanessa, Kelley, Morgan, Victoria, Molly. Wszystkie mniej więcej w moim wieku. Megan i Victoria skończyły szkołę kilka lat przede mną. O Madeline i Kelley powiedziała mi Sanna, choć twierdzi,

że przeprowadziły się na drugi koniec miasta. Tamryn pracowała w kawiarence przy naszej ulicy. Molly to córka jednej z przyjaciółek mamy. Nie widziałam jej od dawna. Kiedyś dodawałam nowe nazwisko do listy co kilka miesięcy, teraz niemal nie ma tygodnia bez nowego wpisu. Przyciskam dłoń do kartki, jakbym w ten sposób mogła zapobiec temu, że ze strumyka nazwisk robi się rzeka.

Tylko Sanna wie o istnieniu tej listy. Jakimś cudem znikają wszyscy, których kocha. Jej mama zmarła, gdy Sanna miała osiem lat. W tym przypadku wiadomo przynajmniej, co się stało. Kilka lat później zniknął jej ojciec i wtedy Sanna i jej brat musieli zamieszkać z opiekunami, państwem Jones. To dobrzy patrioci, ich przodkowie zginęli w czasach terroru. Kilka lat temu brat Sanny zszedł do podziemia. To taki zbuntowany anioł stróż, który nad nią czuwa.

Bawię się wisiorkiem w kształcie płatka śniegu. Noszę go, żeby mi przypominał o babci i innych zaginionych. Policjanci nie zabrali naszyjnika, bo go nie znaleźli. Kiedy konfiskowali moją kolekcję filmową i wszystko inne, co dostałam od babci, ukryłam go w ustach.

Następnego ranka, gdy mama i tata wrócili z... z miejsca, do którego zabrali ich policjanci, zachowywali się jak gdyby nigdy nic. Zapytałam mamę o babcię. Udawała, że nie wie, o kim mówię. Zapytałam tatę – wyszedł z pokoju. Od tej chwili babcia zniknęła z mojego życia. Przynajmniej oficjalnie – bo żyje w moich wspomnieniach.

Słyszę zgrzyt klucza w drzwiach wejściowych. Rodzice wrócili. Zamykam książkę i się kładę. Jeśli mama zobaczy,

że jeszcze nie śpię, będzie chciała wiedzieć, jak się udała impreza, i co jej powiem? Że całowałam się z chłopakiem najlepszej przyjaciółki i zламаłam prawo? Ogarniają mnie wyrzuty sumienia.

Wyjmuję kłębkę bawełny z materaca, wciskam pamiętnik do środka i otulam się koldrą. Czasami wydaje mi się, że wyczuwam pod sobą jego zaokrąglone rogi. Pod pewnymi względami jestem chyba podobna do taty, spisuję historię, żeby nie zapomnieć. Ale to już nie wystarczy.

Rozdział 03



Następnego dnia wstaję wcześniej i spotykam się z Sanną przy grobie jej mamy. To jedno z naszych sekretnych miejsc, gdzie umawiamy się, gdy nie chcemy, by ktoś nas zobaczył i usłyszał. Schodzę ze wzgórza na przykościelnym cmentarzu. Większość ludzi boi się chodzić po grobach. Ja nie. Wyobrażam sobie, że ci pod ziemią dzielą się ze mną swoją mądrością. Chcą, by ich zapamiętano. Czytam napis na każdym nagrobku. Odejmuję datę urodzin od daty śmierci. Liczby są coraz niższe.

Najstarsza pochowana osoba miała sześćdziesiąt dwa lata. Widzę także coraz więcej malutkich dziecinnych

nagrobków. Idę na palcach. Mama poroniła czterokrotnie, zanim pogodziła się z faktem, że zostanie jedynaczką. Nasze cmentarze zapelniają się zbyt szybko, ale nikt o tym nie mówi. Słyszałam, że rząd potajemnie pali zwłoki, chcąc zataić fakt, że populacja maleje.

– Dzień dobry, pani Garcia. – Siadam na grobie mamy Sanny. Umarła w pogoju, ale po zmarłej siostrzyczce Sanny nie ma nawet śladu. Już nie grzebie się dzieci, które mają mniej niż rok.

Układam się koło grobu i podziwiam widok. Słońce załamuje się na kopule, która lśni jak niebo pełne cyrkonii. Po raz pierwszy zobaczyłam, tak naprawdę zobaczyłam kopulę, gdy miałam osiem lat i wybraliśmy się na wakacje niedaleko granicy.

Tata zatrzymał samochód, machnął strażnikom przed nosem identyfikatorem i dalej poszliśmy pieszo. Chciał, żebym była dumna z naszego dziedzictwa.

Przeszliśmy jeszcze ponad kilometr, zanim zobaczyliśmy tablice ostrzegawcze. Kiedy jest się tak blisko, widać krawędź poszczególnych trójkątnych paneli kopuły. Tata wyprostował się, oparł ręce na biodrach. Patrzył w niebo, jakby podziwiał grę światła na kopule. Spojrzałam na popękaną, suchą ziemię upstrzoną ciałami martwych zwierząt. Tata wyjaśnił, że zwierzaki nie zawsze widzą kopulę, podobnie jak ptaki nie zawsze widzą szyby. I jeśli w nią uderzą, giną porażone prądem. Tata chciał, żebym dostrzegła w tym oznaki postępu i rozwoju technologicznego. Ja widziałam jedynie przezroczystą klatkę i gnijące ciała zwierząt.

Do dzisiaj mam dreszcze na to wspomnienie. Wtedy po raz pierwszy poczułam się jak w pułapce. Wtedy obawiałam się, że kopuła eksploduje albo zawali się i zabije nas wszystkich jak te biedne zwierzaki. Teraz mam wrażenie, że zabija nas powoli. Brat Sanny mówi, że to genetyka, że jesteśmy zbyt podobni do siebie. Mówi, że to chów wsobny. Mamy zbyt podobne geny i to nas osłabia. Ale rząd uparcie utrzymuje, że kopuła nas chroni, nie więzi.

– O Boże! – krzyczy Sanna od strony kościoła. Nie zwraca sobie głowy powitaniem. Gdy z nią jestem, mam wrażenie, że coś się dzieje po raz pierwszy albo ostatni. Zbiega ze wzgórza, obszerną torbą pozszywaną z gałganek zamiatając nagrobki. – Cześć, mamo. – Sapie, gdy znajdzie się przy grobie. Siada u wezłowia i dotyka dłonią imienia matki.

Zachowuj się normalnie, powtarzam sobie, ale i tak czuję, jak po chłodnej skórze splywa mi pot. Widzę Sannę i myślę o Braydonie i naszym pocałunku, o poczuciu winy, które we mnie budzi. To był jeden spontaniczny pocałunek. Nie wiedziałam, z kim się całuję. Poniosło mnie. Anonimowość zawróciła mi w głowie.

Tak w każdym razie sobie wmawiam.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Sanna jest zarumieniona i zdyszana. – Braydon...

– Co? – Wstaję. Serce nagle bije mi jak szalone. Nie wiem, czy jest podekscytowana, czy załamana.

– Braydon powiedział...

Otwieram szeroko oczy. Sanna wie. Ale to przecież niemożliwe.

– Powiedział, że chce, żebyśmy byli razem na stałe. – Śmieje się. – I co ty na to? – Dotyka blizny na policzku, zniekształconej przez uśmiech. – To mój chłopak – oznajmia radośnie, śpiewnie, jakby z kpiną, ale wiem, że naprawdę się cieszy.

– Och. – Wypuszczam powietrze z płuc. Więc nie wie o pocałunku. Powinam poczuć ulgę, ale jej nowiny tylko potęgują poczucie winy, kładą się ciężarem na sercu. Jak on może w jednej chwili całować się ze mną i zaraz po tym mówić Sannie, że jest jedyna?

– Kocham go, Nev – mówi i przyciska torbę do piersi, jakby to był Braydon. – No wiesz, tak kiczowato, słodko kocham.

– Naprawdę? – Reaguję za szybko, prawie zła, że użyła słowa na „k”. – Na ilu randkach byliście? Na trzech? Z czego jedna po ciemku.

– Ale za to jaka! – Sanna rozplywa się w zachwycie. – Całowaliśmy się po ciemku. Istniał tylko ten pocałunek. Nie było kopuły, opiekunów, zakazów.

Ma rację. Ciemność usunęła wszystko inne. Braydona i mnie połączyło coś, co nigdy nie wydarzyłoby się w świetle dziennym.

– Nev! Mówię ci najważniejszą rzecz na świecie a ty masz głowę w kopule.

– Przepraszam. Bardzo się cieszę twoim szczęściem. Sanno, naprawdę – odpowiadam, ale nie mogę się zdobyć na entuzjazm, jaki powinna okazać najlepsza przyjaciółka.

Sanna to jedna z tych dziewczyn, które się chłopcom podobają, ale z którymi się nie umawiają. Ma w sobie

więcej pasji niż my wszystkie razem wzięte i to chyba onieśmiela chłopaków.

– Nev! – Uderza mnie torbą.

– Au! – Nie wiem, co tam ma, ale zabolalo. I dobrze; koncentruję się na bólu, nie na pocałunku z jej chłopakiem.

– Ja i Braydon, wyobrażasz to sobie?

Moja najlepsza przyjaciółka wreszcie ma chłopaka, a on całuje się ze mną. Co mam powiedzieć?

– Nie spiesz się. Nie chcę, żeby cię zranił. – Przez chwilę patrzymy sobie w oczy, ale zaraz odwracam wzrok.

– Tak, wiem, pewnie nic z tego nie będzie – mówi i opiera się o sąsiedni nagrobek. – To mezalians, nie mam właściwych genów.

Sanna to taki ludzki kundel. Żadne z jej rodziców nie pochodzi od ojców-założycieli. Nikt z jej przodków nie zginął podczas terroru.

– Jesteś dla niego zbyt dobra. – Dla takiego oszusta. – Dla niego i dla jego czerwonych butów.

Wyjmuje z torebki dwie jagodowe muffinki.

– Postaraj się go polubić. – Nagle poważnieje.

– Skąd zdobyłaś jagody? – pytam, chcąc zmienić temat. – Od lat ich nie jadłam. I dość cukru, by upiec muffinki?

– Częstuje mnie. Spisuję zaginionych ludzi, ale gdybym chciała wyliczyć rzeczy, których nam brakuje, nie starczyłoby mi miejsca: czekolada, baloniki, napoje gazowane, elektroniczne gadżety, które błyszczały, buczały, wibrowały.

Kiedyś mieliśmy sklepy z nowiutkimi rzeczami. Teraz mamy bazy, na których wymieniamy się rzeczami, które są wyblakłe i zużyte.

- Braydon zna kogoś, kto zna kogoś, kto... - Odgryza spory kęs ciastka. - Upiekliśmy je razem, dzisiaj rano. Czy to nie wspa-nia-łe? - Z jej ust wypadają okruszki, gdy mówi. Przedziela muffinkę na pół, i jeszcze raz.
- Czy wy... - Urywam. Nie chcę wiedzieć.
- Przecież obiecałam, może nie? - odpowiada po dłuższej chwili.
- To nie jest odpowiedź.
- Nev, wyluzuj, robiliśmy różne rzeczy, ale nie to. - Wsuwa sporą jagodę do ust.
- Jeśli już to... no wiesz... pamiętaj, żeby się zabezpieczyć. Bądź ostrożna, dobrze? - Wbijam wzrok w okruszki na dłoni.
- Ostrożna? - Niemal rechocze. - Zadbali, żeby ostrożność nie wchodziła w grę.
- Zawsze możecie użyć prezerwatywy. - Mój żołądek fika salto.
- Już nie. Mój brat mówi, że wycofują je ze sklepów. Podobno mają jakiś defekt. Kolejne kłamstwa.
- Co? - Dwa miesiące temu skończyły się zapasy tabletek antykoncepcyjnych. Podobno brak dostaw. Tak właśnie zatławiane są pewne sprawy. Bez wielkich deklaracji. Po prostu mamy coraz mniej możliwości, coraz bardziej ograniczony wybór ubrań, pracy, antykoncepcji. - Tym ważniejsze jest nasze ślubowanie.
- Wiem, wiem. Nie robimy tego. Nie jesteśmy głupi. - Uśmiecha się radośnie, głupiutko. - To nie jest łatwe.
- Ale warto - zapewniam. - Rząd nie może kontrolować wszystkich aspektów naszego życia.

- Tak, tak, jeśli chcą mieć więcej dzieci, niech sobie zbudują fabrykę mamusiek. Moja vagina nie pracuje dla rządu. Śmieje się, choć to wcale nie jest zabawne. Wydaje się, że rządowi zależy tylko na tym - więcej ludzi. Nieważne, że cierpimy i umieramy. Nie zależy im na myślących, świadomych obywatelach. Pragną ciał. Robotników. Tłumaczy, że więcej ludzi to więcej środków. Ponowne uruchomienie starych fabryk. Obsianie nieużytków rolnych.
- Życie to coś więcej niż narodziny i śmierć. - Urywa w połowie zdania, jak to ona, i gwałtownie zmienia temat rozmowy. - Wiesz, że on robi maski?
- Co? Kto?
- Braydon. Ma ich pełno u siebie w pokoju. Najróżniejsze. Z makulatury i innych materiałów. Robi odlewy ludzkich twarzy, a potem je fantazyjnie maluje. To prawdziwe dzieła sztuki, Nev. Miałam wrażenie, że pieścimy się przy świadkach.
- Dziwne. - Nie wygląda na artystę.
- Nie. - Sanna mnie poprawia: - Wspomniała. - Wyciąga nogi, porusza palcami u stóp.
- Skoro tak mówisz. - Wbijam zęby w muffinkę i rozkoszuję się cierpkim smakiem jagód. Jak może go kochać? Co o nim wie? Że robi maski i nosi czerwone kowbojki? Świetnie całuje, muszę to przyznać. Ale milczy. I to nie dlatego, że jest nieśmiały. To takie intensywne, niepokojące milczenie - jak w oku cyklonu.
- A wiesz, co jest najlepsze? - Rozgląda się czujnie dookoła. - Mieszka w wielkim domu za Miastem. No wiesz, na lewo, jak w squacie.

Mało brakowało, a udławiłabym się muffinką.

– Co? – Kaszle, chcąc wyrzucić kawałek ciastka, który utkwił mi w gardle. – To jeden z Bartlettów. Nie musi koczować w porzuconym domu. – Wycieram usta rękawem.

Znowu podnosi wzrok.

– Jego rodzice zaginęli. A ten dom jest naprawdę wspa-
nia-ły. Jakby jego właściciele po prostu sobie poszli. Jest
kompletnie umeblowany. W szafach są nawet ciuchy.

Kolejni zaginieni.

Ciekawe, co się z nimi stało.

– Co się dzieje z nimi wszystkimi?

Odlamuje kawałek ciastka i rzuca we mnie.

– Nie w tym rzecz, moja przyjaciółko. Najważniejsze,
że nikt go nie kontroluje. Poprosił, żebym została na noc,
i pomyślałam sobie: właściwie, czemu nie? – Dramatycz-
nie zawiesza głos. – I zrobiłam to, i było wspania-
le.

Braydon i jego nowe czerwone kowbojki zjawili się
jakiś miesiąc temu, bez żadnych wyjaśnień. Zresztą były
niepotrzebne, skoro miał na nazwisko Bartlett. Założyli-
śmy po prostu, że kazano mu się przeprowadzić do Mia-
sta jak wielu innym. Rząd najpierw nawoływał do łącze-
nia miejscowości na północy, teraz je zamykał i ich
mieszkańcy stałym strumieniem płynęli do Miasta. Jeśli
wierzyć plotkom, potem przyjdzie kolej na wschód i tak
dalej, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, aż wszyscy
znajdziemy się w jednym punkcie na mapie. Rząd tłumaczy,
że tak jest bardziej efektywnie, gdy ludzie mieszkają
w dużych skupiskach.

Ale ja wiem, dzięki strzępkom informacji, które zdo-
byłam i skleciłam w całość, że rząd po prostu nie stać
na zaopatrywanie mniejszych miejscowości w pod-
stawowe media, takie jak woda czy prąd. A poza tym
łatwiej nas kontrolować, gdy jesteśmy stłoczeni w jednym
miejscu.

– Co my właściwie o nim wiemy? – pytam. Powinna
wiedzieć, co to za chłopak, ale nie mogę jej tego powie-
dzieć. W żołądku mnie ściska. Braydon to dupek, bez
względu na to, jak ma na nazwisko.

– Wiem wszystko, co powinnam. – Sanna szturcha
mnie w ramię. – Nie możesz się cieszyć razem ze mną?

– Au! – Masuję bolące ramię, ale cieszy mnie ta kara.

– Cieszę się. – Naprawdę. No, tak jakby. Cieszę się, że
ma kogoś, kto ją uszczęśliwia. Tylko wolałabym, żeby
to był ktoś inny.

– Gotowa na dzisiaj? – pyta. Leży, wpatrzona w kopułę.

– Bardziej nie będę. – Układam się koło niej. Nie chcia-
łyśmy dawać ludziom czasu do namysłu, żeby nie stchó-
rzyli, więc nasza pierwsza akcja odbędzie się już dzisiaj
wieczorem. – Naprawdę to zrobimy?

Sanna kiwa głową.

– Będzie super.

– A jeśli nas złapią?

– Za dużo myślisz. Niby dlaczego tu siedzimy? – Całuje
litery imienia mamy. – Sorry, mamó. Musimy lecieć.
Musimy skompletować potrzebne składniki i brać się
do dzieła. – Mówi teraz do nagrobka. – Będiesz ze mnie
dumna.

– Myślisz, że cokolwiek zmienimy? Co może zrobić kilkoro nastolatków...

– Dorosłych – poprawia mnie.

– Dorosłych. – Śmieję się. To idiotyczne. Jednego dnia jesteśmy dziećmi. A potem dyplom i głupia ceremonia wystarczy, byśmy stali się dorośli.

– Musimy coś zrobić. Bo inaczej wylądujemy na cmentarzu szybciej, niż nam się wydaje.

Usiłuję wyobrazić sobie życie z niebem nad głową zamiast kopuły, ale nie potrafię.

– I właśnie za to cię kocham, Nev. – Wstaje, otrzepuje ubranie. – Ja chcę tylko, żeby coś się działo. Ty chcesz, żeby się zmieniło.

Tego chciałaby babcia.

Sanna pomaga mi wstać.

– Mamy dużo roboty. – Biegnie jak wiatr, wspina się na wzgórze. Sprawia, że zaczynam wierzyć w niemożliwe. – Na co czekasz? – woła, wymachując rękami.

Odpycham myśli o Braydonie i biegnę za nią.

Rozdział 04



Zdarzają się chwile, przeblyski, gdy wydaje mi się, że jestem stworzona do wyższych celów. Babcia powtarzała, że osiągnę wszystko, czego zapragnę, jeśli tylko się postaram. Ale to było, kiedy jeszcze sami mogliśmy wybierać sobie zawód, teraz decyduje o tym rząd. Babcia zasiała ten optymizm jak ziarenko. Teraz czuję, że wreszcie zaczyna kiełkować.

Sanna, pochylona nad wanną, miesza farbę. Rozciera kleistą maź kijem bejsbolowym brata. Kręci nim, uderza o metalowe ścianki wiadra. Pot spływa jej z czoła, skapuje z brody.

Siedzę na zamkniętej muszli klozetowej i wymyślam slogany.

– Bańka pęka – rzucam.

– Bańka pyk – podsuwa.

– Brzmi jak nazwa zabawki.

– No właśnie – odpowiada i znowu zaczyna ubijać, nie mieszać.

– Musi być krótkie, ale treściwe.

– Taka aluzja?

Kiwam głową. Od kilku tygodni usiłujemy wymyślić hasło i niemal od równie długiego czasu usiłujemy zgromadzić potrzebną farbę. Kupowałam chili i paprykę w małych ilościach na bazarze. Wszyscy wiedzą, że moja mama robi sałkę z naszych pomidorów ze szklarni, więc nie budziłam specjalnych podejrzeń. Brat Sanny załatwił nam trochę bardziej wyszukanych składników – olej i wapno. Bez niepotrzebnych pytań. Obie podkradłyśmy w domu skąpe tygodniowe racje chudego mleka. Powiem mamie, że nasze rozlałam. Sanna nie musi się tłumaczyć. Jonesowie przywykli już, że dzień w dzień zakłóca ich szczęśliwe życie.

Sanna zastyga bez ruchu.

– Potrzebne nam coś, co wywoła eksplozję myśli.

– Eksplozję myśli – powtarzam. Skąd ona to bierze?

– Coś, co będzie jasno mówiło, że kopuła nas zabija i że chcemy się wydostać.

Niemal wierzę, że to możliwe.

Dobrze – mówię. Szukam hasła.

– Otwierać ostrożnie.

– Wielkie otwarcie.

Śmiejemy się obie.

– Czas otwierać?

– Otwórz-zamknij.

Nie wiem, czy to ma sens.

– Czy nie chcemy mieć pewności, że wszyscy zrozumieją, że chodzi o kopułę? – pytam.

– No, tak. – Znowu miesza. Zanurza palce w farbie. Jej ręka jest czerwona, wygląda, jakby ociekła krwią. – Chyba już.

– Ale nadal nie wiemy, co napiszemy. – Zakładam kosmyk włosów za ucho i myślę o babci.

– Więc musimy coś wymyślić. Kiedy farba zastygnie, nie będzie się do niczego nadawała. – Sanna odkłada kij bejsbolowy i czerwone krople rozpryskują się na pośliskich kafelkach. Z stęknieniem podnosi wiadro, wyjmując je z wanny. Zaciąga zasłonę prysznicową i odkręca wodę.

– Nigdy więcej kopuły – mówię, gdy hasło nagle przychodzi mi do głowy. Nigdy więcej. Mamy dosyć życia w ciągłym strachu. Nie chcemy dłużej tej sztucznej osłony. Krótkie i treściwe.

Pochyla się nad wanną, jej ręce są niewidoczne za zasłoną, jakby wykonywała magiczną sztuczkę.

– Co to ma...

– Nigdy więcej kopuły – wymawiam hasło wyraźnie, starannie.

Sanna zaciera ręce. Cała drży. Czeka.

Odwraca się twarzą do mnie. Różowe krople spływają z jej palców na bezbarwne, popękane linoleum.

– Wspa-nia-le!

* * *

Choć film się jeszcze nie zaczął, siedzimy wpatrzeni w wielki ekran. Mamy bilety z datą i godziną – alibi doskonale. Tym sposobem mamy godzinę i czterdzieści trzy minuty, by zrealizować nasz plan i wrócić niepostrzeżenie do kina. Nasza grupka jeszcze się zmniejsza od wczoraj. Jest nas dziewięcioro. Mało, ale zawsze to początek.

Sanna wybrała jeden z ostatnich rzędów. Usiadłyśmy pośrodku. Braydon oczywiście zajął miejsce koło niej.

Staram się go ignorować. Widzimy się po raz pierwszy od tamtego pocałunku. Pochylam się odrobinę i zerkam na niego. Wygląda tak samo. Przeszywa mnie dreszcz na wspomnienie tego, co się wydarzyło. Chwyta moje spojrzenie. Uśmiecha się. Drżę coraz mocniej. Wciskam się w fotel, chowam za Sanną. Przysięgam sobie, że nigdy więcej o nim nie pomyślę.

Obok mnie siedzi Delia. Obgryza paznokcie. Obgryzając je w tym tempie, zostanie bez paznokci, zanim film się skończy. Mam ochotę powiedzieć jej, żeby przestała, ale nie chcę zwracać na nas uwagi.

– Gotowa? – szepcze Sanna.

– Chyba tak – odpowiadam, choć tak naprawdę wcale nie jestem gotowa. Pocałuj mi się ręce. Podzieliłiśmy się na pary. Po raz pierwszy tego dnia myślę o Ethanie. Chciałabym, żeby tu był. Nie dlatego, że za nim tęsknię, ale dlatego że zawsze przy mnie był. Neva i Ethan.

Jestem jak długopis bez papieru. Mydło bez wody. Dzwonił dzisiaj do mnie. Chciał się spotkać. Powiedziałam

mu, że jestem zajęta. Nie pytał, a ja nie tłumaczyłam. Udałoby się, że nic się nie stało, choć wiem, że wyczuwa przepaść między nami równie dobrze jak ja.

Umówiliśmy się na jutro rano. Jak zawsze.

– Ostrożnie – szepcze Sanna. Wyjmuje z torby plastikowe worki wypełnione farbą domowej roboty i podaje każde dwuosobowej drużynie. Torby pochodzą z kolekcji mojej mamy. Nie można ich już dostać, nie takie, grube, zamykane. Jeszcze nie wymyśliłam, w jaki sposób wytłumaczę zniknięcie czterech worków, które były w jej rodzinie od pokoleń.

Rozglądam się po sali kinowej. Tuzin wtulonych w siebie par. Czworo samotnych siedzących w różnych miejscach sali, wciśniętych w fotele, jakby nie chcieli, by ich zauważono. Grupa dzieciaków, trochę od nas młodszych, z przodu. Nie zrobiliśmy nic złego, jeszcze nie, ale mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje.

Sanna szturcha mnie łokciem.

– Przestań.

Zapada ciemność. Wstrzymuję oddech i staram się nie wpaść w panikę, czekając, aż ekran się rozjaśni.

Ze starych głośników płynie z trzaskiem muzyka, a na ekranie dwa młode, skąpo ubrane ciała przytulają się, całują, pocałuj, pieścisz. Rząd stworzył nowy rodzaj filmów, dozwolonych od szesnastego roku życia; pikantne opowieści o miłości, pełne scen erotycznych ze starych filmów.

Sanna nazywa je filmami o radości seksu. Rząd nie może po prostu powiedzieć: rozmnażajcie się dla Kraju,

więc usiłuje nas podniecić, byśmy stracili panowanie nad sobą. Wiercimy się niespokojnie, chichoczymy nerwowo i staramy się nie patrzeć na ekran.

Zerkam na zegarek i widzę, że niemal wszyscy w moim rzędzie robią to samo. Dwie pierwsze dwójki wstają, wymykają się, najpierw do łazienki, a stamtąd przez okno do czterech dzielnic Miasta. Delia zgodziła się zostać w kinie na wypadek, gdyby zaszło coś, o czym powinniśmy wiedzieć. Film może się zerwać. Ktoś może wyrzucić małąlaty podczas szczególnie ostrej sceny. Usiłowałyśmy przewidzieć wszystkie możliwości.

Sanna szturcha mnie w bok. Czas ruszać. Film odbija się w białkach jej oczu.

Patrzę na Nicoline, moją współniczkę w przestępstwie. Jako jedna z pierwszych z naszego rocznika zrobiła sobie znak charakterystyczny. Kiedy miała siedem lat, czerwonym mazakiem narysowała sobie gwiazdę na policzku. Z czasem rysunek wyblakł. Teraz poprawia go co kilka dni.

Wychodzimy z kina przez okno w łazience i zaraz naciągamy kaptury. W kieszeni mojej bluzy jest woreczek z farbą. Brniemy przez miasto, w stronę rzeki. Staranie wybieram te ulice, na których jeszcze działają latarnie. Biegnę od jednego kręgu światła do drugiego, ale ciemność zdaje się mnie osaczać.

- I co teraz? - Pyta Nicoline, gdy stajemy nad rzeką.

- Ty się rozglądaj, ja piszę. - Odwracam się powoli. Promenada jest pusta. Księżyc odbija się w rzece, rozjaśnia ciemność. Dotykam woreczka, rozglądam się.

- Chyba w porządku. - Nicoline uśmiecha się słabo.

Pochylam się i przez chwilę waham, zanim oderwę różek z torebki z farbą. Krwiście czerwona, spływa jak krew z palca po ułkuciu igłą. Pewną ręką piszę hasło na szarym betoncie. Litera niemal błyszczą. Wraz z falą adrenaliny czuję coś jeszcze - dumę. To tak niewiele, ale zostawiam tu mój znak.

Neva tu była.

Woda obmywa nabrzeże, jakby biła nam brawo. Podbiegam do drewnianej ławki, piszę to samo na siedzisku. Boże, czuję się wspa-nia-le! Biegniemy z Nicoline i znajdujemy coraz to nowe miejsca, na których malujemy nasz przekaz: podstawę lampy ulicznej, włącz do kanału. Nicoline biegnie przodem, wskazuje kolejne miejsce. Ona także chce spróbować. Wskakuję na ławkę i rozglądam się dokoła, a ona wypisuje hasło artystyczną kursywą, nie byle jak, jak ja. Zerkam na zegarek.

Doganiam ją, gdy resztką farby kończy pisać hasło na stopniach prowadzących do sklepu. Jej dłonie umazane są czerwoną farbą.

Musimy wracać.

Nicoline odwraca się na palcach i krzyczy w stronę kopuły:

- To jest cudowne!

- Cicho! - syczę, ale czuję to samo.

- Boże, nie przejmuj się tak. - Nicoline milknie, rozgląda się. - Już prawie skończone.

- Prawie - powtarzam i wyjmuję jej z rąk lepką torebkę. Podbiegam do brzegu rzeki, najbardziej jak

mogę wychylać się za poręcz. Rzucam torebkę, słabo, jak dziewczyna, powiedziałaby Ethan. Wiatr ją porywa i plastik opada zygżakiem na mętne fale. Patrzę, jak unosi się na powierzchni, aż w końcu znika pod wodą.

Nicoline ciągnie mnie za rękaw.

– Sluchaj.

Poprzez szum rzeki słyszę co innego – kroki. Wiem, o czym obie myślimy: policja.

– Mu-musimy... u-uciekać. – Głos Nicoline drży.

– Nie – odpowiadam i wbijam ręce w kieszenie. – Schowaj dłonie.

Kroki są coraz bliżej. Zdają się nieść echem po twardej nawierzchni. Jesteśmy niecałą przecznicę od ostatniego graffiti – dzieła Nicoline na schodach. Stąd, z promenady, można go nie dostrzec. Obie nieruchomiejemy jak posągi.

Kroki są coraz bliżej. Chcę spojrzeć, ale wiem, że nie mogę.

– Dobry wieczór. – Niski męski głos rozlega się, gdy kroki są tuż przy nas.

– Och, dobry wieczór – odpowiadam. Odwracam się i staram się nie reagować na widok smolistej czerni munduru policyjnego. Zwykli obywatele noszą pastele i szarości, ale jakimś cudem mundury policyjne nadal są wyraziście czarne.

– Piękna noc – mówi policjant i staje tuż za nami.

– No – odpowiadamy zgodnie.

– Co takie dwie ładne dziewczyny robią same? – pyta i podchodzi bliżej. Chce się dowiedzieć, dlaczego nie uprawiamy teraz seksu jak porządne obywatelki.

– Właśnie sobie idziemy – odpowiadam. Wpadam na Nicoline, gdy obie odsuwamy się od policjanta. – Dobranoc.

Odchodzimy. Przez, jak nam się wydaje, całe wieki, słyszymy jedynie odgłos naszych kroków. Obserwuje nas?

W końcu echo jego kroków cichnie. Odwracam się. Idzie z uniesioną głową. Patrzy przed siebie, nie szuka napisów pod nogami. W czarnym uniformie niemal zlewa się z nocą.

Teraz puszcza się biegiem, zatrzymujemy dopiero pod kinem. Podosadam Nicoline. Podaje mi rękę.

Przez kilka sekund dyszymy ciężko na chłodnej podłodze łazienki. Myjemy ręce pieniącym się różowym mydłem, wycieramy je o dżinsy. Powoli, od niechcenia wracamy do sali.

W naszym rzędzie wszystkie miejsca są zajęte – oprócz naszych. Przeciskamy się, pochylone, ze zgiętymi kolanami, aż jesteśmy na miejscach, na których siedzieliśmy, gdzie wszystko się zaczęło. Sanna przygląda mi się szeroko otwartymi oczami.

– Nie pytaj – szepczę, mijając ją.

Na ekranie białe słowa na czarnym tle. Usiłuję je czytać: „Producent: Anthony Mitchell, charakteryzacja, oświetlenie, Colin, Miranda”. Myślę o coraz dłuższej liście zaginionych. Gdyby nas złapano, mogłabym do niej dopisać nazwiska nas wszystkich. Czy napisy przesuwają się szybciej? Białe słowa zdają się zlewać w jedno. Zapada ciemność. Wciąga mnie. Chwytam ustami powietrze, ale zdaje się rozptywać, zanim ukoj obolale płuca. Czuję, że twarz mi płonie. Sanna pochyla się i szepcze:

– Wszystko w porządku. Zamknij oczy i pomyśl o słońcu.

Myśli, że to strach przed ciemnością, i ma rację, ale to także coś więcej. Mało brakowało, a złapano by nas. Gdyby tamten policjant wiedział, co przed chwilą zrobiliśmy, zaaresztowałby nas albo jeszcze coś gorszego.

– Nev, wyluzuj. – Sanna głaszcz mnie po plecach. – Nie poddawaj się.

Ma rację, ale w mojej głowie panują pustka i mrok jak w sali kinowej. I wtedy przypomina mi się Braydon i nasz pocałunek. Przyływ namiętności i natychmiast fala wyrzutów sumienia. To gorsze niż ciemność. Usiłuję stłumić strach przed mrokiem, rządę, przed tym, że nas złapią i, co najgorsze, przed tym, że moja najlepsza przyjaciółka dowie się o pocałunku.

Zapalają się światła. Czuję na sobie spojrzenia wszystkich, zwłaszcza Braydona, i nienawidzę tego. Sanna odgania ich ruchem ręki.

Zwijam się w kłębek, chciwie łapię powietrze. Wystarczy. Żelazna obręcz na piersi się rozluźnia. Patrzą na bosc stopy Sanny. Zabawnie porusza palcami.

– Nic mi nie jest. – Wstaję, strząsam z siebie panikę.

– Zrobiliśmy to – szepcze. – Zrobiliśmy to, Nev.

Rozdział 05



Spóźniam się. Ni to idę, ni biegnę, by zdążyć na dziesiątą do kawiarni Pod Syrenką, w której umówiłam się z Ethanem. Nadal targają mną emocje po wczorajszym wyczerpaniu. Może coś się zmieni. To niemożliwe, ale ta nadzieja jest jak balon unoszący się nade mną i kurczowo trzymam się cienkiego sznureczka.

Zatrzymuję się gwałtownie i zaglądam do środka przez porysowane okno. Ethan siedzi przy naszym stoliku. Przed nim leży szkicownik. Głębokie cienie pod jego głęboko osadzonymi oczami sprawiają, że oczy wydają się nieproporcjonalnie duże w jego twarzy. Jego dłoń

z ołówkiem tańczy po papierze. Wiem, że ta skorupa to Ethan, ale od aresztowania nie jest sobą.

To była głupia zabawa. Mnóstwo ludzi to robi. Nie wiem, co mu powiedzieli na policji, nie chce o tym rozmawiać. Wiem tylko, że to już nie jest mój Ethan.

To się stało w sobotnią noc, pół roku temu. Byliśmy w jego pokoju. Rysował mi na brzuchu płatki śniegu. Stąd wziął mi się pomysł na tatuaż. W jego oczach błyszczała beztroška. Rzuciliśmy się na siebie z namiętnością, która zapewne stopiłaby wymagowaną śnieżycę. Pocałunki przeszły w chaotyczny taniec rozbierania. Nagle odskoczył ode mnie jak oparzony.

– Nie możemy tego w kółko robić – wysapał.

Zaskoczona nagłą zmianą nastroju, wyciągnęłam do niego ręce, mając na końcu języka: „chrzańmy to głupie ślubowanie”.

– Musimy zrobić coś innego, cokolwiek. – Kołysał się w przód i w tył. Ja myślałam tylko o jednym. Położyłam mu rękę na udzie.

– Neva! – Odepchnął moją rękę. – Przestań! – Zapiął dzinsy. Myśl.

Obejmuję się ramionami, niemal naga. Usiłowałam myśleć o czymś zupełnie innym, o przeciwieństwie seksu.

– Wdrapmy się na Kapitol – podsunęłam. Może wspomnienie tysięcy ludzi, którzy zginęli w czasach terroru, zepsuje mi humor.

Włożył koszulę, rzucił mi dzinsy i bluzę.

– Chodź.

Ani się obejrzałam, a byliśmy w środku Miasta, wpatrzeni w stertę gruzu, która kiedyś stanowiła centrum dowodzenia naszego rządu. Aż pewnego pochmurnego dnia grupa terrorystów zburzyła Kapitol, zabiła naszych przywódców i tysiące innych obywateli.

Po tym jak wydobyto ciała spod gruzów, nie tknięto niczego. Szkielet budynku ma nam przypominać o terrorze i ostrzegać, co się dzieje, gdy ludzie zapominają, co to patriotyzm i jedność.

Tamtej nocy Ethan wspiął się na szczyt. Wstrzymywałam oddech i patrzyłam, jak wspina się coraz wyżej.

Wyglądało to tak łatwo. Był już niemal na szczycie, koło flagi Kraju, zawsze opuszczonej do połowy masztu, i pomachał do mnie z radośnie głupim uśmiechem na twarzy. Na beżowej koszuli widniały ciemne smugi, dzinsy pokrywał drobny pył. Nigdy nie kochałam go tak bardzo jak wtedy.

Rozmawialiśmy o tym od dziecka, ale nigdy nie sądziłam, że naprawdę to zrobi. Ruszyłam za nim. Chciałam poczuć to samo co on. Zrobiłam kilka niepewnych kroków, badałam rumowisko pod stopami, zanim oparłam się całym ciężarem. Pokonałam zaledwie kilka metrów, gdy poślizgnęłam się i zjechałam w dół. Słyszałam, jak mnie woła, ale tak bardzo się śmiałam, że zdołałam tylko pomachać i dać znać, że poza poobijaną dumą, nic mi się nie stało.

I wtedy usłyszałam syreny. Ethan krzyknął, że mam się schować. Powinnam była stać u jego boku. Ale posłuchałam go; znalazłam szczelinę pod skrzyżowanymi

belkami, wpełzłam w nią, czekałam i obserwowałam. Skuli go i zabrali.

Wypuścili go następnego dnia. Ale Ethan to nowy typ zaginionego. Fizycznie tu jest, ale jakaś jego częśćka zniknęła. Tę częśćkę ukradł rząd. Nigdy jej nie odzyskam.

– Susan? – Jakiś mężczyzna dotyka mojego ramienia i wspomnienie znika. Odwracam się. Przygląda mi się.

– Przepraszam – mówi i bezradnie rozkłada ręce. – Pomyliłem się.

Wchodzę za nim do kafejki, podchodzę do Ethana.

– Cześć – mówię.

Podsłakuje nerwowo. Choć otoczony ludźmi, przebywa we własnym świecie. Całuję go w policzek. Na stole przed nim leży mnóstwo rysunków: wyszczerbiony kubek pełen parującej kawy, idealnie oddane dłonie, usta, wiernie odzwierciedlona spódnica; widać każdą fałdę w kwiecistym materiale.

– Cześć – odpowiada i zsuwa szkice na bok.

– Są świetne – mówię. Siadam naprzeciwko niego i biorę pierwszy z brzegu szkic. Narysował oko, z najdrobniejszymi szczegółami. Patrzy nieruchomo z kartki. Po zmarszczkach w kącie, długich rzęsach i cieniu na powiekach poznaję, że to oko kobiety. Delikatne, nierówne linie na białku zdradzają nieprzespane noce. Jakimś sposobem wyczuwam jej smutek. Rozglądam się szybko i zaraz dostrzegam jego modelkę, młodą kobietę pochyloną nad kubkiem. Ma lzy w oczach.

– Powinieneś studiować sztukę – mówię i upijam łyk jego kawy. Jest zimna.

– Nie chcę znowu o tym rozmawiać. – W jego słowach pojawia się ostra nuta. – Zresztą akademię sztuk pięknych zamknięto, więc nie ma tematu.

– Popatrz tylko. – Przekładam kolejne szkice. – Masz wielki talent.

– A ty? Naprawdę chcesz się uczyć pielęgniarstwa? – pyta i zabiera mi kartkę.

– Wyznaczono mi taki zawód. Równie dobry jak każdy inny. – Nie mam pojęcia, dlaczego Rada Doradztwa Zawodowego uznała, że będę dobrą pielęgniarką. Słyszałam, że połowa absolwentów szkół średnich dostaje skierowanie do pracy w zawodach medycznych, więc może nie ma to nic wspólnego z przesłanym przeze mnie życiorysem i formularzami. – Ale ty miałeś inne plany. Miałeś zostać wielkim artystą.

– A co twoim zdaniem powinienem zrobić? – Ethan kuli się na krześle.

– Zbuntować się. Zrobić coś. – Mówię głośniejszym głosem niż chciałam. Mam wrażenie, że czas zatrzymuje się na chwilę i wszystkie głowy zwracają się w moją stronę.

Ethan krzywi się i lekko kręci głową. Wydmuchując powietrze nosem i uśmiecham się, by pokazać wszystkim, że nic się nie stało. Nie wyróżniać się. Nie urządzać scen. Nie robić nic, co mogłoby zaszkodzić tacie. Tak mnie wychowano.

Ethan przysuwa się bliżej.

– Taka szansa jak współpraca z Narodowym Biurem Reorganizacji się nie powtórzy. To dobra posada. Zaczynam jutro i nie chcę więcej o tym słyszeć. – Składa szkice

do teczki, zamyka. Zniża głos. – Protesty zostawiam tobie i Sannie.

Widzę ból w jego oczach. Myślał, że mówię mu wszystko, Ale nie miał pojęcia o naszych planach.

– Chciałam ci powiedzieć – szepczę. – Przepraszam.

Ktoś pociąga nosem. To jego modelka. Ma łzy na policzkach.

– Powinłam była ci powiedzieć, ale wiedziałam, że to ci się nie spodoba. – Zerkam to na niego, to na kobietę. – Nie chciałam wywierać na ciebie presji. Uważam, że sam musisz zdecydować, czy chcesz się zaangażować. Nie sądziłam, że tego chcesz, więc...

Unosi rękę, przerywa moje tłumaczenia.

– Nie mogę angażować się w coś takiego. Nie powiedziałaś mi, bo wiedziałaś, że starałbym się ci to wyperswadować.

Przepaść między nami znowu się powiększa. Jakim cudem mógłby buntować się przeciwko kopule, skoro budowały ją i udoskonalały całe pokolenia Harrisonów? Jego ojciec i starsza siostra są inżynierami. Jego wujek pracuje w fabryce wytwarzającej panele kopuły. Jego matka zajmuje się monitorowaniem pogody, systemami filtrującymi.

– Ale Ethan, zrozumiem, wydaje mi się, że...

– Ani słowa więcej, Neva. – Rozgląda się. – Nie chcę o tym wiedzieć. I wolałbym, żebyście z Sanną dały sobie spokój z tymi bzdurami.

Zapłakana kobieta wyciera oczy koronkową chusteczką i wstaje. Wtedy dostrzegam jej brzuch. Jest

w zaawansowanej ciąży. Ethan dotyka mojego podbródka, odwraca moją głowę w swoją stronę.

– Zdajesz sobie sprawę, jakie to niebezpieczne? – szepczę. – Jeśli rząd się o tym dowie... Boże, Neva, twój ojciec... Coś ty sobie myślała?

– Jak możesz siedzieć beczynnienie i pozwalać, by pozabawiali nas przyszłości?

Staram się nie podnosić głosu, ale robię się coraz bardziej spięta.

– Nie tej przyszłości, jakiej dla nas pragnę. – Wyciąga rękę po moją dłoń. Nie odsuwam się. – Chcę, żebyśmy się pobrali i założyli rodzinę.

– Nie wyglupiaj się – zaczynam, ale po wyrazie twarzy widzę, że mówi poważnie. – Dopiero co skończyliśmy szkołę. – Chcę cofnąć rękę, ale nie pozwala mi na to.

– Nie marnujmy więcej czasu. – Całuje mnie za uchem, wie, że pieszczenie tego miejsca doprowadza mnie do szału. – Courtney i Kieron. Sara i Neil. Jasmine i David. Wszyscy się pobierają. Sara już jest w ciąży.

Usiłuję skupić się na tym, co mówi, a nie na tym, co robi.

– A nasze postanowienie? Obiecaliśmy. Nie ulegniemy rządowi. Nie teraz... – Obejmuje mnie ramieniem, ukradkiem głaszcze moją pierś. Robi mi się gorąco.

– Ethan, proszę – mówię, ale drażni mnie reakcja mojego ciała. Obsypuje pocałunkami moją szyję, od ucha do nasady karku. Podoba mi się to, póki na myśl nie przychodzi mi Braydon.

– Ethan. – Uwalniam się z jego objęć.

Chrząka.

– Nevo, jesteście już dorośli. Czas, żebyśmy zachowywali się jak na dorosłych przystało.

Skąd mu się to wzięło?

– Data w kalendarzu i głupia uroczystość nie znaczą...

– Neva, musisz ci coś powiedzieć. – Wpada mi w słowo, ale nic nie mówi. Zdejmuje zegarek i kładzie rękę na stole, otwartą dłońią do góry. Na jego nadgarstku, wśród błękitnych żył, jest cienka czerwona linia, jak zadrapanie kota. Zazwyczaj to miejsce zasłania zegarek.

– Co to jest? – pytam i wyciągam rękę, by tego dotknąć, ale się odsuwa. – Ethan?

– To urządzenie naprowadzające. Wszczepili mi je, gdy mnie aresztowali. – Siedzi do mnie tyłem, mam wrażenie, że go podsłuchuję.

Chyba się przesłyszałam. Urządzenie naprowadzające?

– Powiedzieli, że będą mnie obserwować. Jeśli przez rok nie popełnię żadnego głupstwa, usuną je.

Nie chcę, żeby się odwracał. Nie chcę, żeby widział szok na mojej twarzy. Ilekroć jestem z nim, policja wie, jak mnie znaleźć. Jest skażony, naznaczony. Zaplatam ręce na piersi. Czeka, aż coś powiem, ale zaschło mi w ustach.

– Nie mogę dać się złapać w towarzystwie innych ludzi z nadajnikami – tłumaczy. – Jeśli zauważą, że zbyt długo przebywamy razem, wkroczą do akcji.

Rozglądam się. Czy teraz też nas obserwują? Chciałabym, żeby cofnął te słowa. Żeby powiedział, że to tylko żart. Dawniej miał szalone poczucie humoru. Zawsze przestawiał godzinę na zegarze w pracowni historycznej.

tak że kończyliśmy zajęcia piętnaście minut wcześniej. A potem ukradkiem wracał i ustawiał właściwą godzinę, i nauczyciel nigdy się nie zorientował. Był znany z takich kawałów. Ale kiedy odwraca się do mnie, nie widzę uśmiechu. Jego oczy wydają się jeszcze ciemniejsze, bardziej udreżone w bladej twarzy.

– Jak mogłeś to przede mną zataić?

– Bo wiedziałem, że tak będzie. – Patrzy na mnie. – Ta mina...

Staram się zrobić inną minę, ale mięśnie twarzy nie reagują.

– Tyle się zmienia, Nevo. Chciałem... bardzo chciałem, żebyśmy my zostali tacy sami. – Przysuwa się, chce mnie pocałować. Przepelnia mnie obrzydzenie, ale zmuszam się, by cmoknąć go w usta.

– Kocham cię – mówi.

– Dlaczego mówisz mi to teraz? – Szukam w jego oczach dawnego Ethana.

– Nie chcę, żeby ciebie spotkało to samo – odpowiada i zerka na cienką czerwoną linię na swoim nadgarstku. Nie wiem, czy ma na myśli urządzenie naprowadzające, czy fakt, że stracił chęć życia.

Muskam bliznę palcem. Wyczuwam to, tuż pod skórą, cieniutki kwadracik.

– Boli?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie wiedziałam, że rząd teraz...

– Ja też nie.

– Musimy wszystkim powiedzieć. Nie mogą...

– Proszę cię, Neva, nie. Zabroniono mi o tym komukolwiek mówić. – Zamyka moją dłoń w swoich. – Obiecuję mi, Kiwam głową. Żałuję, że mi powiedział. Gdy na niego patrzę, cały czas zastanawiam się, kto jeszcze nas słucha, obserwuje, śledzi każdy ruch. Chcę powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale to kłamstwo. Nie chcę go więcej dotykać.

– Neva, prędzej czy później musisz zmierzyć się z rzeczywistością. To jest nasza przyszłość. Wcale nie taka zła. – Szuka czegoś w płóciennym plecaku, tym samym od przedszkola. Wyjmuje plik zadrukowanych pomiętych kartek, wygląda na stoliku. Poranne wiadomości. – Kiedy wreszcie zrozumiesz, że jesteś w mniejszości? – Wskazuje nagłówek. – Zobacz! Ludzie popierają istnienie kopuły. Chcą większej ochrony rządu. Dlaczego nie możesz po prostu cieszyć się tym, co mamy?

Czytam: „Pod osłoną nocy wandalę zasypują miasto prośbami o pomoc”. Podnoszę gazetę, czytam chciwie, szybko. Jeśli wierzyć gazetce, wandalę wypisali na murach Miasta błagalne „Więcej kopuły” – I to ponad sto razy. Według policji to prośba do rządu o wzmocnienie kopuły. Do aktu przyznała się już radykalna prawicowa grupa zwolenników kopuły.

– O Boże. – Osuwam się na krzesło. Rząd przedstawił nasz protest jako oznakę poparcia. Cała nasza praca poprzedniego wieczoru, całe nasze wielotygodniowe planowanie wzięło w łeb.

– Neva, co się stało? – Wyciąga do mnie ręce, ale odsuwam się, wstając, przewracam krzesło. Wszyscy się na mnie gapią.

– Muszę iść. – Zgarniam gazetę i wybiegam z kawiarni.

– Co się stało, do cholery? – pytam, ledwie Sanna otwiera mi drzwi. Wciskam jej w dłoń zmiętą gazetę. Czyta uważnie.

– Nie wiem. – Zamyka drzwi. Siadamy na najwyższym stopniu przed jej domem. – Totalna klęska.

– Jakim cudem udało im się zmyć... Nie rozumiem. – Kiwam głową i usiłuję poskładać to wszystko w logiczną całość.

Tyle pracy na nic.

– Gorzej niż na nic. Teraz to wygląda tak, jakby rosło poparcie dla kopuły. – Nie daje mi spokoju wizja, jak ktoś ściera efekty naszej pracy, jak przekuwa nasz protest na akcję poparcia dla rządu.

Siedzimy wpatrzony w zabite deskami okna domów naprzeciwko, pamiętam czasy, gdy mieszkali w nich ludzie. Ktoś ukradł dyktę z okien na parterze. Domy nie wyglądają już solidnie.

Milczymy. Sama nie wiem, na co czekamy.

Sanna zrywa się nagle.

– Zapomniałyśmy o czymś. – Chodzi i mówi jednocześnie. Niemal widzę, jak kręca się trybiki w jej głowie. – Boże, Nev, to cudowne. Zapomniałyśmy o jednej rzeczy...

Pochylam się. Wyczuwam jej rosnącą ekscytację.

– Ale co? Co?

– Ktoś to widział. Zorganizował sprzątanie. Wydzwanił do siebie pewnie przez całą noc. Przejęli się tak, że zarządzili kontraktem. Nie rozumiesz?

Ta cząstka mnie, która straciła nadzieję, nagle nabiera tchu.

Sanna ciągnie mnie za rękę.
– Musimy się przekonać. Zobaczyć to na własne oczy.
Jedziemy pociągiem, wysiadamy w martwym powie-
trzu w centrum Miasta. Wiem, dokąd iść. Prowadzę Sannę
nad rzekę.

Idziemy tą samą trasą, którą poprzedniej nocy pokona-
łam z Nicoline.

Idziemy. Boję się patrzeć. łapię Sannę za rękę.

Tam. Na ławce. Zwalniamy, nie zatrzymujemy się.
Trącamy się łokciami. Staramy się nie uśmiechać i pew-
nie wyglądamy, jakbyśmy krzywiły się z bólu. „Więcej
kopuły”. Czerwone słowa widnieją nadal, ale ktoś zamazał
początek hasła brązową farbą. Ktoś zasypał ulicę
ulotkami z naszym hasłem. Ktoś wyryl je w kamiennym
podeście pomnika, ktoś inny – w drewnianym oparciu
ławki. Nasze hasło inni rozpowszechnili.

Biegniemy jak na skrzydłach.

Rozdział 06



– Coś ty zrobiła? – Z tym pytaniem mama wpada
do mojego pokoju. Chwilę trwa, zanim się obudzę, ale
tylko chwilę. Mama szeroko otwiera oczy. Zarumieniła się.

– Co? – Siadam na łóżku. Już rano. Powracają wczoraj-
sze wspomnienia. Czuliśmy się z Sanną jak superboha-
terki, w każdym razie przez kilka godzin. Póki nie zobaczy-
łyśmy, jak ekipy sprzątające niszczą nasze dzieło, zmywają
i zdrapują hasło. Nic nie szkodzi. To jednak było małe
zwycięstwo, więcej niż to, na co może liczyć większość.

– Zresztą nieważne. Nie ma czasu. – Mama podaje
mi dzinsy. – Dzwonił tata. Policja tu jedzie.

– Policja. – Wczorajsza euforia znika bez śladu. Rozglądam się po pokoju, sprawdzam, czy jest tu coś, co mnie obciąża. Spod poduszki wygląda różowy pamiętnik. Pewnie zasnęłam, trzymając go w ręku. Jedną ręką łapię stanik, który rzuca mi mama, drugą wpycham dziennik głębiej pod poduszkę.

– Czego chcą? – odrzucam koldrę, ściągam koszulkę, wkładam stanik.

– Chodzi o jakieś graffiti – mówi. Zastygam w bezruchu. Już myślałam, że nam się udało. – Mów prosto i zwięźle – radzi, nieświadoma, że sparaliżował mnie strach.

Dlaczego mnie podejrzewają? Policjant, który widział mnie i Nicoline, nie mógł mnie rozpoznać. Nie mam widocznego znaku charakterystycznego. Nie ma we mnie nic rzucającego się w oczy. A więc ktoś mnie zdradził? Tak, na pewno. Uginają się pode mną nogi.

Mama widzi, że zastygam w bezruchu.

– Neva, szykuj się.

– Tak, tak. – Kiwam głową, ale nie jestem w stanie się poruszyć.

Mama obejmuje mnie przelotnie.

– Nie martw się na zapas. Nie mogą... Nie odważą się... – urywa. – Uspokój się. – Nie wiem, czy mówię do mnie, czy do siebie. – Odpowiadaj tylko na zadawane pytania.

Od kiedy moja matka udziela mi rad, jak oszukać śledczych? Usiłuję nie myśleć o wszelkich straszliwych konsekwencjach. Ubrać się. Najpierw. Wkładam brązową

koszulkę i spraną niebieską bluzę, które podaje mi mama. Odskakuję, wbijając się w dżinsy.

Mama podtrzymuje mnie, żebym nie upadła.

– Pamiętaj, nie było cię tam, gdziekolwiek to było.

Chcę odpowiedzieć, ale staje naprzeciwko mnie. Związała włosy w koński ogon. Niesforne kosmyki opadają jej na twarz. Ma na sobie jedną ze starych koszul taty. Zapięła ją krzywo i teraz wydaje się, że jej ciało jest dziwnie niesymetryczne.

– Nic nie zrobiłaś.

Kiwam głową i chowam pod bluzką naszyjnik z płatkami śniegu. Dotykam go przez materiał i proszę babcie o siłę. Będzie mi potrzebna.

– Wszystko będzie dobrze. Uspokój się. – Znowu mówię bardziej do siebie niż do mnie. Podchodzi do łóżka i wyjmuję różowy pamiętnik spod poduszki. – Przechowam go dla ciebie.

– Mamo... – Wyciągam rękę.

– Nie będę czytała. Wszyscy mamy swoje sekrety. – Wsuwa go pod ramię. – Pospiesz się. Zatrzymam ich przez chwilę. Zamyka za sobą drzwi.

Rozglądam się powoli, szukam innych zakazanych przedmiotów. Mój pokój wygląda jak wysypisko śmieci, wszędzie poniewierają się ciuchy, na stoliku leżą otwarte książki, na toaletce rozsypana jest biżuteria. Zaczynam sprzątać, ale zaraz myślę, że to będzie wyglądało nienaturalnie. Przeglądam się w lusterku.

Mam krople potu nad górną wargą i przekrwione oczy. Wydaje mi się, że nawet koszulka wepchnięta za pasek

dżinsów i kurtka krzyczą, że jestem winna. Kładę się na łóżku i czekam na policję.

- Nazwisko. - Policjant podnosi wzrok znad przeglądanych akt. Coś w nim przypomina mi Ethana. Włosy tej samej długości, podobne cienie pod oczami. Czarny mundur maskuje inne cechy. Widzę tylko jego twarz. Do tego stopnia mnie pochłania, że musi powtórzyć pytanie.

- Och, przepraszam. - Pochylam się nad mikrofonem. - Neva Adams. - Głos mi się trzęsie. Podczas jazdy zastanawiałam się, o co będą mnie pytać i jak mam odpowiadać. Miałam do wyboru albo to, albo rozważania, jak łatwo mogłabym zniknąć bez śladu. Nie zabrali mnie na policję. Znajduję się budynku, w którym pracuje tata.

Kazali mi zejść trzy piętra pod ziemię.

Chcę, żebym poczuła, że jestem w pułapce. Znajduję się w szarym pokoju o betonowych ścianach. Widzę swoje odbicie w lustrze, zapewne weneckim. Idę o zakład, że mój ojciec jest po drugiej stronie, obserwuje. Wyczuwam napięcie, które zawsze towarzyszy jego obecności.

- Pełne imię i nazwisko - domaga się policjant. Odruchowo szukam wzrokiem jego identyfikatora, zapominając, że policjanci to jedyni funkcjonariusze rządowi, którzy nie muszą ich nosić. Ich mundury to gładka czerń, nie licząc godła ojczyzny wyszytego na klapie.

- Neva Elaine Adams. - Z naciskiem wymawiam nową informację. Od wielu pokoleń wszystkie kobiety

w rodzinie mamy noszą to samo drugie imię. Można by pomyśleć, że da mi to poczucie przynależności, ale dla mnie to kolejny zużyty element.

- Zadam ci kilka pytań - oznajmia lekko.

- Dobrze. - Staram się naśladować jego swobodę, ale serce wali mi tak głośno, że obawiam się, iż to słyszy.

- Co mi powiesz o ostatnich aktach wandalizmu? - pyta i zamyka akta. Na rękach ma czarne rękawiczki.

- Czytałam w gazecie o graffiti - odpowiadam po kilku wolnych oddechach.

- Naszym zdaniem tego antypaństwowego aktu dopuściła się grupa młodocianych. - Obserwuje każdy mój ruch.

Odruchowo otwieram szeroko oczy.

- Znasz kogoś albo słyszałaś o kimś, kto brał udział w tej i innych demonstracjach antypaństwowych?

- Wydawało mi się, że graffiti wyrażało poparcie dla kopuły. Tak czytałam. - Muszę to powiedzieć, choć cząstka mnie chce wykrzyknąć prawdę.

- Nie do końca. - Patrzy mi prosto w oczy.

Zmuszam się, by odwzajemnić jego spojrzenie. Tylko winni uciekają wzrokiem. A może to nieprawda, może niewinni nie patrzą, tylko winni, za wszelką cenę chcąc dowieść swojej niewinności?

- Wiesz, jakie są konsekwencje takich postępów, prawda? - Podnosi głos, aż odbija się echem od betonowych ścian.

Kiwam głową.

- Jakież - pyta.

– Seminarium patriotyczne – odpowiadam, zła, że mój, więc cichym, piskliwym głosem.

– Nie. – Wstaje. Jego postać przytłaczający, cała w czerni. – Takie działanie ociera się o zdradę stanu.

Nogi się pode mną uginają. Jakim cudem napisanie kilku słów oznacza zdradę stanu? Mam wrażenie, że cała krew wyparowała z mojego ciała.

Przysiada na rogu biurka, zaplata ręce na piersi. Przypominam sobie radę mamy, żeby odpowiadać tylko na zadane pytania. Nie zapytał o nic, więc milczę. Zresztą pewnie i tak nie zdołałabym wykrztusić słowa.

– Najłagodniejsza kara to pobyt na Farmie Wspólnotowej. – Odsuwa się, czeka, aż słowa wywrą zamierzony efekt. Brat Sanny trafił na taką farmę na sześć miesięcy. To rządowa reakcja na braki żywności i zatłoczone więzienia. Wrócił z odciskami na rękach, kipiący gniewem, opalony, z luszczącą się skórą.

Policjant chrząka, poprawia kołnierzyk munduru.

– A w najgorszym... cóż, lepiej o tym nie myśleć.

Ale ja chcę wiedzieć. Chcę, żeby to powiedział: ludzie

znikają. Ale co ich czeka po zniknięciu? Tortury? Śmierć?

Rozlega się brzęczyk i zaskakuje nas oboje. Policjant wychodzi jedynymi drzwiami. Opieram czoło o chłodny metalowy stolik, przechylam głowę na bok i nie wiem, jak długo tak trwam w zawieszaniu, starając się nie myśleć, co będzie dalej.

Podnoszę się, gdy słyszę szcęk otwieranych drzwi. Oficer wraca. Poła koszuli wystaje ze spodni, zakłóca idealną symetrię munduru. Znowu siada naprzeciwko mnie.

Jeszcze raz pytam, czy wiadomo ci coś o antypaństwowym graffiti w naszej stolicy.

Opuszczam wzrok na stolik i przecząco kręcę głową.

– Wiemy, że planowane są kolejne protesty. Potrzebujemy dobrych patriotów, ludzi takich jak ty, by im zapobiec. Twój ojciec jest członkiem rządzącej Rady. Chyba nie chcesz, by coś zaszkodziło jego pozycji. – Zerka w lustro za moimi plecami. – Czy podasz nam nazwiska osób zaangażowanych bądź chcących się zaangażować w działalność antypaństwową?

Przeczesuję włosy palcami. Są mokre od potu.

– Nie – odpowiadam. – Nie znam nikogo takiego. – Ale nawet ja sama nie wierzę w to, co mówię.

– Nevo, wiemy, że jesteś dobrą obywatelką, ale mamy powody przypuszczać, że wiesz, kto planuje te akcje protestacyjne. Ze względu na siebie i na te osoby, podaj nam ich nazwiska, a położymy kres tej głupocie. Obiecuję, że potraktujemy je ulgowo, jeśli uda się to skończyć tu i teraz. – Wyjmuje z kieszeni koszuli sfatygowany notes i długopis. Otwiera notes, szuka czystej kartki. Z długopisem w dłoni czeka na moje wyznanie. Naprawdę myśli, że czegoś się ode mnie dowie?

– Kopała utrzymuje nas przy życiu. Na zewnątrz panuje wysokie stężenie toksyn. Wewnątrz jesteśmy bezpieczni.

Już to wszystko słyszałam. Ani moja babcia, ani matka Sanny w to nie wierzyły. Babcia mówiła, że nie ma dowodów na to, że na zewnątrz nic nie ma. Staram się nie zdradzać prawdziwych uczuć. Zmuszam się, by potakiwać jego słowom.

Mówi dalej:

– Wszelkie protesty przeciwko kopule mogą doprowadzić do tego, że człowiek niespełna rozumu uszkodzi system ochronny i filtrujący. Nie chcesz tego, prawda? Nie chcesz chyba, żeby przez ciebie ucierpeli porządni ludzie.

– Nie, proszę pana. – Rozpalony do białości strach ślizga się we mnie jak wąż. A jeśli babcia się myliła? Jesteśmy skazani, nieważne, czy otworzymy kopułę, czy nie? Sama już nie wiem, w co wierzyć. Kładę dłonie na stole, rozczepiam palce, szukam w sobie siły.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

Kiwam głową, ale czuję, że ślina napływa mi do ust, jakbym miała wymiotować.

– Neva, nie powiesz mi? Nie podasz nazwisk? – Pochyliła się coraz niżej. Nadal ścisła długopis.

Muszę być ostrożna. To pułapka.

– Nie znam nikogo, kto zrobiłby coś takiego. Czy mogę już iść? – Siadam na swoich rękach.

Z trzaskiem upuszcza notes na stolik.

– Muszę cię wypuścić – cedzi przez zęby.

Odrzęzam się odrobinię.

– Ale potraktuj to jako ostrzeżenie. – Obchodzi stolik dokoła, kładzie mi ręce na ramionach. Chce mi się krzyczeć. Czuję, jak napinają mi się wszystkie mięśnie. Pochyla się tak, że słyszę go tylko ja, a jeśli ktoś nas obserwuje, nie zobaczy ruchu jego warg.

– Wiem, że jesteś w to zamieszana, ale tym razem tatuś cię uratował. – Jego gorący oddech przyprawia mnie o dreszcze. Odsuwam się mimowolnie.

– Nie zrobiłam nic złego. – Głos mi się łamie, muszę się koncentrować na każdej sylabie. Nadal czuję policjanta za plecami.

– Nikt cię o nic nie oskarża – mówi do ludzi za lustrem. – Na razie. Możesz iść. Zadzwoń po któregoś z rodziców, żeby po ciebie przyjechali?

– Jestem dorosła, sama wrócę do domu. – Staram się mówić pewnie, ale widzę w jego zimnych, twardych oczach, że tego nie kupuje. Staję na miękkich nogach i powoli idę do drzwi.

– Będę cię obserwował – szepcze, mijając mnie. Prowadzi mnie przez podziemny labirynt korytarzy. Pokonujemy trzy kondygnacje schodów i wreszcie jesteśmy na parterze.

Wzdłuż korytarza ciągną się okna. Widok drzew i nieba dodaje mi otuchy. Już prawie stąd wyszłam. Kiedy skręcamy za róg, widzę innego policjanta. Prowadzi kogoś. Na policzku tej osoby widnieje gwiazda, tak czerwona, że niemal lśni. Pewnie znowu ją odświeżyła. Mijamy się. Noline patrzy na mnie i usiłuje się uśmiechnąć, ale jej usta drżą. Zmuszam się, do, jak mam nadzieję, pewnego uśmiechu, który doda jej otuchy. Chcę, żeby wiedziała, że nie zdradziłam jej tajemnicy.

A ona? Czy dotrzyma mojej?

Nie mogę się zatrzymać; nie mogę nawet przyspieszyć lub zwolnić. Muszę iść w tym samym tempie. Gdy wyjdę z budynku, nadal czuję na sobie baczne spojrzenia.

Rozdział 07



– Sanna – jąkam się do telefonu. – Oni wiedzą. – Tylko to przychodzi mi na myśl, gdy słyszę jej głos w słuchawce. W budce telefonicznej panuje wilgoć i cuchnie moczem.

– Nev, uspokój się. Gdzie jesteś? – Trzaski na linii.

Mija chwila, zanim sobie przypomnę. Betonowe schody. Potężny budynek przede mną, góruje nad całą przecznicą.

– Jestem przed budynkiem, w którym pracuje mój tata. – Ludzie siedzą na kamiennych stopniach, piją kawę z wielkich kubków. Przebiega dwoje biegaczy w szortach i koszulkach. – Sanna, pytali mnie o...

– Nev... – Jej słowa zagłuszają trzaski.
– Co? – Muszę jej powiedzieć. Muszę komuś powiedzieć. – Sanna...

Nie dopuszcza mnie do słowa.

– Nev, zamknij się. Musimy pogadać... – Zawiesza głos. – O-so-biś-cie – sylabizuje.

Dopiero teraz do mnie dociera. Obawia się, że ktoś podsłuchuje tę rozmowę. I ma rację, oczywiście, że ma rację. Jak mogłam być taka głupia? Nie myślę logicznie. Zerkam na dwie kobiety w szarych kostiumach. Stoją niedaleko. Jedna się uśmiecha, druga kiwa mi głową. Czyżby słuchały?

– Sanna... – Mam jej tyle do powiedzenia, ale słowa nie przechodzą mi przez gardło. Każde zdanie wydaje mi się obciążające. Czuję się, jakbym nagle znalazła się w świetle reflektorów.

– Braydon już jedzie.

Jego imię wywołuje nową panikę.

– Nie, poczekaj – zaczynam, ale muszę się stąd wydostać.

– Zaraz tam będzie. Ma motocykl. Zawiezie cię do domu. Spotkamy się na miejscu.

– Braydon jeździ na motorze?

– Tak, dlatego nosi takie buty. Jeszcze wielu rzeczy o nim nie wiesz.

W to nie wątpię.

Słyszę warkot motocykla. Braydon ma na sobie sprane dzinsy z dziurami na kolanach i czarną skórzaną kurtkę, pękniętą na łokciu. Zatrzymuje się przede mną. Dłgie

włosy opadają mu na ramiona miękkimi falami. Na motocyklu wydaje się taki pewny siebie. Siłą mięśni utrzymuje potężną maszynę. Przesuwam wzrokiem po jego mocnych udach i pośladkach. Zbiegam ze schodów.

– Przykro mi, Neva – mówi niskim, spokojnym głosem. Jest w nim szczerłość, której wcześniej nie słyszałam.

Zmniejsza dzielącą nas odległość. Podnosi rękę, wsuwa mi za ucho kosmyk włosów. Głaszcze mnie jak dawniej babcia, jakby o tym wiedział. Co on wyprawia? Nie dotykaj mnie, proszę. Chcę się odsunąć, ale coś w jego piwnych oczach, jego spojrzeniu, każe mi zostać. Jakby rozumiał, że już nigdy nie poczuję się bezpieczna.

Tylko... obejmuj mnie.

– Już dobrze, Neva. – Przyciska swój policzek do mojego. Wtulam się w niego. Nie wiem, jak długo tak stoimy, ale to i tak za krótko.

– Musimy jechać – mówi.

– Dobrze. – Po raz ostatni patrzę na kamienny budynek. Postać w czarnym mundurze stoi u szczytu schodów, przygląda mi się. Może to ten policjant, który mnie przesłuchiwał, nie sposób tego określić. – Jedźmy. – Wskakuję na motocykl za Braydonem.

– To trochę potrwa. – Zwalnia hamulec. Motocykl ożywa. Nagle boję się go dotknąć. – Trzymaj się – mówi i odpala silnik.

Kładę ręce na jego biodrach. Przyciąga mnie bliżej. Wtulam się w niego, zaplatam dłonie na jego piersi. Przez chwilę nakrywa je dłonią, a potem chwyta kierownicę i ruszamy.

Przywieram policzkiem do jego kurtki, nagrzaną słońcem i potem. Udami ściskam motocykl. Staram się nie obejmować Braydona zbyt mocno, ale całe moje ciało wyrzywa się do niego. Nie wiem, czy o dreszcz przyprawia mnie drżenie silnika, czy coś innego. Wstyd mi, że tak bardzo jestem podniecona. Na każdym zakręcie przywieramy do siebie.

Mkniemy po krętych uliczkach. Widzę, jak co chwila zerka w boczne lusterko. Nie śmiem obejrzeć się za siebie, ale wydaje mi się, że ktoś nas śledzi. Wjeżdżamy do tunelu, pokonujemy go szybko. Wyjeżdżamy ponownie na światło dzienne. Skręcamy w prawo i znowu w prawo. Pochyliamy się, aż nie widać nas zza zarośli rosnących przy wjeździe do tunelu. Pojawia się ciemny sedan, zwalnia. Może nas szuka. Czekamy, aż odjedzie, i wracamy do tunelu.

Braydon się odpręża. Wyobrażam sobie, że mnie porwał, że razem znikniemy. Przywieram ustami do jego kurtki. Po pewnym czasie rozpoznaję ulice i domy. Obejmuję go mocniej, nie chcę, żeby ta ucieczka od rzeczywistości dobiegła końca.

Zatrzymuje się przed moim domem. Moim życiem potrząsnęto jak szklaną kulą z płatkami śniegu, ale zamiast wirujących srebrnych płatków widzę, jak wszystkie figurki bezładnie wirują i zderzają się bez sensu.

Zanim zsiądzie, odrywa moje ręce od swojej piersi. Pomaga mi zejść z motoru. Nogi się pod mną uginają, potykam się. Podtrzymuje mnie. Obejmujemy się. Przywieram policzkiem do jego piersi, słyszę bicie jego serca. Bije w tym samym rytmie co moje. Oglusza mnie.

I wtedy wiem, że czuje to samo. Odsuwam się, zdumiona. Przyglądam mu się. Czuję na sobie jego spojrzenie. Te usta...

Odgarnia mi włosy z zarumienionych od wiatru policzków. Nasze twarze są coraz bliżej. Potrzebuję całej siły woli, by nie dopuścić do pocałunku. Wpadam w jego ramiona, ale odwracam głowę. Sanna obserwuje nas z okna w moim pokoju. Pęknięcie na szybie sprawia, że wygląda, jakby ktoś przeciął ją na pół. Macha i znika za firanką.

– Idzie Sanna – szepczę i odwracam się do niego. Napawam się ciepłem jego policzka, szorstkiego od zarostu, jego zapachem; wyczuwam nutę wody kolońskiej, na którą wcześniej nie zwróciłam uwagi.

– O Boże – mówię, gdy odsuwamy się od siebie.

Patrzy w dół na swoje czerwone kowbojki.

– Wiem – odpowiada i kopie kamyk na trawnik.

– Nev, biedactwo. – Sanna podbiega do mnie. Obejmuje mnie, ale stoję sztywno. Wracam do życia i zalewa mnie poczucie winy. Sanna łapie mnie za rękę.

Braydon bierze za drugą. Sanna ciągnie mnie do domu. Koniuszki naszych palców wiszą w powietrzu, a potem wrażenie, że moja ręka płonie, znika.

Rozdział 08



Sanna ciągnie mnie do domu. Słyszę, jak Braydon odpala silnik i odjeżdża, i jakaś cząstka mnie odjeżdża razem z nim. Mijamy kuchnię. Widzę mamę mieszającą coś na kuchence. W jej wzroku widzę pytanie, czy wszystko w porządku. Twierdząco kiwam głową. Spiskowały przeciwko mnie z Sanną. Mama pozwala, bym opowiedziała Sannie o wszystkim, a sama zaraz podaje gorący posiłek, żeby zachować pozory normalności. Wyczuwam zapach indyka w piecyku, ale i tak nie wyobrażam sobie, by moje życie kiedykolwiek wróciło do normalności.

- Pytali o graffiti. Mają Nicoline - wybucham, ledwie Sanna zamyka drzwi mego pokoju. Siada koło mnie na łóżku.

- Powoli, Nev. Uspokój się. - Opieramy się plecami o wezgłowie i wpatrujemy w bałagan w pokoju.

- Groził mi. - Uderzam głową o deskę. - Wspominał o zdradzie stanu i gazach trujących. Żądał, żebym podała nazwiska.

Wstaje, lawiruje między ubraniami na podłodze.

- I co mu powiedziałaś?

- Nic. - Patrzę, jak Sanna chodzi po pokoju i denerwuję się coraz bardziej. - Powiedział, że wysłał mnie na Farmę Wspólnotową, ale słyszałam też, że wszczepiają ludziom urządzenia naprowadzające. No wiesz, podejrzany o działalność antypaństwową.

- Mogą to zrobić? - Wygląda przez okno i zaciąga zasłony. Zamykam oczy.

- Znam kogoś, kto zna kogoś, kto wie, że jest śledzony. - Nie powiedziałam całej prawdy. Nie mogę powiedzieć jej o Ethanie. Obiecałam. - Pocieram nadgarstek, jakby chcąc się upewnić, że na razie nic tam nie ma.

Słyszę, jak kręci się po pokoju, czuję, jak materac zapada się, gdy w końcu siada w nogach łóżka. Zasiłali we mnie wątpliwości.

- A może oni mają rację? No wiesz, co do tego, co jest na zewnątrz? Coś tam chyba musi być? I chyba mamy prawo wiedzieć? - Babcia była taka pewna. Ale teraz moja wiara w babcie i jej przekonanie, że poza kopułą jest życie, zaczyna się chwiać. Nie wiem, czy potrafię bez tego żyć.

- Nie wiem. - Sanna podskakuje na łóżku. - Dobra, dosyć tego.

Unoszę powieki.

- Więc co teraz? Przyszło mi do głowy, że wszyscy powinniśmy się spotkać. Zaplanować... - urywam. Sanna bosą stopą kopie dzinsy, które leżą na podłodze. Wydaje się, że bardziej niż moje słowa interesują ją moje ciuchy.

- Sanna? - pytam cichutko i dodaję głośniejszym głosem, gdy nie reaguje: - Co się dzieje?

- Nev, musimy przystopować. Przynajmniej na jakiś czas. - Przez chwilę patrzy na mnie. I zaraz ponownie wbija wzrok w podłogę.

- Co? Myślałam, że ta mroczna impreza, że nasze hasło to dopiero początek...

- Bo to był... to jest... - zaczyna się. - Ale musimy zwolnić. - Ona także się zmienia, jak Ethan. To trochę tak, jakby na moich oczach buzujący ogień stawał się tłącym żarem. Nerwowo podkurcza palce na moim sfatygowanym chodniku. - Widzę, że jesteś rozczarowana. Ja też. Ale...

- Nie jestem rozczarowana. - Nie dam jej dokończyć. - Jestem przerażona. Zabrano mnie na przesłuchanie. Zapewne będą mnie obserwować. Ale nie możemy przestać.

- Moi opiekunowie dostają szału. Dzisiaj musiałam wymknąć się ukradkiem, żeby tu przyjść. Mój brat mówi, że powinniśmy chwilę odczekać. Podobno słychać głosy, że sprawy nabierają tempa. Policja się denerwuje. Coś się dzieje, choć on nie wie co. - Rusza palcami, aż słychać,

jak trzeszczą jej stawy. Drażni mnie to. – No i obiecałam Braydonowi.

Przytłacza mnie jego imię w jej ustach. A więc chodzi o Braydona. Jej opiekunowie i plotki to tylko wymówki. Zanim zjawił się Braydon, tylko podsyciłyby w niej wolę walki.

– Nie złość się, Nev. – Dla żartu udaje, że potknęła się o moje wyprostowane nogi. – Po prostu się o mnie martwi. To słodkie, co? Nie chce, żeby coś mi się stało, nie teraz, gdy mamy siebie. Sam tak powiedział. Czyż to nie wspa-nia-le?

Przelykam zazdrość i poczucie winy, które utkwily mi w gardle. Podciągam nogi do piersi i kiwam głową. Braydon kradnie mi najlepszą przyjaciółkę i tłamsi rebelię.

– To nie na zawsze, Nev. Po prostu na razie musimy przystopować. – Chce, żebym powiedziała, że wszystko jest w porządku, że możemy teraz przestać. Ale nie mogę. – Po prostu wcześniej nie miałam nic do stracenia – dodaje cicho.

– Rozumiem. – Teraz to ja czuję, że nie mam nic do stracenia.

Siedzimy w milczeniu, zupełnie dla nas nowym.

– Muszę już iść, Nev. Opiekunowie dostaną szału, kiedy się zorientują, że nie ma mnie w domu – mówi po chwili. Odczuwam ulgę. – Zadzwonię później.

– Dobrze – mamrocze, kiedy wychodzi. Moje uczucie do Braydona kładzie się cieniem na przyjaźni z Sanną. Łączące nas więzi rozluźniają się, a wszystko przez to, co budzi we mnie jej chłopak.

Z zadumy wyrwa mnie ciche pukanie do drzwi.

– Neva, wszystko w porządku? – pyta mama. Zerkam na zegarek; już prawie pora kolacji. Nie wiem, gdzie się podziało popołudnie.

– Tak, nic mi nie jest – odpowiadam przez drzwi.

– Mogę wejść? – Nie czeka na odpowiedź, otwiera drzwi. Na jej ramieniu leży ścierka, jakby niosła niemowlaka, któremu ma się ułać. Jej koszula nadal jest krzywo zapięta i bardziej pognieciona niż rano. Podchodzi do mnie, siada obok.

– Rozmawiałam z tatą. Wszystko jest w porządku, nic się nie stało.

– Dobrze – odpowiadam. – Przykro mi. – Opieram brodę na kolanach.

– Musisz uważać – szepcze. – Nie rozumiesz. To się mogło skończyć... – Urywa. Zderzamy się głowami. – Ale nie będziemy o tym myśleć.

Widzę, że chce powiedzieć coś jeszcze.

– Co się mogło stać? – Jeszcze nigdy nie byliśmy równie blisko rozmowy o zaginionych. Nie chcę zmarnować takiej okazji.

– Po prostu bądź rozsądna, Nevo.

Nie mówi mi, że mam przestać, nie pyta, co robię. Jakby chciała, żebym się buntowała. Ale jak to możliwe? W końcu nosimy nazwisko Adams. Znamy nasze drzewo genealogiczne aż do terroru. Mój dziadek czterokrotnie zdobył mandat poselski. Mój ojciec jest członkiem Rady. Moje pochodzenie otwiera nawet zamknięte drzwi. Ale jej niedopowiedzenia mówią aż nadto.

Patrzę na mamę i wiem, jak moje życie będzie wyglądało za trzydzieści lat. Dawniej prowadziła sklep z ciuchami, ale teraz tylko uprawia pomidory w naszej szklarni i organizuje sąsiedzki program handlu wymiennego. Tata twierdzi, że każdy z nas ma swoją rolę. Jego się rozwija, mamy – kurczy. I chociaż ona nigdy tego nie powie, wiem, że chciałaby, by wiele rzeczy było inaczej.

– Zaraz przyjdzie tata. Neva...

– Tak?

Stykamy się czołami. Dodaje szeptem:

– Odłożyłam twój pamiętnik na miejsce.

– Dzięki, mamo. – Siedzimy tak, póki nie usłyszymy trzasku drzwi wejściowych.

– Zjedz z nami kolację, jeśli masz dość sily. – Wstaje i biegnie przywitać tatę w holu.

Różowy pamiętnik leży pod poduszką. Ciekawe, czy będę musiała dopisać nazwisko Noline. Ocaliły mnie koneksje rodzinne, ale Noline nie ma takich układów. W jej żyłach nie płynie arystokratyczna krew. I do tego ma znak charakterystyczny. Nie mogła tak po prostu zniknąć; to niemożliwe. Chowam pamiętnik do właściwej kryjówki w materacu. Muszę do niej zadzwonić.

– Halo? – Miękki, ochryply głos, niemal szept.

– Dzień dobry. Pani Brady? – zaczynam.

– Tak. – Mam wrażenie, że ją obudziłam. – Kto mówi?

Chcę odpowiedzieć, ale szum przybiera na sile. Czekałam, aż ucichnie.

– Mam na imię Neva, jestem koleżanką Noline.

– Och.

– Mogę z nią porozmawiać?

– Nie.

Zaskoczyła mnie.

– Słucham? – Coś jest nie tak. Dlaczego mi nie pozwala?

– Niepotrzebnie wciągnęłam moją córkę w takie...

– Nie wiem, o czym pani mówi – nie daję jej dokończyć. Niewykluczone, że ktoś tego słucha. – Czy z Noline wszystko w porządku?

– Ona... ona... – urywa, jakby szukała odpowiednich słów. – Ona ma szlaban – mówi w końcu. – Przez pewien czas jej nie zobaczysz. – Jej głos jest raz cichszy, raz głośniejszy. Muszę słuchać uważnie. – Trzymaj się od niej z daleka.

– Ależ pani Brady, ja tylko chciałam się upewnić, że Noline...

– Posłuchaj – wpada mi w słowo – może mnie nie słyszałaś, może nie zrozumiałaś... – Wyczuwam wyraźnie jej gniew i to mimo zakłóceń na linii. – Przestań, jeśli nie ze względu na Noline, to na siebie.

Połączenie się urywa.

Muszę pokazać się na kolacji. Muszę udawać, że wszystko jest w porządku. Mamy swoje miejsca. Siedzę naprzeciwko mamy, tata zajmuje krzesło u szczytu stołu i patrzy na puste miejsce. Rodzina trzyosobowa powinna mieć okrągły stół. Przy naszym zawsze mi się wydaje, że kogoś brakuje.

– Neva. – Tata wypowiada moje imię w taki sposób, jakby mnie karmił. Mama wbija wzrok w talerz, kroi na pół mały kawałek indyka. Przygotowała ulubione

danie taty. Pewnie musiała ostro się targować o indyka. Ferma dostarcza nie więcej jak tuzin dziennie.

- Tak. - Układam wzorki na talerzu z ziaren kukurydzy. Nie zjem ani jednego. Jest w naszym menu niemal codziennie.

- Musisz dać sobie spokój z tymi bzdurami. - Nie pamiętam, kiedy powiedział do mnie tyle słów za jednym razem. - Niepotrzebnie pozwoliłem ci zaprzyjaźnić się z tą dziewczyną z bliźną na twarzy. To wszystko jej wina. Pozwolił mi?

Tylko włosy go nie słuchają. Ich resztki otaczają półkolem coraz większą łysinę. Jest gładko ogolony, ale zawsze gdzieś zostawia odrobinę zarostu, poniżej ust albo wysoko na policzku. I ma w brwiach kilka dłuższych włosków, które wyglądają jak zagubione rzęsy. Czasami z jego nozdrzy wyrzy pojedynczy biały włos.

- Nie pojmuję, czemu się okaleczacie; to barbarzyństwo - mówi, wpatrzony w puste krzesło. - Tak ciężko pracowaliśmy, by stworzyć równość, a wasz głupi bunt podważa sens wysiłków całych pokoleń. Powinnaś znaleźć sobie nowych przyjaciół z lepszych rodzin.

- Och, George - wtrąca się mama pojednawczo. - Dzieci to dzieci. Daj im spokój. Nie tak dawno oboje malowaliśmy sobie twarze.

- Tata malował twarz? - Nie wyobrażam go sobie innego, niż jest teraz - z dezaprobatą malującą się na kamiennej twarzy.

- Tak, na białą, z czarnymi gwiazdami wokół oczu. - Mama obrysowuje sobie oczy gwiazdami.

- Naprawdę? - Usiłuję go sobie wyobrazić z gwiazdami wokół oczu.

- Byliśmy młodzi i nie szanowaliśmy starszych. - Tata marszczy brwi. Dostrzegam głębokie bruzdy dokoła jego ust i oczu, jakby namalował sobie tę minę na twarzy.

- Wszyscy dorostamy. - Mama wzdycha. Wbija wzrok w coś za tatą.

- To prawda. Neva także jest już dorosła. Ma zobowiązania, wobec rodziny i wobec kraju. - Wstaje, znika w holu i po chwili wraca z kopertą, którą kładzie przy moim nakryciu.

- Co to jest? - pytam i wsuwam do ust widelec z ziemniaczanym piure.

- Pakiet informacyjny. Załatwiłem ci pracę. - Wraca na swoje miejsce i uśmiecha się do mamy.

Ziemniaki rosną mi w ustach. Nie mogę ich wypluć, nie mogę przełknąć.

- Co? - Uduje mi się wykrztusić pytanie mimo ziemniaczanej guli. Przełykam z trudem.

- Pakiet informacyjny. - Tata sięga po wodę. - Będziesz pracowała u mnie.

Mama z wielkim skupieniem szuka czegoś w swoich ziemniakach.

- Co? - powtarzam. Niemożliwe, żeby naprawdę powiedział to, co usłyszałam.

- To nie było łatwe. Większość chętnych musi zdać egzamin wstępny i czekać na wyniki. Ale zadzwoniłem gdzie trzeba i powołałem się na stare przysługi. - Ojciec sięga po sztućce. - Zaczynasz pojutrze.

– Dzięki tato, ale nie. – Nie wyobrażam sobie nic gorszego. Nie dość, że wykonywałabym najnudniejszą robotę pod kopułą, to jeszcze tata i jego kumple z rządu mieliby mnie cały czas na oku. – Za kilka tygodni zaczynam szkolenie pielęgniarские. Taki zawód mi wyznaczono, zapomniałeś już?

– Już nie. – Znowu zajął się jedzeniem.

– Więc każesz mi wziąć tę pracę? – Moje sztuce z brzękiem upadają na talerz. Widelec spada na podłogę.

– Potrzebna ci dyscyplina i właściwe ukierunkowanie, a ta praca zapewni ci i jedno, i drugie.

Odsuwam krzesło, zrywam się zza stołu.

– Tak mi przykro, że się na mnie zawiodłeś.

Mama podrywa się z miejsca.

– Wcale tego nie powiedział, Nevo.

Schyła się, podnosi moje sztuce.

– Ale chciał. – Patrzę na niego gniewnie.

– Przestań dramatyzować, Nevo, siadaj i jedz. – Nawet nie podniósł wzroku. – Później przejrzymy twój pakiet.

Kręci mi się w głowie od tego wszystkiego, co chcę mu powiedzieć. Więc to dlatego wywinęłam się tak łatwo: trafię do więzienia pod okiem taty.

– Nie chcę! – Tupię nogą jak dziecko i od razu tego żałuję.

– Czy tak mi dziękuje moja córka? – zwraca się do czubka głowy mamy.

– Nie prosiłam pomoc – cedzę każde słowo. – Mam dosyć tego, że planuje się za mnie każdy mój krok.

– Więc zacznij podejmować rozsądne decyzje co do własnej przyszłości. – Rozsiada się wygodnie na krzesle.

– Jakiej przyszłości? Nie mamy przyszłości.

Czerwieni się. Zaciska palce na oparciu tak bardzo, aż bieleją.

– Nigdy więcej nie odzywaj się do mnie w ten sposób. – Nie krzyczy. Obniża głos i starannie dobiera każde słowo. – Nie waz się szkalować ojczyzny.

Jest we mnie tyle gniewu, tyle rzeczy mam do powiedzenia, że stoję tam, z otwartymi ustami i rozdętymi nozdrzami, ale milczę.

Mama podrywa się, obejmuje mnie za ramiona.

– Nevo, tata chce ci pomóc – mówi wysoko, piskliwie. – I może teraz to najlepsze rozwiązanie. Bardzo się starał.

Biegnę do siebie, trzaskam drzwiami. Rzucam się na łóżko, wtulam twarz w poduszkę i krzyczę. Dzień zaczął się źle, a skończył koszmarne. Rząd pozbawia mnie intymności. Ojciec odebrał resztkę wolności, jaką jeszcze miałam. Już wiem, co czuje zwierzę uwięzione w klatce.

Rozdział 09



To mój pierwszy dzień w pracy i pierwszy raz, odkąd będę sama z tatą od wielu, wielu lat.

Zaciska ręce na kierownicy. Denerwuje mnie. Co chwila otwiera usta jak złota rybka w akwarium. Chyba chce coś powiedzieć, ale zaraz zmienia zdanie.

Wycieram spocone dłonie w spraną czarną spódnicę. Obciążam ją. Mam wrażenie, że moje nogi są nagie. Tata zażądał, żebym chodziła do pracy w spódnicy albo sukience. Mama przerobiła kilka swoich. To kolejny przykład tego, jak ojciec chce mnie zmienić w kogoś, kim nie jestem.

Nie mieści mi się w głowie, że teraz to ma być moje życie. Mam ochotę zapytać ojca, jak to jest nie zastanawiać się nad każdym krokiem, każdą myślą. Podjąć decyzję i nie głowić się, czy inne rozwiązanie nie jest lepsze. Skąd mieć pewność? Może mama nauczy mnie, jak się uspokoić, wyciszyć i żyć dalej.

W ogłuszającym niezręcznym milczeniu patrzymy przed siebie. Miasto przypomina dekoracje filmowe, czekające na pierwszy klaps. Mam wrażenie, że ludzie czają się gdzieś na skraju. Tata zwalnia na każdym skrzyżowaniu, choć rzadko widzimy inne samochody. Tata już stwierdził, że to jego ostatni wóz. Chciałam, żeby nauczył mnie prowadzić. Podobała mi się myśl, że będę panowała nad samochodem, nie będę tylko zwykłą pasażerką. Ale powiedział, że to nie ma sensu, bo i tak rozwiązaniem przyszłościowym jest transport publiczny. Zwykła propaganda, żebyśmy uwierzyli, że coś się dzieje.

Jedziemy do starej części Miasta. Niemal na wszystkich budynkach stoją rusztowania, nie licząc potężnych budowli rządowych. Tata kilka razy naciska klakson. Ludzie idą i po chodniku, i po jezdni.

– Od czego mam zacząć? – pytam z dramatycznym westchnieniem.

To dzieje się naprawdę. Nie mogę dłużej z tym walczyć.

– W pakiecie była mowa o spotkaniu szkoleniowym. – Pojedyncze włoski na głowie i w brwiach podrygują rytmicznie w podmuchach powietrza od strony pękniętego okna. – Najpierw musisz iść do działu administracji. Tam

dostaniesz identyfikator. Przyprowadzą cię do mnie i Effie pokaże ci, co masz robić.

Effie to skrzyżowanie pitbula ze starą panną, nauczycielką. Już słyszę jej nosowy głos, jakim się odzywała, gdy dawniej dzwoniłam do taty do pracy: „Departament historii starożytnej, gabinet ministra George’a W. Adamsa. Effie przy telefonie. Słucham?” – Ilekroć dzwoniłam, zawsze mówiła dokładnie to samo, dokładnie tym samym tonem.

Kiedy jako mała dziewczynka odwiedzałam tatę w pracy, jeszcze zanim zniknęła babcia i wszystko się zmieniło, Effie stawiała na skraju biurka buteleczkę z żelem bakteriobójczym. Miałam z niego korzystać, ilekroć mijalam jej biurko, a także zawsze po jedzeniu, picciu, kichaniu, kasłaniu i wycieraniu nosa.

Tata zazwyczaj wnosił mnie do gabinetu na barana. Wszystkim, których mijaliśmy, przedstawiał mnie jako „jego małą Nevę”. Zwijalam się w kłębek na kanapie w gabinecie, skórzanej, z guzikami w kształcie rombów, które obrysowywałam palcami. Opowiadał mi historie, które zawsze kończyły się dramatycznym punkcie, żebym znowu chciała przyjść z nim do pracy. Opowiadał mi o bohaterach, wynalazcach, geniuszach.

– Doktor Ben projektował kolejne panele. Czy zdąży na czas? Odkrył, w jaki sposób skonstruować przezroczystą kopułę, która będzie jednocześnie filtrem i osłoną. Musi pokryć nią całe niebo, ale przecież niebo jest takie wielkie! Doktor Ben pracował dniami i nocami. Zdawał sobie sprawę, że przyszłość ojczyzny spoczywa w jego rękach.

– Co było dalej, tatusiu?

– Jutro, Neva.

– Jak można zakryć niebo??? Uratował wszystkich?

– Cierpliwości, kochanie. – Poklepał mnie po głowie i kazał czekać na szczęśliwe zakończenie.

Dopiero później dowiedziałam się, że mnie oszukał. Nie wymyślał tych bajek. To wcale nie były baśnie, tylko lekcje historii. Nie wymieniał suchych faktów; sprawiał, że te opowieści nabierały życia.

Zasypiałam, a on głaskał mnie po głowie, ilekroć przechodził koło kanapy. Czasami tylko udawałam, że śpię, bo chciałam poczuć na sobie jego ciepłą dłoń i usłyszeć, jak mruczy, że bardzo mnie kocha.

– Nevo – chrząka znacząco. – Teraz pracujesz dla rządu. W moim departamencie. – Mówi to tak, jakby to było najważniejsze. – Musisz się zachowywać bez zarzutu.

Mam wrażenie, że krew krzepnie mi w żyłach. Serce zaczyna mi bić szybciej.

– Tak jest.

Tata zwalnia, przepuszcza kilku mężczyzn w szarych garniturach. Przygląda mi się. Wie o przyjęciu i graffiti. Nie wiem skąd, ale wiem, że wie. Pozbawił mnie nawet tych tajemnic.

Muszę obejrzeć wideo o patriotyzmie i mojej roli jako osoby pracującej dla rządu. Młoda kobieta mniej więcej w moim wieku – Jessica, jeśli wierzyć jej identyfikatorowi – podaje mi pięciostronicowy kontrakt napisany drobnym maczkiem i każe podpisać.

– Chciałabym to najpierw przeczytać – mówię. Naburmusza się.

Z kontraktu wynika, że przede wszystkim pracuję dla rządu, wszystko inne jest na drugim miejscu. Jessica łypie gniewnie zza biurka.

– Możesz się pospieszyć... – Zerka na moje akta. – Nevo? Muszę przestrzec grafiku.

Kiwam głową. Jessica przewraca oczami i pochyla się nad klawiaturą komputera, a ja wracam do kontraktu. Czcionka jest tak mała, że niemal wzdę nosem po papierze. Mam wrażenie, że zawieram pakt z diabłem. Pytam o klauzulę poufności. Jessica nie odrywa wzroku od monitora i odpowiada:

– Masz trzymać buzię na kłódkę, słonko.

Muszę to podpisać. Dziwne, że czuję wyrzuty sumienia, składając podpis, tym samym potwierdzając, że zrozumiałam i zgadzam się na wymienione w kontrakcie warunki. Rozumiem aż za dobrze, i wcale się na nie nie zgadzam. Ale jakie to ma znaczenie, że okłamię rząd, który okłamuje mnie przez całe życie?

– Podpiszesz to czy nie, słonko? – pyta Jessica. Stoi nade mną.

– Jasne – odpowiadam i przyciskam długopis do papieru. Składam podpis, zanim atrament się rozleje. Nie myślę o tym, co piszę, jako moim nazwisku, widzę jedynie linie i zawijasy układające się w określony wzór. Dzięki temu ten podpis nic nie znaczy.

Dostaję numer pracowniczy i identyfikator. Jessica oprowadza mnie po budynku. Pokazuje poszczególne

departamenty i cytuje propagandowe formułki z rządowych broszur.

– Zarząd surowcami zajmuje całe najwyższe piętro. Zadaniem tego departamentu jest odzyskiwanie i dystrybucja istniejących dóbr i surowców, a także zarządzanie surowcami naturalnymi – oznajmia i kiwa głową, aż kołysze się jej koński ogon. – Cześć, Bill – woła do niskiego, pulchnego mężczyzny. – To szef działu badań i rozwoju – tłumaczy mi i uśmiecha się promiennie do Billa. – A ta kobieta, o tam – wskazuje głową postać w żółtej garsonce – to szefowa centrali redystrybucji. Dobrze jest ją znać. Cześć, Joan! – Pochyla się bliżej. – Znalazła mi część zamienną do starego telewizora mojego taty i skórzaną torebkę, w której trzeba było wymienić tylko poszewkę.

Tak naprawdę wszystkie piętra wyglądają tak samo. Nigdzie nie ma choćby centymetra wolnej przestrzeni. Jakby ktoś uniósł dach budynku i nasypał do środka mnóstwo mebli. Tu urzędnik siedzi za starym, ręcznie rzeźbionym biurkiem na, jak mi się wydaje, plastikowym taborecie. Dwóch mężczyzn dzieli prymitywne biurko zrobione z dwóch szafek. Na nielicznych biurkach stoją wickowe komputery. Wędrujemy przez cały budynek, aż docieramy do informacji. Dobrze znam ten dział.

Jessica zostawia mnie przy biurku Effie. Kobiety wymieniają powitalne gesty, ale żadna się nie odzywa. Po raz ostatni widziałam Effie dziesięć lat temu, kilka tygodni przed zniknięciem babci.

Effie się nie zmieniła. Nadal nosi surowe wełniane kostiumy. Ma brązowe okulary z oprawkami w kształcie

migdałów, włosy upina w kok tak ciasny, że wydaje się, że oczy wyjdą jej z orbit. Zaciska usta w cienką czerwoną linię.

Siedzi na metalowym składanym krzeselku za starym biurkiem, tuż przed gabinetem taty. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, stoją różne, niepasujące do siebie biurka i krzesła. Ludzie pochyleni nad klawiaturami piszą coś i rozmawiają półgłosem, nie odrywając wzroku od monitorów. Może jest to Departament Historii Starożytnej ze względu na średnią wieku pracowników. Jestem od nich młodszą o co najmniej trzydzieści lat.

Jeśli wierzyć ojcu, Effie ostatnio chorowała. Mam jej pomóc przygotować nowe wydanie podręcznika historii. Podręczniki historii to jedyne książki, które teraz się wydają. Co za marnowanie papieru. Effie sadza mnie na skraj swego biurka. Dostaję maszynopis nowego podręcznika i, nie przesadzam, niemal metrowy stos korekt od członków Rady i szefów poszczególnych działów departamentu historii. Wszyscy radośnie nanosili swoje poprawki. Ktoś na przykład skreślił słowo „domagali się” i zmienił je na „żądali”. Na przykład: „Władze zażądały, by wszyscy obywatel podpisali oświadczenie, że zgadzają się na uruchomienie kopuły”. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że to niewielka różnica, ale jednak domagać się a żądać to co innego. Na tym polegają rządowe ingerencje – zmienne odcienie szarości, aż to, co było białe, staje się czarne.

Przeoglądam rozdział pierwszy, poświęcony terrorowi. Ktoś – zapewne mój tata – zmienił nawet ten fragment. Zaszalał z przymiotnikami. Potężna eksplozja. Zbiorowa

panika. Niezbędne środki ostrożności. Rasa wyższa. I ani słowa o świecie poza kopułą. Jakby tamtego dnia wszystko zniknęło. Kiedy uczyłam się historii w szkole, zapytałam tatę, co było przed terrorem. Zamknął oczy i odetchnął głęboko.

– Nevo, wszystko ma swój początek – powiedział i poglaskał mnie po głowie.

Ktoś wykreślił dwa akapity o człowieku nazwiskiem James Washington. Usuwam ten tekst z głównego maszynopisu. Przeszywa mnie dreszcz. Oto pomagam rządowi wykreślać ludzi z kart historii. Przyszłe pokolenia nie dowiedzą się, że to James Washington zabezpieczył ruiny Kapitolu i tym samym stworzył pomnik upamiętniający ofiary terroru. Jeden mały ruch długopisem i znika z historii.

Nie jestem pewna, czy potrafię to zrobić. Ale nie mam wyboru, prawda? Albo będę posłusznym trybikiem w rządowej maszynie, albo zniknę jak James Washington. Czy to dlatego Kraj powoli chyli się ku upadkowi? Robimy, co nam każą. Żadnych pytań. Jeśli im ulegnę, będę taka sama jak policja. Jak ojciec.

– Dlaczego zmieniamy historię? – pytam Effie z długopisem nad kartką. Zaraz wykreślę Marię Hamilton.

Przestaje pisać. Jej dłonie zamierają nad klawiaturą.

– Wiedziałam, że to kiepski pomysł.

– Co?

– Twoim zadaniem nie jest zadawanie pytań, młoda damo. – Wraca do pracy.

Dobrze, może i tu pracuję, ale nadal mam wybór i mogę pytać.

- Co robisz? - Przysuwam się bliżej. Spódnica mi się marszczy. Unoszę się lekko i poprawiam ją.

Siada do mnie plecami, chcąc zasłonić sobą monitor, co tylko wzmacnia moją ciekawość.

- Jeśli już musisz wiedzieć, redaguję dzisiejsze wiadomości - wyrzuca w końcu z siebie.

- Co? - Wiedziałam, że tata odpowiada za redakcję informacyjną, ale dopiero teraz zaczynam rozumieć, że chodzi tu raczej o cenzurę, nie o redakcję.

Oddycha głęboko, aż coś gra jej w piersi, i tłumaczy:

- Dział informacyjny przegląda wszystkie wiadomości i przesyła mi te, którym trzeba poświęcić więcej uwagi.

Zaglądam jej przez ramię.

- Co to znaczy: „poświęcić więcej uwagi”?

Effie cmoka z dezaprobatą i łypie na mnie znad oprawek okularów.

- Nie twoja sprawa.

Przez jakiś czas skupiam się na pracy. Rozważam, czy nie dodać paru poprawek od siebie. Gdyby Sanna była na moim miejscu, byłaby ciekawa, ile razy uda jej się wciągnąć do książki słowo „dziwaczny” czy coś w tym stylu. Nie podoba mi się to zmienianie historii. Celowo pomijam kilka drobnych poprawek - tu zostawię przymiotnik, tam całe zdanie. To taki mały bunt, ale pozwala mi jakos znieść fakt, że pracuję dla rządu i pomagam im zmieniać i fałszować historię.

Palce Effie śmigają po klawiaturze. Nawet one zdają się zirytowane moją obecnością. Przerzywa pracę tylko po to,

żeby zanieść się kaszlem. Unoszę się na krześle i zerkam jej przez ramię.

- Effie... - zaczynam, ale wydaje się w jakimś transie.

Nie daję za wygraną.

- Effie, co to znaczy... - Wskazuję artykuł. Zamyka go natychmiast. - Dlaczego napisałaś: „wymagana reakcja”? Czy to nie był nekrolog?

Chrząka.

- W gazetach nie będzie już informacji o śmierci z przyczyn naturalnych.

- Ale ten facet miał tyle lat co tata.

Pracuje dalej, nie odpowiada na moje pytanie, więc wracam na swoje miejsce i usiłuję ponownie zająć się fałszowaniem historii, ale nie mogę.

Nagle zdają sobie sprawę, że Effie przestała pisać. Pobladła. Poruszam się na krześle, żeby lepiej widzieć ekran, ale spódnica znowu krępuje mi ruchy. Effie przechyla głowę, żeby zasłonić mi widok.

- Co jest, Effie? Co się dzieje? - Staję za nią. Czyta artykuł z małego miasteczka na północy. Jednego z tych, którego mieszkańcy nie ulegają namowom rządu i nie chcą przenieść się do większej metropolii. Mają mniej podstawowych surowców - wody, energii, a także mniej policjantów i więcej wolności. Czytam nagłówek: *Pięć dziewcząt znikła*. Wstrzymuję oddech. Kolejne zaginione.

Effie zamyka dokument, zaznacza tytuł na czerwono. Podnosi słuchawkę i nie patrząc, wybiera numer.

- Tak, znowu kod jedenaście; wysłałam wam ten artykuł - rzuca do słuchawki i się rozłącza. Wybiera kolejny

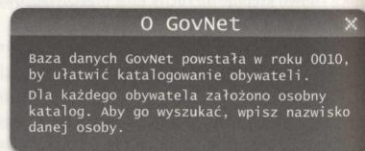
numer i powtarza dziwną wiadomość. Dotyka klawiatury. Czerwony nagłówek pojawia się ponownie. Szuka na pulpicie innej ikony – zdaje się, że o nazwie GovNet. Pisze tak szybko, że nie mam pojęcia, co robi. Podnosi głowę, wygląda włosy. Puka do gabinetu taty.

– Wejść! – dobiega ze środka.

Effie otwiera drzwi.

– Panie Adams, przepraszam, że przeszkadzam, ale znowu mamy kod jedenaście. – Milczy przez chwilę. – Tak, zajmijmy się tym. Przejrzę system i usunę wszelkie dane. – Co to ma znaczyć? Paple coś dalej do ojca.

Przysuwam się bliżej i zerkam na jej monitor. Dwie wyszukiwarki: jedna podpisana: aktywni, druga – nieaktywni. Patrzę na inne nagłówki na monitorze. Upewniam się, że Effie nie patrzy, i sprawdzam folder plik GovNet. Pośrodku ekranu pojawia się małe okienko:



O GovNet

Baza danych GovNet powstała w roku 0010, by ułatwić katalogowanie obywateli. Dla każdego obywatela założono osobny katalog. Aby go wyszukać, wpisz nazwisko danej osoby.

Zerkam za siebie. Effie nadal stoi do mnie plecami, ale słyszę, że już kończy rozmawiać z ojcem. Zamykam okno i wraca na swoje miejsce. Ta baza danych zawiera wszystkie informacje o wszystkich. Że też wcześniej na to nie wpadłam. O wiele łatwiej znaleźć odpowiedzi, pracując

dla rządu. Może teraz poznam prawdę o kopule. Może odnajdę babcię i innych zaginionych.

Effie wraca za biurko, czerwona na twarzy.

– Możesz mi powiedzieć, o co chodzi? – pytam.

Ignoruje mnie.

– Niby jak mam się nauczyć... – zaczynam, ale Effie nie daje mi skończyć.

– Ty... – podnosi głos, ale zaraz widzi, że wszystkie głowy zwracają się w naszą stronę. – Ty nigdy nie będziesz się tym zajmować. Rób, co ci każą, i nic więcej.

Krzywię się, słysząc jad w jej głosie. Zbieram się na odwagę.

– Co się stało z tymi dziewczynami? – Może jeśli się dowiem, gdzie one są, poznam także los moich zaginionych. Przerzywa mi.

– Nie ma żadnych zaginionych dziewczyn. To błędna informacja.

– Ale skąd możesz...

Zaciska pięść.

– W ojczyźnie nikt nie znika. – Wygląda włosy. – Kopuła zapewnia nam bezpieczeństwo. – Niby jakim cudem ktoś mógłby tu zniknąć? – mówi słodko.

– Ale w tym artykule było napisane, że...

– Chyba się mylisz – przerzywa mi.

Otwieram usta, ale Effie nie pozwala mi powiedzieć nic więcej.

– Na pewno się mylisz. – Głęboko oddycha i po chwili jest zwyczajną, opanowaną Effie. Podaje mi stertę kopert. – Mogłabyś je dostarczyć do adresatów?

- Co to jest? - pytam i przeglądam nazwiska i numery pokoi na zniszczonych kopertach.

Zamyka oczy i kręci głową.

- To nie twoja sprawa.

Już otwieram usta, by poprosić o mapkę czy coś, co pozwoli mi się poruszać w labiryncie budynku, ale Effie macha na mnie ręką. Czuję na sobie wszystkie spojrzenia, gdy człapię przez długi hol. Ale nikt, nawet Effie, nie jest w stanie zdusić nadziei, którą poczułam.

Sanna czeka przed domem, gdy wieczorem wracamy z tą z pracy. Ojciec omija ją, jakby była śmieciem, który już nie nadaje się do utylizacji. Na jej policzku płonie różowa blizna w kształcie litery S.

- Co to za numery? - pyta, gdy jesteśmy same. - Wczoraj i dzisiaj dzwoniłam do ciebie milion razy.

Siadam obok niej, wciskam spódnicę między nogi. Zazwyczaj widzimy się przynajmniej raz dziennie. Nie wiem, o czym z nią rozmawiać, skoro cały czas myślę tylko o Braydonie.

- Wiesz, mam tę nową pracę, tata śledzi każdy mój krok i...

- Wiem, życie się pokomplikowało, rozumiem. Twoja mama mówiła mi o tej nowej pracy. Pewnie strasznie nudzi. Ale nie spławiaj mnie. - Kładzie mi głowę na ramieniu.

Jeśli to możliwe, czuję się jeszcze gorzej.

- Przepraszam, Sanno.

Bosą stopą muska źdźbło trawy.

- Co jest? - pytam, choć boję się odpowiedzieć.

- Braydon zachowuje się dziwnie. Ty jesteś jak duch. Wszystkim odbija.

Myślę o jego miękkich włosach i nucie wody kolońskiej i gorączkowo szukam innego tematu, wszystko jedno jakiego.

- Proszę cię, San. Tyle się dzieje. Mam pracę. Ty wkrótce pójdziesz na studia. Musimy się do tego przyzwyczaić.

- Masz rację. - Rozchmurza się trochę. - Opowiedz mi o tej twojej pracy. Wyglądasz bardzo profesjonalnie. Co to za uczucie, mieć taką posadę?

- Jak sapera na polu minowym - odpowiadam i nagle wszystko się ze mnie wylewa. - Pracuję z asystentką taty, Effie. Jest wściekła, że tam jestem. - Nie wspominam o tym, że mój ojciec zmienia teraźniejszość i przeszłość. Z niewiadomych powodów nie mogę go zdradzić, nawet wobec najlepszej przyjaciółki. - Mam sprawdzać nowe wydanie podręcznika historii i... - urywam, rozglądam się dokoła i dodaję szeptem: - I chyba znalazłam sposób, by dowiedzieć się czegoś o losie zaginionych.

- Co? - Pochyla się. - Jak to?

- Rząd ma bazę danych, w której są dosłownie wszyscy. Na pewno będzie tam coś o babci. - Czuję, jak przyspiesza mi tętno. - Sanna, jestem teraz jedną z nich. Na pewno dowiem się czegoś ważnego. Znajdę dowód, że poza kopułą też jest życie. Że rząd powinien nas wypuścić.

- Nev, wydawało mi się, że ustaliliśmy, że na jakiś czas dajemy sobie z tym spokój. Braydon mówi, że to zbyt niebezpieczne i...

Przerywam jej. Nie chcę wiedzieć, co mówi Braydon.

– Może mogłybyśmy...
Teraz to ona nie daje mi dokończyć.
– A nie może być tak jak dawniej? Jak przed mroczną imprezą?
– Niestety – odpowiadam.
Obejmuje mnie, a ja czuję ułkucie winy. Powinni mnie zamknąć, ale nie za zdradę Kraju. Za zdradę najlepszej przyjaciółki.

Rozdział 10



Po tygodniu intensywnego szkolenia przez Effie wydaje mi się, że tracę rozum. Odchodzi od biurka tylko, jeśli zawoła ją mój ojciec. Ta kobieta ma chyba pęcherz z gumy, zważywszy na to, ile kawy pije – oczywiście z własnego termosu, nie mam co liczyć, że pójdzie na plotki do kuchni. Nie dla niej jałowe pogaduszki, jak to określa. Pilnuje mnie i na wrywki sprawdza moją pracę. Chrząka znacząco, jeśli zrobię sobie choćby krótką przerwę. Zastanawiam się poważnie, czy nie dosypać jej czegoś do kawy, żeby mieć choć chwilę spokoju. Ani razu nie miałam okazji, żeby jeszcze raz zajrzeć do GovNetu. Czuję się,

jakbym czekała na Boże Narodzenie, żeby otworzyć prezent, a Gwiazdka nie nadchodzi.

Dzisiaj postanawiam zjeść lunch na zewnątrz, na schodach przed budynkiem. Effie mnie chyba potajemnie naznaczyła, bo nikt do mnie nie podchodzi podczas lunchu w kantine. Właściwie to nic nowego. Siedzę na schodach, skubię kanapkę z serem i wyobrażam sobie historie o ludziach dokoła. Te dwie kobiety kilka kroków dalej porozumiewają się ze szpiegami za pomocą skomplikowanego kodu z użyciem pilnika do paznokci. Biegacz to tak naprawdę uciekinier z więzienia, kieruje się na północ. Facet w jasnoszarym garniturze przechodził tędy już dwukrotnie; w każdym razie wydaje mi się, że to ten sam facet. Pewnie planuje zamach na agencję rządową.

– Neva!

Chwilę trwa, zanim do mnie dociera, że ktoś mnie woła.

– Neva, to ty?

Przyglądam się szpiegom i uciekinierom. Może tylko sobie wyobrażam, że mam przyjaciół, jak dawniej, zanim poznałam Sannę.

– Neva! – Głos wydaje się znajomy, ale nie mogę powiązać z żadną osobą. Dobiega zza moich pleców. Odwracam się. Mój żołądek fika salto. Patrzę na stopy właściciela głosu, żeby się upewnić. Czerwone kowbojki.

– Zdawało mi się, że to ty – mówi i siada koło mnie.

– Cześć, Braydon – odpowiadam, czerwona jak burak. Dzieli nas zaledwie centymetry. Wydaje mi się, że czuję

bijące od niego ciepło. – Co tu robisz? – Odruchowo upewniam się, że nikt nas nie obserwuje.

Przygląda się swoim butom.

– Chciałem się z tobą zobaczyć?

Boże, ja też, ale teraz, gdy jest tak blisko, wolałabym, żeby odszedł. Jego widok sprawia mi niemal nieznośny ból.

– Dobrze się czujesz? – pyta. Nie widziałam, żeby się poruszył, ale jakimś cudem wydaje mi się, że jest jeszcze bliżej.

Nieznacznie kiwam głową.

– No tak, głupie pytanie. – Zauważa smugę brudu na kowbojkach. Wyciera ją starannie. – Jak w pracy?

– W porządku – kłamię. Nie wiem, jak się przy nim zachowywać. Wydaje mi się, że każdy mój gest, każde słowo zdradza, co do niego czuję. Choć sama tego nie wiem.

Pochyliła się. Nieruchomieję, przerażona, że mnie dotknie, choć właśnie tego tak bardzo pragnę.

– Neva – szepcze. – Obiecaj mi, że nie zrobisz niczego, przez co wpakujesz się w jeszcze większe kłopoty.

Wiem, co ma na myśli – mam dać sobie spokój z protestami i poszukiwaniem zaginionych, ale to, co robię teraz, z nim, jest o wiele bardziej niebezpieczne.

– Nie przestaniesz, prawda? – pyta, kiedy nie reaguję. Już i tak zna odpowiedź.

– Nie mogę. – Ludzie zajmują się swoimi sprawami. Normalny dzień. Jedzą i piją, rozmawiają i śmieją się, ale jeśli przyjrzeć się dokładniej, widać to. Widać pustkę w ich oczach. Oni już wiedzą, gdzie są granice. Ja nie.

– Zdajesz sobie sprawę, jakie to niebezpieczne? – Nabiera głęboko tchu, jakby szykował się do dłuższej przemowy.

Kręcąc przecząco głową.

– Daruj sobie. Może przekonałeś... – Imię Sanny nie przechodzi mi przez gardło.

Zdenerwowany oddycha głośno.

– Wiesz, że tak byłoby rozsądniej.

Kiwam głową.

– Ale rozsądek nigdy nie był moją mocną stroną.

– No tak – odpowiada. – Moją też nie. – Wyciąga nogi, opiera się plecami o stopnie.

Siedzimy w milczeniu, które aż się prosi, by je przerwać. Nie mogę na niego patrzeć, nie mogę mówić. Usiłuję dyskretnie odsunąć się od niego, pozwolić, by podzieliła nas przestrzeń. Widzę, że to zauważył, ale się nie rusza. Oboje udajemy, że przyglądamy się innym ludziom dookoła.

– Jak oni to robią? – mówi w końcu.

Nie zauważam niczego szczególnego.

– Ale co?

– No właśnie to? Tak w kółko, dzień za dniem?

Teraz już wiem, co ma na myśli. Ja też ich obserwuję, jak dzień w dzień odgrywiają tę samą nudną farsę.

– Nie mam pojęcia.

– Nie chce ci się czasami krzyknąć i uciekać co sił w nogach?

– Zawsze. – Wzdycham.

– Mnie też. – Zerka na mnie z ukosa. – Nie skończymy jak oni.

Jakaś częśćka mnie nadal w to wierzy.

– Owszem. Nie wszystko dla nas stracone, jeśli jesteśmy świadomi tego, że tkwimy w pułapce.

Patrzy na mnie, jakby analizował moje słowa.

– Nigdy nie postrzegalem tego w ten sposób. Ci ludzie nawet nie widzą krat dookoła.

Dziwne. Nie mówi jak on, jak Braydon. Nie wiem, czy chodzi o ton jego głosu, czy o to, że tak naprawdę rozmawiamy po raz pierwszy. Nadal jest tajemniczy, ale wydaje mi się, że na chwilę odsłonił maskę.

– Uwważaj – mówię i pozwalam sobie spojrzeć na niego przeciągle. – Zaczynasz mówić jak buntownik.

Uśmiecha się, a ja topnieję. Przynajmniej się do siebie, bolesnie powoli, milimetr po milimetrze.

Coś we mnie pęka.

– Braydon, nie mogę. – Prostuję się.

– Czego? – Szturcza mnie.

Trzask. Znowu ta iskra, wewnętrzny impuls elektryczny.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie robimy nic złego – mówi, ale nie możemy na siebie patrzeć. Oboje wbijamy wzrok w jego czerwone kowbojki.

Być może źle oceniam sytuację, ale muszę wiedzieć.

– Dlaczego mnie wtedy pocałowałaś?

Wzrusza ramionami.

– Po prostu... – Patrzymy sobie w oczy i widzę, że ten pocałunek dla niego także coś znaczył. – Odwzajemniłaś...

– Nie wiedziałam, że to ty – tłumaczę się. Oparł rękę na stopniu, tuż koło mojej dłoni. Nasze palce prawie się dorykają. Trzask.

- Braydon, trzymaj się ode mnie z daleka. - Wstaje, wyglądam spódnice.

- Masz rację. - Patrzy mi prosto w oczy.

Powinnam już odejść.

- Za żadne skarby nie chciałabym skrzywdzić Sanny.

Wstaje powoli.

- Ja też nie chcę jej skrzywdzić, ale... - Bierze mnie za rękę.

- Braydon, nie, proszę - mówię, ale nie wrywam ręki. Podchodzi bliżej.

- Ty też to czujesz, wiem to. To wszystko pięknie się składa. Pocałowaliśmy się i poczułem...

- Że żyję - kończę za niego.

- Tak. - Nasze palce się splatają.

- Jakbyśmy nie żyli życiem z odzysku. - Napięcie między nami jest nie do zniesienia, jesteśmy jak dwa potężne magnesy.

Ma suche, lekko popękane usta. Mam ochotę pokonać dzielącą nas przestrzeń i go pocałować. Boże, dopomóż. Czuję się jak po narkotykach.

- Nie mogę - mówię, otrząsam się z niewidzialnych więzów, jakie nas łączą. - Muszę wracać do pracy. - Wbiegam po schodach. Mam ochotę się obejrzeć, ale wiem, że odprowadza mnie wzrokiem. Czuję na sobie jego spojrzenie. Mam wrażenie, że pocałunek w ciemnościach to zaklęcie i teraz muszę jakoś je złamać.

Wchodzę po schodach zatopiona w myślach. Za późno dostrzegam smoliście czarny mundur. Policjant blokuje mi drogę do drzwi. Zmieniam trasę - przesuwa się

tak, że nie mogę przejść. Strach ściska mi wnętrzności. Od dawna mnie obserwuje?

- Zastanów się, co robisz - ostrzega.

Co chce przez to powiedzieć? Cofam się, chcę go obejść, ale znowu przesuwa się i zastępuje mi drogę. Serce bije mi jak szalone. Przesuwam wzrokiem wzdłuż czarnej koszuli, do jego twarzy. To nie ten sam, który mnie przesłuchiwał.

- Przepraszam - szepczę. Odsuwa się, wchodzę do środka i biegnę. Zatrzymuję się dopiero przy biurku Effie.

Dzwonię do Ethana i umawiam się z nim w Muzeum Narodowym. Może Sanna ma rację. Muszę odzyskać dawne życie. Ethan chce, żebyśmy uczcili to, że oboje pracujemy. Wydaje mu się, że porzuciłam moje buntownicze marzenia. Ale chcę odnaleźć to, co nas dawniej łączyło i zapomnieć o Braydonie.

Wchodzimy do muzeum, zatrzymujemy się w foyer. W obecności Ethana czuję się jak zdrajczyni, jak cel. Rząd śledzi każdy jego krok. Jestem boleśnie świadoma tego, że nas obserwują. W każdym pomieszczeniu są kamery, czujne elektroniczne oczy. Nawet w ciemności zdają się nas śledzić. Ani Ethan, ani rząd nie wiedzą o mojej zdradzie, choć ja czuję ją z każdym oddechem.

Na ścianie przed nami widnieje mural. Nie tylko my dwoje podziwiamy ogromne dzieło. Artysta sportretował Kraj widziany z lotu ptaka. Kopuła Iłni w słońcu, a pod nią - kraina, żyzna, zielono-błękitna. Obraz odbija się w beżowych kafelkach pod naszymi stopami. Jaskrawe

kolory ożywiają pozostałe ściany. Ze świetlików w suficie pomieszczenie zalewa słońce.

To ulubiony obraz mojego ojca. kilka razy mnie tu przyprowadzał. Słuchałam, gdy wygłaszał wykłady z historii starożytnej, o roli kopuły, która według niego jest największym osiągnięciem technologicznym w historii ludzkości. Uśmiechał się, jakby przy tym był, jakby osobiście podłączał kolejne panele. Powiedziałam, że przy tym obrazie czuję się mała i nieważna. Zesztywniał cały.

– Nigdy nie zrozumiesz, jak wtedy było. Naprawdę byliśmy nieważni. Traciliśmy tożsamość, ale ojcowie założyciele ocalili nasze dziedzictwo.

Dzieła zgromadzone w muzeum odzwierciedlają rozwój Kraju. Na obrazach widać ludzi i krajobrazy sprzed setek lat. Moda i architektura zmieniła się, ale zarazem została ta sama, jakby ciągle był 01.01.01. Mój ojciec mówi o eleganckiej prostocie. Dla mnie to nuda i zaduch.

Patrzymy z Ethanem na mural. Staram się poczuć tę samą dumę, którą czuje ojciec, może także Ethan. Patrzę na kopułę i czuję się jak w pułapce.

Ethan całuje mnie w policzek.

– Możemy zajrzeć na wystawę młodych artystów?

– Dobrze. – Posłusznie idę za nim po schodach, mijamy kolejne galerie. Wchodzimy na wystawę młodych artystów; tak się nazywa, choć najmłodsze dzieło ma z dziesięć lat. Byliśmy tu już. Ethan staje pośrodku, chłonie wzrokiem każdy obraz. Podchodzi do portretu pary w lustrze. Idę za nim. Obraz nazywa się *Para. Refleksja*. Obserwuję go, gdy analizuje płótno centymetr po centymetrze.

– Zwróć uwagę na kompozycję, połowa w lustrze, połowa w pokoju. Genialne. – Urywa, wyciąga rękę, jakby chciał dotknąć obrazu. – O tutaj, widzisz? Artysta ukazał źródło światła, choć wcale go nie namalował.

Tak naprawdę nie mówi do mnie. Na obrazie widzę dwoje ludzi. To mógłby być ktokolwiek. Mężczyzna jest nagi do pasa, kobieta ma na sobie kremową koszulkę. Stoi za nią, ale nie dotykają się. Obudzili się razem i nie są w stanie spojrzeć sobie w oczy, więc w lustrze patrzą na to, co zrobili. Ona już żałuje tej nocy, on wyciąga do niej rękę; jego dłoń ledwie mięsi się w kadrze. Wygląda, jakby chciał jej dotknąć.

– Dlaczego mnie nie rysujesz? – Nagle chcę, żeby mi się przyglądał, żeby mnie analizował, moje rysy, każdą wypukłość, żebym mogła zmaterializować się w tej chwili, w tej rzeczywistości. – Będę ci pozować. – Wysuwam biodro do przodu, rozchylam usta.

– Neva, nie musisz mi pozować. Mogłbym cię namalować nawet przez sen. – Całuje mnie w rozchylone usta i podchodzi do następnego obrazu.

– Pewnie masz rację. Portreciści mają proste zadanie – namalujesz jeden portret i potem tylko kopiujesz go w nieskończoność.

Ethan mruży oczy.

– Nigdy nie sądziłem, że będziesz jedną z nich.

– Jakich: nich?

– Tych, którzy nie mogą się pogodzić z naszym fizycznym podobieństwem. Przecież nie jesteśmy identyczni.

– Czasami wydaje mi się, że tak.

Podchodzimy do następnego obrazu. To portret starszej kobiety; jej twarz to mapa zmarszczek.

– Więc kiedy na mnie patrzysz, nie widzisz nic wyjątkowego? – pyta.

– Ależ oczywiście, że widzę! – Czerwienię się, cała spięta.

– Więc zamknij oczy. – Zakrywa mi oczy dłonią. – I opisz mnie.

Nie opuszczam powiek, wpatruję się w różowe równoległe smugi światła między jego palcami.

– Masz cudownie miękką skórę.

– Nie, Neva. Powiedz, jak wyglądam? Opisz mnie tak, jak opisałaś obraz. – Teraz stoi za mną.

– Dobrze. – Milknę na chwilę, żeby zebrać myśli. – Kręcone ciemne włosy. Krótkie. Piwne oczy. Masz na sobie koszulkę w paski, którą dostałaś ode mnie.

– Jesteś beznadziejna. – Opuszcza rękę, ale nadal stoi za mną. Obejmuje mnie w tali. Chciałabym, żeby to był Braydon. – Twoje włosy są koloru piasku na plaży w deszczowy dzień – mówi. – Po lewej stronie kręca się bardziej niż po prawej. Masz cudownie pełne usta, które czerwienią się bardziej, gdy się całujemy. Są niemal tego samego koloru co czerwcowe truskawki. Masz figurę gruszki...

– Wielkie dzięki! – Odsuwam się. Nie mogę spojrzeć mu w oczy. Będzie przyglądał mi się intensywnie, jakby mnie rozbierał wzrokiem, a ja cały czas myślę o Braydonie.

– Chodź tutaj. – Znowu mnie obejmuje. – Jeszcze nie skończyłem. Masz wąską talię, akurat taką, żebyś mogła cię objąć. Masz pełne, krągłe biodra, które płynnie przechodzą w mocne uda. – Przesuwa ręce coraz niżej.

Wyslizguję się z jego objęć.

– No dobra, dobra, zrozumiałam. Jesteś w tym sto razy lepszy ode mnie. Wygrałeś.

– To nie jest gra, Nevo.

Teraz to ja staję za nim, opieram mu brodę na ramieniu.

– Może wiesz, jakie mam oczy i jaki tyłek, ale ja znam ciebie. – A przynajmniej znalazłam. Dźgam go palcem w pierś. – Jesteś wybitnym artystą, ale rysujesz tylko poszczególne części ciała, bo tak właśnie postrzegasz ludzi. Dłoń. Oko. Spojrzenie. Gest. Boisz się śmiertelnie złożyć to wszystko razem i stworzyć coś pełnego. Marzysz o tym, że pewnego dnia zawiśnie tu twój obraz. Pragniesz tego aż do bólu. Widzę to w twoich oczach, tę radość, która pojawia się w nich zawsze, ilekroć otacza cię sztuka. Ale nie, zostałeś architektem i przerabiasz stare projekty. Pieprzyć oryginalność. Chociaż mógłbyś osiągnąć o wiele więcej.

– Przestań – mówi, błaga niemal. – Kocham cię.

– Wiem. – Kiedyś był w nim głód życia. Był zawsze pierwszy na parkiecie, pierwszy w basenie w pierwszy dzień lata. Boże, tak bardzo mi go brakuje, choć stoi tuż koło mnie. Podchodzę do kolejnego obrazu. Żółte, niebieskie i czerwone plamy na czarnym tle. Wolę abstrakcję. Ogarniam płótno wzrokiem, odprężam się. To emocje, które wzajemnie przed sobą ukrywamy. Tak to widzę.

– Ten mi się podoba.

– Tak. – Odchodzi bliżej, staje obok mnie, aż nasze ramiona się dotykają. – Fantastyczne wycucie koloru. I ta precyzja...

Biorę go za rękę. Przez jakiś czas będę żyła tą chwilą. Nie będę myślała o przyszłości, policji, o urzędzeniu naprowadzającym w nadgarstku Ethana ani o Braydonie. Zwłaszcza nie o nim. Kurczowo trzymam się tej wizji – ja i Ethan, ramię w ramię, zawieszani w czasie, jak obraz. Szczęśliwa Para.

– Wyjdź za mnie, Nevo – szepcze. Wstrząsają mnie te słowa. – Nie czekajmy dłużej. Zaczniemy nowe życie.

Gdybym wyszła za Ethana, poszłabym w ślady matki. Kolejne życie z odzysku.

Zaciska dłoń na mojej i mówi dalej:

– Jesteśmy dla siebie stworzeni.

– Jesteśmy równie niedoskonalimi jak wszyscy inni.

– Wiem o przesłuchaniu. – Bierze mnie w ramiona.

Nie mogę oddychać. – Sanna mi powiedziała. Martwi się o ciebie. Ja też.

– Ja... – Chcę powiedzieć, że wszystko jest w porządku, ale nie mogę. Duszę się.

To idealne rozwiązanie. Pobierzemy się, znajdziemy sobie fajne mieszkanie. Dobrze zarabiam. Dostaniemy rządową pożyczkę dla młodych małżeństw. Założymy rodzinę. Wszyscy zobaczą, że jesteśmy praworządnymi obywatelami.

Dadzą nam spokój. Póki się nie ustakujemy, póki nie mamy dzieci, stanowimy zagrożenie dla Kraju, to proste rozwiązanie. Moi rodzice byliby szczęśliwi. Przed oczami staje mi Braydon. Widzę nas, jak na jego motocyklu odjeżdżamy w dal. Serce bije mi szybciej na samą myśl o nim. Ale między nami do niczego nie dojdzie.

Staram się nie słuchać głosu w mojej głowie, głosu Braydona, który krzyczy: uciekaj, uciekaj jak najdalej od tego codziennego życia.

– Wyjdiesz za mnie, Nevo? – powtarza Ethan.

Całe moje życie zmierzało do tej chwili, więc dlaczego teraz, gdy wreszcie nadeszła, mam wrażenie, że wszystko tracę.

– Nie jestem pewna...

Nie puszcza mnie.

– Więc się zastanów – prosi. W jego głosie słychać panikę. – Błagam.

Ulegam mu.

– Dobrze – mówię i czuję, jak mój opór słabnie.

Rozdział 11



Rzucam się w wir pracy – to znaczy tyle, ile pozwala mi na to wiecznie czujna Effie – bo nie chcę myśleć o tym bałaganie, jakim stało się moje życie. Tylko nadzieja, że może w końcu uda mi się odnaleźć zaginionych, chroni mnie przed obłędem. Przeszywa mnie dreszcz, ilekroć widzę ikonę GovNetu.

Pierwsza szansa nadarza się niemal dwa tygodnie po tym, jak zaczęłam pracę. Effie odbiera telefon. Nie wiem, co usłyszała, ale wstaje zza biurka, wybiega... Nagle gumowe podszwy jej butów aż piszczą, gdy zatrzymuje się gwałtownie. Przypomniała sobie o swoim więźniu, czyli o mnie.

– Skopij te materiały na dzisiejszą prezentację doktora Adamsa. – Stuka palcem z krótko obciętych paznokciem w plik dokumentów na biurku. – I pod żadnym pozorem nie przeszkadzaj panu Adamsowi.

– Jak to: skopij? Myślałam, że nie wolno niczego kserować. – Biorę folder, otwieram.

Błyskawicznie zabiera mi go i zamyka.

– I to już.

Och, już rozumiem. Ma mnie nie zostawiać samej. Nie jestem godna zaufania. Biorę teczkę. Niech myśli, że wykonam jej polecenie, ale nie ma mowy, żebym przepuściła taką okazję. Staram się nie budzić w sobie płonnych nadziei, ale druga taka szansa, żeby zajrzeć do GovNetu, może mi się długo nie trafić.

– Na co czekasz? – Opędza się ode mnie, jakbym była muchą, która psuje jej piknik.

Rozchodzimy się w przeciwną stronę, jej gumowe podszwy skrzypią na podłodze, gdy odchodzi równym, szybkim krokiem.

Znikam w sąsiednim korytarzu i czekam, aż jej kroki ucichną. Kiedy jestem pewna, że się oddaliła, wracam do naszego biurka. Siadam na jej krześle; czuję na gołych nogach chłód metalu. Od razu otwieram GovNet. Migający kursor zatrzymuje się nad ikonką „Aktywni”. Przesuwam go na „Nieaktywnych”. Klikam. Otwiera się okno dialogowe. Mam wpisać nazwisko. Co chwila zerkam, czy Effie nie wraca, i zaraz przenoszę wzrok na monitor. Drżącymi palcami wystukuję nazwisko babci: Ruth Laverne Adams. Komputer szuka przez chwilę. Nie do wiary, że tyle to trwa.

„Brak informacji”.

Te słowa zdają się mrugać do mnie z monitora. Wiec nie umarła. Nie jest nieaktywna.

Ale nadal nie wiem, gdzie jest. Przysuwam się z krzesłem bliżej. Siadam dokładnie naprzeciwko monitora, staram się zasłonić sobą widok na wypadek, gdyby ojciec otworzył drzwi za moimi plecami.

Wchodzę do aktywnych. Znowu wpisuję nazwisko babci.

Ekran staje się czarny i pośrodku migoczą litery: „Dane tajne”.

Co to znaczy? Tajne? Kolejny ślepy zaułek.

Monitor migocze jeszcze raz i po chwili znowu widzę ekran główny GovNetu. Nieruchomieję nad klawiaturą. Skoro instalują podsłuchy w telefonach i wszczepiają ludziom urządzenia naprowadzające, pewnie także monitorują pracę komputerów. Przesuwam kursor na ikonę zamykającą bazę danych.

Ale nie mogę przestać, nie teraz. Jestem zbyt blisko. To okazja, na którą czekałam. Muszę zaryzykować. Zresztą to i tak komputer Effie. Pewnie w kółko kogoś sprawdza. Chcę wpisać jeszcze jedno nazwisko, ale czyje? Czerwone cyfry na zegarku elektronicznym Effie zdają się odmierzają czas do jej powrotu. Czerwień kojarzy mi się z Nico-line, z jej czerwoną gwiazdą. Ponownie klikam w ikonę GovNetu, wybieram aktywnych i wpisuję nazwisko Nico-line. Wyświetlają się kategorie – wykształcenie, rodzina, genealogia, adres, status rozrodczy, historia zatrudnienia, identyfikatory, znajomi i tak dalej. Patrzą na jej adres.

Nie miałam pojęcia, że mieszka cztery przecznice ode mnie. W aktach jest notatka o dacie przesłuchania. Pamiętam, jak na mnie wtedy patrzyła, pamiętam, jak lśniła czerwona gwiazda na jej policzku.

Przy statusie rozrodczym jest data o tydzień późniejsza niż dzień przesłuchania i znak zapytania. Co to ma znaczyć? Litery, które nic mi nie mówią: CEK i IV.

Za moimi plecami zgrzyta klamka. Zamykam GovNet. Wstrzymuję oddech.

- Gdzie Effie? – pyta tata.

Powoli odwracam się do niego; czuję, jak wszystko we mnie przyspiesza: serce, krew, myśli. Ojciec ma na sobie biały fartuch, jak zawsze w gabinecie. Wygląda w nim jak szalony naukowiec. Widział, co robiłam? Patrzą mu w oczy, ale nie widzę w nich nic innego, tylko to samo co zwykle spojrzenie pełne dezaprobaty. Może nie zauważył. Ale jestem spięta, jakby przyłapał mnie na gorącym uczynku. Spokojnie, powtarzam sobie.

- Nev, co się z tobą dzieje? – Mruży oczy, jakby starał się złamać szyfr. – I gdzie jest Effie?

- Coś jej wypadło. Zaraz wróci. – Mówię z trudnością. Nie wiadomo, dlaczego zaczynam się śmiać. Nie szczerze, ale z wysiłkiem, jak z kiepskiego kawału.

Przygląda mi się przez chwilę, jakby zapomniał, co chciał powiedzieć. Wraca do gabinetu, ale nagle zatrzymuje się i odwraca na pięcie. Drapie się w głowę. Nieśfome włosy stają dęba.

- Ef... to znaczy, Neva. – Kręci głową. Ciekawe, co go tak zaprzęta. Ma rozpięty kitel, na dłoniach – ochronne

rękawiczki. – Powiedz jej, że muszę mieć te kopie na popołudniowe spotkanie.

– Tak jest, sir. – Obiecałam mu, że w pracy będę bardziej profesjonalna, a nie dalej jak wczoraj zapomniałam się i przy Effie nazwałam go tatą.

Znika w gabinecie, ale zapomnia zamknąć za sobą drzwi. Domykam je za nim i opadam na zimne metalowe krzesło. Staram się nie myśleć o tym, co mogło się stać. Muszę być bardziej ostrożna. Ale Nicoline i jej niepewny status rozrodzcy nie dają mi spokoju. Muszę szukać dalej.

Zamiast kolejnego nazwiska z listy zaginionych wpisuję swoje. W aktach jest odnotowane, że jestem córką George'a Adamsa. Widzę klasyczne kategorie: adres, rodzina, genealogia, znaki charakterystyczne, status rozrodzcy, historia zatrudnienia, znajomi. Większość rubryk jest pusta. Za krótko żyję. Wyjątek stanowi genealogia, w której mam dwa +. To na pewno dobrze. Mam dobrą przeszłość i teraźniejszość, wśród moich przodków są ojcowie założyciele, mój ojciec jest powszechnie szanowanym członkiem rządu, podobnie jak był jego ojciec.

Na dole strony dostrzegam jeszcze jedną rubrykę: „zagrożenie”. Wcześniej jej nie widziałam. I widzę w niej wpis – 51,6 proc.

W miejscu na notatkę czytam: przesłuchiwana w związku z podejrzeniami o zachowanie niepatriotyczne. Czy to dlatego wszyscy mnie unikają? Dostrzegam także kod alfa-numeryczny, wygląda na link. Klikam. Zakaz dostępu.

Słyszę, jak na kafelkach podłogi skrzypią gumowe podeszwy. To pewnie nerwy, pewnie mi się tylko wydają.

Odbieram to jako znak, że mam szukać dalej. To dopiero początek. Będą jeszcze inne okazje. Muszę teraz kończyć.

Odchodzę szybko, żeby skierować dokumenty dla taty. Po powrocie ze zdumieniem widzę, że Effie nadal nie wróciła. Wpadam do gabinetu, tryumfalnie wymachując plikiem papierów.

– Mam te dokumenty – mówię i jestem przygotowana na to, że powita mnie wrogim spojrzeniem zza biurka, ale jego tam nie ma. Rozglądam się. Gabinet jest pusty. Dziwne. Tata rzadko wychodzi. Czasami mnie dziwi, że jeszcze nie stał się jednym z tych nocnych podziemnych stworzeń, które kurczą się i umierają na słońcu. Zerkam na wieszak w rogu. Jego marynarka nadal tam wisi, ale nie ma białego kitla, który zazwyczaj wkłada w pracy. Dziwne.

Zamykam drzwi do gabinetu i siadam na krześle Effie. Otwieram teczkę z kserokopiami dla taty. Właściwie co takiego ważnego jest w tych papierach?

Większość to rządowy belkot, wiele słów, a mało treści. Przeglądam kolejne kartki. Widzę tytuł: plan spotkania i przebiegam wzrokiem planowane tematy: analiza historyczna, dynamika strukturalna i potencjalne skutki, percepcja a rzeczywistość, dalsze kroki. Rozumiem tylko pierwszy i ostatni.

I jeszcze jeden dokument – osiemdziesiąt siedem stron, w tym bibliografia na dwanaście. Historyczna analiza zmian w kopule i wynikających z nich skutków społeczno-przyrodniczych. Autor – George Adams. Sądząc po dacie, napisano to dziełko na długo przed tym, zanim

się urodziłam. Pewnie powstało, zanim tata zrobił doktorat, bo w żadnym wypadku nie pominąłby tego tytułu.

– Co ty robisz?

Podskakuję.

– Effie – mówię i szybko zamykam teczkę.

Spycha mnie ze swojego krzesła.

– Miałas to skserować, nie czytać. – Bierze teczkę, przegląda kolejne strony – pewnie sprawdza, czy skserowałam wszystko i nie poplątałam kolejności stron. – Doktor Adams poprosi o to lada chwila.

– Taty... Doktora Adamsa – poprawiam się od razu – nie ma w gabinecie.

– Bzdura – odpowiada. A co ona, widzi przez ściany?

Jest tak pewna tego, co mówi, że już wyciągam rękę do klamki.

– Nie wolno ci tam wchodzić! – Effie zrywa się na równe nogi, zasłania drzwi własnym ciałem. – Nie wolno ci tam wchodzić bez wyraźnego pozwolenia doktora Adamsa. Siadaj – warczy i wskazuje mi krzesło. Wykonuję polecenie, choć burzę się widząc, że traktuje mnie jak psa.

Effie dwukrotnie puka do drzwi i wchodzi. Zakradam się, zaglądam do gabinetu. Taty nie ma przy biurku. A nie mówiłam, wszechwiedząca Effie? Effie kładzie teczkę na środku biurka i wtedy kątem oka zauważam ruch koło regału. Tata zjawia się nagle znikąd. Mrugam, patrzę uważniej. Naciska coś i regał się przesuwa. O rany, sekretne przejście!

Biegiem wracam na miejsce. Przez otwarte drzwi widzę, jak Effie układa akta na biurku taty. Stoi tyłem, więc wydaje się, że nie zauważyła, że ojciec zjawia się

za nią jak za sprawą czarów, ale to, jak lekko prostuje plecy, świadczy, że jest świadoma jego obecności. Wychodzi z gabinetu i zamyka za sobą drzwi.

Wraca do swojego biurka, siada, przysuwa sobie klawiaturę.

– Korzystałaś z mojego komputera? – To nie tyle pytanie, co raczej oskarżenie.

Otwieram usta, żeby zaprzeczyć, ale Effie podnosi rękę.

– Daruj sobie kolejne kłamstwa. – Agresywnie wystukuje na klawiaturze ciąg cyfr i ekran ciemnieje. – Nie waż się korzystać z mojego komputera, chyba że na wyraźne polecenie, jasne?

Kiwam głową. Z jej koka wysunęło się kilka kosmyków. Wygląda je. Zerka na drzwi gabinetu i obniża głos.

– Nie powiemy twojemu ojcu o tym naruszeniu zasad.

Nie wierzę własnym uszom. Na pewno nie robi tego ze względu na mnie. Pewnie ona także miałaby kłopoty, gdyby ktoś się dowiedział.

– Oby to się nie powtórzyło. – A potem patrzy na mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy, odkąd razem pracujemy. Z jej twarzy znika surowy wyraz.

– Neva, nie warto wiedzieć za dużo.

O co jej chodzi? Mam dosyć sekretów i błędzenia po omacku. Chcę wiedzieć wszystko.

– Kiedy już o czymś wiesz, nie sposób pozbyć się tej wiedzy.

Pochyla się nad klawiaturą, chrząka.

– Na co czekasz? – Znowu mówi ostrym tonem. – Do roboty.

W milczeniu jadę z tatą do domu. Chcę go zapytać o tyle rzeczy. Cały czas słyszę słowa Effie, że zdobytej wiedzy nie można się pozbyć. Ojciec skręca w nasz podjazd. Wyskakuję z samochodu.

– Dokąd idziesz? Mama czeka z kolacją – woła za mną.

– Muszę rozprostować kości – odkrzykuję.

Najpierw idę, potem przyspieszam, aż biegnę ile sił w nogach, jakby mnie ktoś ścigał. Płuca mi płoną, porzalewa oczy, splywa po skroniach. Wiem, co muszę zrobić.

Zatrzymuję się przed domem Nicoline; w każdym razie przed tym, który wpisano w RządNecie jako jej adres. To mały murowany domek z oknami zabitymi deskami. Gdyby nie światło sączące się między deskami, uznałabym, że jest opuszczony.

Pukam do drzwi, zanim opuści mnie odwaga. Ledwie rozlega się pukanie, chcę uciec. Zmuszam się, by zostać. Cały czas mam w głowie trzy słowa: status rozrodczy niepewny.

Drzwi otwierają się i w progu staje kobieta, która wygląda, jakby dopiero co wstała z łóżka. Ma na sobie luźne, pomięte ubranie, ale sądząc po jej wzroku, nie spała od wielu dni. Ma głębokie cienie pod oczami, czerną siateczkę żył w przekrwionych białkach.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, i wtedy dociera do mnie jej zapach. Cuchnie jak nasz kompost, kiedy mama go miesza. Pocieram nos i wstrzymuję oddech.

– Pani Brady – zaczynam. – Powiedziała pani, że Nicoline ma szlaban, ale ja naprawdę muszę z nią

porozmawiać. – Patrzy na mnie pustym wzrokiem. – Bardzo proszę... to ważne.

Krzywi się i wydaje niski, gardłowy, nieludzki dźwięk. Placze bez łez, jest tylko ten gardłowy pomruk.

– Nie ma jej tu, prawda? – pytam i od razu żałuję tych słów. Nie chcę wiedzieć.

Przechąco kręci głową.

– Więc gdzie jest? – nalegam.

– Oni. Ją. Zabrali.

Nie pytam kto. Nie muszę.

– Tak mi przykro. – Powracają wspomnienia nocy, gdy zabrali babcię. Wiem, co teraz czuje.

Rozgląda się czujnie.

– Nie powinnam tego mówić. Niczego nie powiedziałam, jasne?

– Jasne.

Wtedy dostrzega mój oficjalny identyfikator.

– Ty! – krzyczy. – To wszystko twoja wina! Twoja i tej drugiej. Dlaczego was nie zabrali? – Uderza mnie w twarz z taką siłą, że cofam się o krok. Zatrząskuje drzwi. Dotykam twarzy, policzek mnie pali.

Boże, jak bardzo chciałabym tego nie wiedzieć.

Rozdział 12



Gdy następnego dnia przychodzę do pracy, biurko Effie jest puste.

– Gdzie Effie? – pytam taty.

Wydaje się równie zdumiony jak ja.

– Na pewno zaraz przyjdzie. – Wchodzi do gabinetu i zostawia mnie samą.

Powoli schodzą się inni pracownicy. Nikt nie patrzy w moją stronę. Effie dobrze ich wyszkoliła. Po trzydziestu trzech minutach siedzenia z założonymi rękami i wpatrywania się w czerwone cyfry na zegarku elektronicznym Effie postanawiam zrobić sobie przerwę.

Parzę sobie herbatę i wydaje mi się, że imię Effie pada w szeptanych rozmowach dokoła, ale stoję za daleko, by usłyszeć coś więcej, a kiedy podchodzę bliżej, rozmowy cichną. Mam nadzieję, że Effie nie jest chora. Nie mówiłam poważnie, kiedy odgrażałam się, że ją otruję. Effie zawsze jest na posterunku, gdy rano przychodzimy z tatą do pracy i siedzi za biurkiem, gdy wychodzimy wieczorem. Nie mam pojęcia, co zrobiłaby bez pracy. I jak tata poradziłby sobie bez niej.

Mija kolejne pół godziny. Pukam do gabinetu ojca.

– Wejść! – woła. Uchylam drzwi. Pochyla się nad biurkiem. Ma rozpięty kitel, kołnierzyk przekrzywiony. Włosy sterczą mu na wszystkie strony, jakby celowo je potargał.

– Tato, Effie nadal nie ma – mówię i zerkam w stronę tajnego przejścia. Powracają wszystkie pytania.

– Wiem, wiem. – Odchyla się z krzesłem. – I nie przyjdzie.

– Dobrze się czuje? Wiem, że chorowała i...

– Effie została zwolniona.

– Zwolniona? – Opieram się o drzwi, które otwierają się i siłą rozpędu wpadam do gabinetu. W życiu nie słyszałam nic równie głupiego. – Ale dlaczego? – Taka efektywna. Aż przesadnie oddana pracy. Nie wyobrażam sobie, żeby ukradła choćby spinacz.

– Nadużyła uprawnień i dostępu do GovNetu – wyjaśniam, jakby to było pytanie.

Zołądek podchodzi mi do gardła, jakbym spadała z dużej wysokości. Wczoraj korzystałam z komputera Effie. Effie zaginęła i to wszystko moja wina.

– Co... co to znaczy?
– Przekazywała poufne dane grupie ludzi podejrzewających o poglądy antypaństwowe. – Wypowiada te słowa, ale chyba w nie nie wierzy.
– Effie? Naprawdę?
– Kiwa głową, wpatrzony w dal.
– Ufałem jej.
– Poczucie winy ustępuje. To nie moja wina.
– Co z nią będzie? – Effie spiskowcem? Nadal nie mogę w to uwierzyć.
– Tata chrząka i wraca myślami do rzeczywistości, znowu jest czujny i spięty.
– Wkrótce ktoś ją zastąpi. Do tego czasu ty przejmiesz jej obowiązki, nieobjęte klauzulą tajności. Zapomnimy o wszystkim i zajmujemy się pracą.
– Czyli zapomnimy o Effie. Ojciec ma już spore doświadczenie w usuwaniu ludzi ze swojego życia.
– Siadam za biurkiem Effie. Wkrótce przychodzą po jej komputer. Opróżniają jej biurko. W szufladach nie ma nic osobistego, nawet jednego skrawka z listą zakupów, z rysunkiem. Jakby nigdy jej tu nie było. Podłączają mi nowy komputer. Włączam go. Na monitorze jest tylko jedna ikona – podręcznik do historii. I tyle. Ani GovNetu, ani nic innego. Tyle, jeśli chodzi o moje poszukiwania. Chcę mi się wyć.

Dziwne, ale brakuje mi Effie. Jej oddanie pracy, jej nieślabnące przekonanie, że jej praca w tym biurze to fundament istnienia Kraju – to wszystko nieprawda.

Tata kręci się bezradnie między swoim gabinetem a biurkiem Effie – teraz moim. Wychodzi z gabinetu, podnosi głowę znad dokumentów, które czyta, jakby co chwila na nowo przypominał sobie, że Effie już nie ma. Łagodnieje i pochmurnieje jednocześnie. I bez jego głębokich westchnień i spojrzeń dezaprobaty czuję się samotna.
– Od wszystkich członków rządu spływają prośby o informacje. Minister wymiany życzy sobie spisu wszystkich artykułów o recyklingu. Ktoś z Ministerstwa Zdrowia dzwoni, żeby przypomnieć tacie o wizycie lekarskiej. Spełniam prośby i zbieram się na odwagę, by zapytać tatę, co robić.
– Pukam do drzwi. Liczę, że nie odpowie, choć wiem, że tam jest.
– Wejść! – krzyczy.
– Wsuwam jedną nogę za próg, ale zostaję za drzwiami. Ojciec siedzi pochylony nad biurkiem, tak że mówię do tyłego płacka na jego głowie. Stosy dokumentów grożą zawaleniem.
– Ślęczy nad grubym plikiem kartek z ołówkiem w jednej i flamastrem w drugiej ręce. Jego włosy, niesforne, rozwichrzone, podskakują, gdy pisze coś szybko i zaznacza energicznie flamastrem.
– Posłuchaj, tato, tak sobie pomyślałam, że...
– Co jest, Nevo? – warczy. Podnosi wzrok znad sterty papierów. Ogolił się jeszcze mniej dokładnie niż zazwyczaj. Ma zarost na brodzie i nierówne baczki.
– Nie wiem, co robić. – To był błąd. Od razu zaciska usta i marszczy brwi.

– To znaczy... Chciałam powiedzieć, że... naniósłłam już wszystkie poprawki, które zaakceptowałeś. Effie nie powiedziała mi, co dalej. Wszyscy zgłaszają uwagi, a ja nie wiem, co odpowiadać.

Odpręż się odrobinę.

– Pokaż, później się tym zajmę.

Wręczam mu plik teczek.

Ułożyłam je według pilności i ważności. Wszystko do członków Rady jest na samej górze, w pierwszym folderze. Wydaje się niemal zadowolony.

– Dzwonili z Ministerstwa Zdrowia, żeby ci przypomnieć o wizycie. – Pochmurnieje. – Dobrze się czujesz?

– Tak. Nevo, chodzi tylko o... – urywa – badanie rutynowe.

– Tato, chcę ci pomóc. – Podchodzę do biurka. – Mogłabym ci to poukładać – proponuję, wskazując sterty papierów dookoła. Podnoszę pierwszy lepszy folder. Ojciec napiął na nim odręcznie „Centrum Emancypacji Kobiet”. CEK. Skrót z akt Nicoline.

– Nie dotykaj tego! – Wrywa mi dokumenty. Niepotrzebnie podnosi głos. Cofam się, chcę, by dzieliła nas przestrzeń.

– Przepraszam, chciałam tylko... – Chcę stąd uciec.

– To ja przepraszam, Nevo. Jestem nieco zagubiony bez... – Wsuwa folder z CEK do szuflady. – To są poufne informacje, a ty nie masz uprawnień, żeby je poznać.

– Co muszę zrobić, żeby zdobyć te uprawnienia? – Oddałabym wiele, żeby wiedzieć, co jest w tym folderze, jakie inne sekrety skrywa przede mną ojciec.

– To niemożliwe. – Wyrównuje sterty papierów na biurku, ale wystarczy jeden nieostrożny ruch i jedna sterta spada na podłogę. Podbiegam i na chybił trafił wsuwam kartki do teczek.

– Co to jest Centrum Emancypacji Kobiet? – pytam, jakbym wyczytała w jednym z folderów.

Zabiera mi dokumenty.

– To nie twoja sprawa.

– Mogłabym zdobyć te uprawnienia. Wtedy przydałabym ci się bardziej. – I miałabym dostęp do zaginionych. Przygląda mi się.

– Nie, to niemożliwe z twoją przeszłością. Pozwolono ci tu pracować tylko dlatego, że obiecałem, że Effie... – Chrząka, jakby chciał usunąć z ust jej imię, a z umysłu wszelkie wspomnienia o niej. – Obiecałem, że będziemy cię mieli na oku. Musiałem powołać się na stare przysługi, żeby przysłano cię tutaj, a nie do... – Znowu chrząka.

Oddałabym wiele, żeby usłyszeć koniec tego zdania. Wydaje mi się, że od graffiti i przesłuchania minęły całe lata. Czuję się bezradna.

– To wszystko, Nevo.

Na resztę dnia ojciec zamyka się w gabinecie. Punktualnie o piątej wychodzę bez niego. Z budki telefonicznej dzwonię do Sanny. Proszę, żeby wszystkich zawiadomiła. Zaraz przyjdę. Musimy coś zrobić.

Co się stało z Nicoline i Effie? Dlaczego tata ma tajny schowek? Czuję się jak rybka w akwarium – cały czas kręcę się w miejscu.

Sanna proponuje, żebyśmy spotkały się w „naszym miejscu”. To szyfr – chodzi o miejsce, gdzie spotkałyśmy się po raz pierwszy. Ma rację, oczywiście. Nie możemy spotkać się u niej w domu, nie teraz, gdy mieszkają z nią opiekunowie, którzy ją podsłuchują.

Plac zabaw świeci pustkami, ale Sanna już jest. Słyszę ciche zgrzytanie karuzeli, kręci się powoli. Huśtawki wiszą nieruchomo. Zjeżdżalnia przypomina wystawiony język.

Kiedy się poznałyśmy, Sanna bawiła się właśnie na karuzeli. Rozpędzała się i wskakiwała na nią, kręciła się, aż karuzela zwalniała, zeskakiwała i zaczynała od początku. Inne dzieciaki bały się takiego tempa. Przyglądałam się jej przez dłuższy czas, aż zauważyłam regularność w rytmie, w jakim się poruszała. I kiedy karuzela z wolnła, wsiadłam i ja.

– Co robisz? – zapytałam, kiedy mierzyła mnie wzrokiem, jakbym to ja była bosa i brudna, w podartej koszulce i włosach zebranych w cztery kucyki. Usadawiłam się wygodniej na karuzeli.

– Kręcę się – odparła.

– Dlaczego? – Spięłam się, bo znowu przyspieszała.

– Bo to wspa-nia-ła. – Wskoczyła na karuzelę i kręciłyśmy się w zawrotnym tempie.

– Kręci mi się w głowie – mruknęłam.

– Tak. – Zeskoczyła. – Uwielbiam to. – Ze śmiechem osunęła się na trawę. Poczekałam, aż karuzela się zatrzyma, i podeszłam do niej.

– Połóż się i zamknij oczy. – Poklepała trawę koło siebie. Nie wiedziała, kim jest mój tata, nie obchodziło jej

że inne dzieci trzymają się ode mnie z daleka. – Nadal można to poczuć.

Położyłam się, zamknęłam oczy. Kręciło mi się w głowie, tak, ale nie przez karuzelę – przez Sannę.

Sanna kręci się powoli, pali, otacza ją aureola dymu. Tylko po tym poznaję, że się denerwuje. Pali, kiedy jest w stresie.

Siedzi na jednej nodze, drugą odpycha się leniwie.

– Cześć. – Podchodzę do niej. Zakochałam się w Braydonie, to wszystko zmieniło. Może o tym nie wie, ale wyczuwa.

– Cześć. – Nie przestaje się kręcić. Rzuci papierosa na ziemię.

– Gdzie reszta? – pytam i zerkam na zegarek.

Hamuje piętą, karuzela staje. Nie patrzy na mnie. Siadam i także odwracam głowę. Dzisiaj drewno i metal nie są tak stabilne, jak dawniej. Drewniane siedzenie zdaje się ugiąć pod moim ciężarem.

– Nev. – Słyszę trzask zapalniczki. Sanna mocno zaciąga się papierosem. – Z tym już koniec.

Serce staje mi w piersi. Zerwała z Braydonem?

– Z naszym buntem – szepcze.

– Co?

– Wszyscy wiedzą, że cię przesłuchiwało. I że teraz pracujesz dla rządu. A Noline... No wiesz, ona przepadła bez śladu, a ty...

Odpycham się powoli, jedną nogą. Kręcimy się. Sanna podejmuje rytm, odpycha się od ziemi bosymi stopami.

Oplywa mnie chmura dymu z jej papierosa.

– Wiem. Właśnie to chciałam wam powiedzieć. Zniknęła. Zabrali ją. Zaginęła. Zaginęła jak twój ojciec, moja babcia i... kiedy wszyscy przyjdą, opowiem i... Coi wymyślimy. Możemy przecież... – Myślę gorączkowo, mówię szybko, chcąc wszystko z siebie wyrzucić. Sanna musi to zrozumieć. Kręcimy się coraz szybciej.

– Nev – Wbijają obcas w ziemię i zatrzymuje karuzelę. Nie słuchasz mnie. Wszyscy uważają, że.. No wiesz... Nicoline zniknęła, a ty...

Nie mieści mi się w głowie, co sugeruje. Uważają mnie za wroga.

– Nie mam nic wspólnego ze zniknięciem Nicoline – oświadczam i tupię, aż w powietrze wzbija się obłoczek kurzu. – Podobnie jak ty.

– Wiem, ale wszyscy się boją – tłumaczy cicho, zrezygnowana. Dusi niedopalek. – Boję się.

– Ja też, ale musimy coś zrobić. – Karuzela już stoi, ale nadal kręci mi się w głowie. – Powiedziałaś im, że może teraz powinniśmy walczyć dalej? Każdy z nas może być następny. Słyszałaś kiedyś o Centrum Emancypacji Kobiet? Co to znaczy? Mój ojciec ma ukryty pokój i... jeszcze ci o tym nie mówiłam. Na pewno jest tam coś... – Plotę bez ładu i składu, bo tajemnice nie dają mi spokoju. – Może powinniśmy poszukać Nicoline, chociaż nie wiem jak. – Łapię się za głowę. – Już nie tylko Nicoline. Effie także zaginęła. Podobno działała przeciwko rządowi. Jeśli Effie działała przeciwko rządowi, prostolinijna, oddana Effie, to my... – Zakrywam oczy rękami, mam już wszystkiego dosyć. – Nie mogę przecież patrzeć

bezczylnie, jak znikają wszyscy, których kocham, правда? A mam wrażenie, że właśnie tak jest.

Sanna wstaje, moja strona karuzeli obniża się jeszcze bardziej. Ktoś nią porusza, zmusza do ruchu. Odrywam stopy od ziemi, ale nie otwieram oczu. Mknę w stronę Sanny.

– Nev – mówi miękko. Otwieram oczy. Koło niej stoją Braydon i Ethan. Ponownie opuszczam powieki. To się nie dzieje naprawdę. To niemożliwe.

Rozdział 13



Oni wiedzą. Wszyscy wiedzą. Tylko o tym myślę, gdy widzę całą trójkę przed sobą. Mój chłopak, który chce być moim mężem. Moja najlepsza przyjaciółka, która wreszcie znalazła miłość. I jej ukochany, Braydon, o którym nie mogę przestać myśleć. Cała trójka patrzy na mnie. Patrzę na Braydona. Ma na sobie białą koszulę i obcisłe czarne dżinsy. Odgarnął z twarzy długie włosy. Spuszczam wzrok, patrzę na ich stopy. Ethan nosi sfatygowane tenisówki, Sanna jest boso, Braydon ma na nogach czerwone kowbojki.

– Neva. – Ethan siada koło mnie. – Martwimy się o ciebie.

Sanna kłęka przede mną.
– Musisz przestać. To zbyt niebezpieczne. Nie wiemy, co się stało z Nicoline...

– I nie chcemy, żeby coś stało się tobie. – Braydon kończy za nią i siada koło mnie. Kładzie mi rękę na udzie. Wbijam w nią wzrok. Mam wrażenie, że w tym dotyku koncentruje się wszystko, jakby wszyscy patrzyli na jego dłoń na moim udzie.

Ethan kładzie mi rękę na ramieniu. Chcę ją zrzucić, ale nie mogę się ruszyć.

– Neva, musisz nam obiecać, że przestaniesz szukać ludzi, którzy według ciebie zaginęli.

– Oni naprawdę zaginęli – poprawiam.

– Pracujesz dla rządu, dla ojca. – Ethan przyciąga mnie do siebie. – Sanna wspomniała, że planujesz kolejną akcję protestacyjną. Neva, tak nie można.

– Chciesz powiedzieć, że ty tak nie możesz – poprawiam. Patrzę na jego nadgarstek. Może obserwują nas nawet teraz.

– Nikt nie może – wtrąca się Sanna. – Nev, proszę. To dla twojego dobra. – Robi komicznie poważną minę. Chce rozładować atmosferę, ale na próżno.

Sprzysięgli się przeciwko mnie. Chcą, żebym dała sobie spokój. Ethan i Braydon są coraz bliżej. Wbrew sobie zerkam na Braydona.

– Neva i ja pobieramy się, zakładamy rodzinę – oznajmia Ethan. Gwałtownie odwracam się do niego. Obejmuje mnie, odciąga od Braydona. – Czyż nie tak, Neva?

– Czyż nie tak, Neva? – powtarza Braydon. Przesuwa rękę na swoje udo, ale kładzie ją tak, że nadal mnie dotyka czubkami palców. Dobrze wie, co robi.

Ethan przysuwa się bliżej i czuję, jak przygniata mnie jego szczęście. Pociąga mnie Braydon. A Sanna kłęczy przede mną i bez słów błaga, bym zostawiła jej chłopaka w spokoju. Jestem rozdarta.

– Tak. – Przelykam szczerą odpowiedź i powtarzam, trochę głośniejsze. – Tak, wyjdę za niego. – To jedyna możliwa odpowiedź. Nie dadzą mi spokoju, póki nie uznają, że się poddałam. Książki i filmy sugerują, że kłamstwo jest trudne, że nie sposób je wypowiedzieć. Ale to przychodzi mi z łatwością.

Ethan całuje mnie w policzek. Sanna ścisła serdecznie. – Nev, to cudowna nowina. Gratulacje. – Obejmuje także Ethana. Zmusza Braydona, żeby wstał i całuje go komicznie głośno.

Wolałabym zaryzykować wyjście poza kopułę, niż prowadzić normalne życie u boku mężczyzny, którego nie kocham, w pracy, której nienawidzę, bez perspektyw na przyszłość.

Ethan odprowadza mnie do domu. Usiłuje rozmawiać, ale nie potrafię udawać, że wszystko jest w porządku. Kiedy zbliżamy się do drzwi, na ganek wychodzi mama.

– Dzień dobry, pani Adams. – Ethan wita ją z przesadnym entuzjazmem.

– Och! – Mama kładzie rękę na sercu. – Przestraszyłeś mnie. – Po raz pierwszy od wielu miesięcy widzę ją z rozpuszczonymi włosami. Już niemal zapomniałam, jak

wygląda, gdy loki otaczają jej twarz. Wydaje się młodsza. Otrula się płaszczem. – O ile pamiętam, Sanna mówiła, że wybieracie się gdzieś dzisiaj wieczorem.

– Zmiana planów – informuje Ethan, bo ja milczę.

– Dobrze się czujesz, Neva? – Mama kładzie mi rękę na czole. – Nie wyglądasz najlepiej.

– Nic mi nie jest – odpowiadam, kiedy całuje mnie w policzek. Od kiedy jesteśmy tego samego wzrostu? Dawniej zawsze całowała mnie w czole.

Mama otwiera torebkę, szuka kluczy i portfela.

– No dobrze. Taty nie ma dzisiaj w domu, pojechał na północ w pilnej sprawie.

– Co? – O niczym mi nie mówił.

– Coś mu wypadło w ostatniej chwili. – Poprawia włosy. – Wróć późno.

– Dokąd się wybierasz?

– Wychodzę – odpowiada i odchodzi, zanim zadam kolejne pytanie.

Kiedyś mówiliśmy sobie wszystko, ale nabieram podejrzeń, że nie ja jedna mam tajemnice.

Ethan macha mamie. Ledwie znika za rogiem, wciąga mnie do domu.

– Neva, nawet nie masz pojęcia, jaki jestem szczęśliwy – mówi i przyciąga mnie do siebie.

Całuje mnie. Wtuleni w siebie, przesuwamy się korytarzem. Chciałabym, żeby na miejscu Ethana był Braydon i przez chwilę wyobrażam sobie nawet, że tak jest.

Ładujemy na moim łóżku. Przez otwarte okno wpada światło zachodzącego słońca, obrysowuje sylwetkę

Ethana. Łapie mnie za nadgarstki, powoli unosi mi ręce nad głowę. Czuję, jak moja sukienka się unosi. Czuję na udach szorstki materiał jego spodni. Całuje mnie. Próbuję odwzajemnić pieśczętę, ale jakoś nie mogę odnaleźć właściwego rytmu. Błądzi ustami po moich policzkach, po szyi. Chcę opuścić ręce. Chcę obciągnąć sukienkę, ale Ethan jest ode mnie silniejszy. I bardziej stanowczy niż kiedykolwiek.

Całuje mnie, ale nie delikatnie i słodko, jak na mrocznej imprezie. Ma twarde usta. Miazdzy mnie. Puszcza moje ręce. Obraca w palcach kolejne guziki, aż wysuną się z dziurki. Wiercę się pod nim, czuję się jak w pułape. Na wysokości oczu mam jego biceps, widzę zarys mięśnia. Ukrywa twarz między moją twarzą a barkiem, całuje mnie w ucho, w obojczyk. Zaciskam zęby.

W przeszłości w tym samym pokoju działy się między nami różne rzeczy. Całowaliśmy się i zbliżaliśmy się na skraj przepaści, by zaraz się cofnąć. Ale Ethan nigdy nie był tak agresywny, tak nachalny. Zazwyczaj jest czuły i cierpliwy, zawsze pyta, czy zgadzam się na więcej. Ten nowy Ethan wydaje się opętany. Leżymy nos w nos. Wcisnąm głowę w poduszkę i tym samym zyskuję kilka centymetrów. Twarz Ethana spowija cień, jego oczy nikną w mroku.

- Ethan, przestań.

- Patrzy na mnie zdumiony.

- Neva, myślałem, że...

- Odpycham go, podciągam się na łóżku, czuję za plecami wezglowie. Przykrywam się kołdrą.

- Pobieramy się - mówi, siada na skraju łóżka. - Zgodziłaś się i myślałem, że...

- Ethan, postanowiliśmy. - Nagle jest mi zimno. Obciążam sukienkę. - Idź już, proszę - mówię i podciągam nogi.

- Ale Neva... - Wyciąga rękę, dotyka mnie. Wzdrygam się. Patrzę na niego i usiłuję sobie przypomnieć, co to za uczucie: kochać go.

- Neva, powiedzmy rodzicom, wyznaczmy datę. Przecząco kręcę głową.

- Dobrze, zrobimy, jak chcesz, kiedy chcesz. - Przysuwam się, liczy na pocałunek, ale odwracam głowę.

- Nie, Ethan, nie mogę za ciebie wyjść. - Te słowa boją, ale nie mogę go dłużej okłamywać.

- Dobrze, nie pobierzemy się. Masz rację. Niby dlaczego rząd ma myśleć, że wygrał? Wytrzymamy jeszcze trochę. Zamieszkamy razem... - Wyrzuca z siebie słowa, nie robi przerwy na nabranie oddechu.

- Ethan. - Kładę dłoń na jego ręce. Przestaje mówić. - Zależy mi na tobie, ale nie możemy już być razem. - Te słowa przynoszą chwilową ulgę, ale zaraz ogarnia mnie smutek. Byliśmy razem do tak dawna, że nie wyobrażam sobie życia bez Ethana, był moją opoką. Powtarzam sobie, że od kilku miesięcy to już nie jest mój Ethan.

Gładzi moją dłoń.

- Ostatnio sporo przeszłaś. Rozumiem. Nie mówisz poważnie. W porządku. Możemy poczekać z decyzją.

Może powinnam już przestać, ale nie mogę. Jeśli teraz stchórzę, być może już nigdy nie zdobędę się na odwagę.

– Ethan. – Odwracam jego twarz do siebie, tak żeby na mnie patrzył. – Chcę, żebyś kogoś poznał, żebyś się ożenił i miał dzieci. Zaslugujesz na takie życie, jakiego pragniesz. – Nawet w słabym świetle widzę łzy w jego oczach. Wycieram je, całuję go w policzek. Dlaczego nie mogę udawać, że go Kocham? Boli mnie jego cierpienie. Jeszcze chwila, a wszystko odwołam.

– Neva, proszę... – Głos mu się łamie, nie może dokończyć zdania.

– Bardzo mi przykro, Ethan. – Całuję go w policzek i czuję na wargach słony smak jego łez.

Wstaje, wpycha koszulę do spodni. Pochyla się, całuje mnie w czubek głowy.

– Jesteś zmęczona, za wiele się dzieje. Niepotrzebnie na ciebie naciskałem. Poczekamy. Spokojnie.

Jakby nie słyszał ani słowa z tego, co powiedziałam. Wychodzi, zanim zdążyłam zdobyć się na odwagę i powtórzyć, że za niego nie wyjdę.

Później wyjmuję dziennik. Siadam na łóżku i drukowanymi literami dopisuję nazwisko Effie, zaraz za Nicoline. Lista zaginionych szybko się wydłuża. Mam wrażenie, że wszyscy się poddali, tylko ja jeszcze walczę. Nasz protest był jedyną rzeczą, z której czerpałam nadzieję. Usiłowałam mnie zniechęcić, a ja z ich słów czerpałam odwagę. I nie pozwolę, by Sanna dała sobie spokój.

Czytam po kolei każde nazwisko na liście. Ruth Laverne Adams. Wypowiadam je na głos. Jest pierwsza na liście, to z jej powodu wciąż walczę. Przysięgam babci, że się nie poddam.

Rozdział 14



Mam już dosyć myślenia o potrzebach innych. Czego chce Sanna. Czego pragnie Braydon. O co prosi Ethan. Postanawiam odpocząć od nich wszystkich. Nie odbieram telefonów. Mama mówi im, że mam szlaban, i przestają dzwonić.

Teraz jestem wdzięczna losowi za pracę. Nawet bez dostępu do GovNetu mogę się dowiedzieć, dlaczego coraz więcej osób znika bez śladu. Muszę tylko być sprytna i cierpliwa.

To nie czas na zamach i nie miejsce dla kafarów. Jeśli chcę uchylić kopułę, potrzebna mi szpilka. Przyjmuję nową strategię – zrobić tysiąc mikroskopijnych dziurek. Pierwsze

zadanie – zdobyć zaufanie taty. Musi we mnie zobaczyć najbardziej oddaną i skuteczną pracownicę rządową, jaką kiedykolwiek widział. Innymi słowy, naśladowę Effie.

– Neva! – wrzeszczy tata z gabinetu. Nie odgaduję tak jak Effie, czego mu akurat potrzeba, i bardzo go to denerwuje. Ostatnio wszystko go denerwuje.

Zrywam się na równe nogi i melduję się w pełnej gotowości przy jego biurku, zanim zdąży zawołać po raz drugi.

– Tak? – Tłumię irytację, że traktuje mnie jak służącą.

Teraz tata w dużej mierze sam wykonuje dawne obowiązki Effie. Dla mnie zostają nieważne, rutynowe czynności, ale w każdym zadaniu widzę kolejną szansę. Kiedy przynoszę mu trzecią filiżankę kawy, korzystam z okazji i zwiedzam korytarze tego ogromnego gmazyska. Kiedy kładę mu pocztę na biurku, staram się zorientować, kto tu jest kim i czym się zajmuje. Czytam każdy dokument, każdą notatkę, które wpadną mi w ręce. Nie mogę tylko wykazywać przesadnego entuzjazmu, bo wzbudzę jego podejrzenia.

– Cholerny rupieć. – Ciska InfoScreen na biurko.

– Tato, bo zepsujesz. – Podbiegam, podnoszę nieduży przedmiot. To jego największy skarb. Zachował go jako jedną z nielicznych rzeczy po dziadku.

– Znowu nie działa. – Jest czerwony na twarzy. Otwiera szufladę, szuka czegoś. Dzwoni telefon na biurku. Wyciągam rękę, ale mnie uprzedza.

– Co? – Oddycha głęboko i zaczyna jeszcze raz. – Doktor Adams przy telefonie. – Milczy przez chwilę. – Przykro mi, bardzo źle słyszę... Połączenie jest bardzo słabe...

Nie rozumiem... – Ciska telefonem przez cały pokój. – Jak mam pracować, skoro wszystko się psuje? – warczy.

– Tato, dobrze się czujesz? – Podnoszę telefon i kładę na miejsce, ale nie podchodzę za blisko.

– Przepraszam, Nevo. – Przechesuje włosy ręką i nagle mam wrażenie, że patrzę na aktora wchodzącego w rolę. Pociąga nosem, prostuje się.

– Zanieś, proszę, InfoScreen do Allana w aneksie i dowiedz się, czy zdoła go naprawić – mówi, znowu opanowany.

Urządzenie idealnie mieści się w dłoni. Jeszcze nigdy nie miałam tego cuderka w ręku. Na ekranie zazwyczaj widnieją słowa, obrazy albo i jedno, i drugie. Ojciec ma w tym cacku całą bibliotekę. Zdziwiający. Większość ludzi w życiu nie widziała czegoś takiego.

– Dobrze. – Odwracam się na pięcie. Tata nie pamięta, że nie mam pojęcia, kim jest Allan ani gdzie jest aneks. Mogłabym go zapytać, ale nie chcę go jeszcze bardziej denerwować. A poza tym dzięki temu mam okazję zagadnąć kogoś innego i zwiedzić budynek.

– Dzięki, Neva – słyszę za plecami, gdy wychodzę. To coś nowego. Kolejna mikroskopijna wyrwa w kopule.

Opuszczam skrzydło, w którym mieści się departament informacji, i szukam przyjaznej twarzy. Większość pracowników pochyla głowy i unika kontaktu wzrokowego. Idę do kafeterii. Przekonałam się, że szanse, że dowiem się czegoś nowego poza departamentem informacji, są większe. Tutaj wszyscy wiedzą, że jestem córką Adamsa i chyba się mnie trochę boją.

Odkryłam także, że z dala od miejsca pracy ludzie są bardziej rozmowni, i jeszcze jedną zasadę – im niższy szczebel, tym większa szansa, że usłyszę coś więcej niż tylko zwięzłą odpowiedź na zadane pytanie.

Wypatruję siwowłosego, chudego mężczyzny w szarozielonym kombinezonie. Ma na imię Tim, jak czytamy na identyfikatorze. Świetnie.

– Chodzi ci o techmentarzysto – mówi, kiedy pytam o Allana i aneks. – Zaprowadzę cię. Sama w życiu tam nie trafisz.

Muszę przyspieszyć, żeby dotrzymać mu kroku. Idzie szybko, zdecydowanie, jak mysz do sera.

– Po co ci aneks? – pyta, nie patrząc na mnie.

– Mojemu ta... doktorowi Adamsowi zepsuł się Info-Screen. – Pokazuję mu gadżet w dłoni.

Zatrzymuje się, bierze go do ręki.

– Od lat nie widziałem czegoś takiego. – Włącza urządzenie i dotyka ekranu. – Mój dziadek miał coś podobnego. Opowiadał, że kiedyś wszyscy to mieli. Myślałem, że zmyśla, ale zaklinał się, że można było z tego dzwonić, oglądać filmy, czytać książki i grać w różne gry.

Wszyscy ludzie z pokolenia mojej babci wspominają stare dobre czasy, kiedy życie było o wiele łatwiejsze. Mieli gadżety, posługiwali się cudami technologii i w ogóle. Opowiadała mi o maszynach, które wyglądały jak ludzie i były zarazem sekretarką, sprzątaczką i szoferem. Mówiła, że jej dziadkowie mogli podróżować po całym świecie, nie ruszając się z domu – nazywała to wirtualnym czymś tam. Zaklinała się nawet, że przed terrorem ludzie latali

wewnątrz wielkich metalowych ptaków. Nie twierdzą, że kłamała, ale naprawdę trudno w coś takiego uwierzyć.

– To cudo padło na amen. – Tim potrząsa Info-Screenem przy uchu, jakby nasłuchiwał, czy coś w nim nie grzechocze.

Odbieram mu gadżet.

– Oby nie. Pan Adams byłby niepokieszony.

Ruszamy dalej.

– No, z tego, co mówią, ostatnio Adams nie ma powodów do radości.

Doganiam go.

– Jak to?

– No, ta jego asystentka, ta z wiecznie kwaśną miną, została zwolniona. Całowała ziemię, po której stapała.

Parskam śmiechem. To fakt.

– Słyszałem, że ostatnio wkurzył się na posiedzeniu Rady. – Nagle skręcamy w lewo, po chwili w prawo.

– Naprawdę?

– Tak. Co prawda rzadko podnosi głos, ale wtedy chyba naprawdę puścili mu nerwy. – Przechodzimy przez salę konferencyjną. – Już prawie jesteśmy na miejscu. – Przechodzimy kładką do sąsiedniego budynku.

– Czemu się tak wkurzył? – To zupełnie niepodobne do taty. Szczyci się swoim opanowaniem i spokojem.

– Ej, młoda damo, myślisz, że powiedzą mi coś takiego?

– Wygląda na to, że mimo wszystko dużo wiesz.

– Tak to jest, kiedy ma się oczy i uszy otwarte, a buzię zamkniętą. Nie bez powodu mamy po dwie sztuki tego – wskazuje swoje uszy – a to tylko jedno. – Uśmiecha się

i widzę, że brakuje mu jednego zęba. – Ale i tak już powiedziałem za wiele.

Schodzimy schodami do piwnicy. W końcu Tim staje. Wskazuje tabliczkę na drzwiach: „Centrum Reutilizacji Technologicznej”.

– Tak, tak, wiem, co tu jest napisane, ale uwierz mi, tutaj sprzęty umierają. Poczekam tu na ciebie – dodaje i opiera się o ścianę. – Wielki Al za mną nie przepada.

Otwieram drzwi. Rozlega się dzwonek.

– Slucham? – pyta piskliwy głos. Nie wiem, skąd dochodzi.

Do tego stopnia pochłania mnie niecodzienny widok, że nie odpowiadam. Znajduję się w pomieszczeniu wysokim na dwa piętra, wielkości boiska piłkarskiego. Przez środek przebiega lada, która zarazem jest barykadą: petenci nie wejdą dalej niż kilka kroków.

– Slucham? – Głos jest tym razem bliżej.

– Ja... – Chrząkam i odpowiadam głośniejszym głosem: – Przysłał mnie doktor Adams. Zepsuł mu się InfoScreen.

Za prętami, jak w klatkach, piętrzą się wielkie, płaskie czarne ekrany. Z ogromnych kontenerów wysypują się małe gadzety. Wszędzie stoją komputery, kable wiją się na podłodze. Całe pomieszczenie rozjaśnia światło płynące z niezliczonych monitorów, pulsujących jak światła stroboskopów. Ciszę wypełnia szum maszyn. Kręci mi się w głowie od nadmiaru wrażeń.

Nie wiadomo skąd zjawia się przede mną mężczyzna niższy ode mnie co najmniej o głowę.

– Czym mogę służyć? – Skrzypi jak nienaoliwione drzwi.

– Allan? – pytam.

Kiwa głową. Nosi przedziwne okulary – pół ramki to czarny prostokąt, drugie pół – czerwony owal. Pośrodku łączy je taśma klejąca. Na głowie ma dziwną obręcz. Jest tak chudy, że przez przezroczystą skórę przebijają niebieskie żyły i wystające kości.

Podaje mu InfoScreen.

– Pracujesz u Adamsa. – Mierzy mnie wzrokiem, bierze urządzenie. Wcisną coś i ekran się rozjaśnia. – Nazwisko?

– Neva Adams.

Macha ręką nad blatem i nagle pojawia się na nim klawiatura. Wystukuje moje nazwisko.

– Ale fajne – mówię.

– O co chodzi? – Kładzie InfoScreen na blacie i pisze dalej.

– Ja... Nie wiem. Nie działa.

– Bardzo przydatna informacja. – Jego głos ocieka ironią. Wcisną kolejne guziki. Przez ekran InfoScreena przesuwa się cienka biała linia. Nie mam pojęcia, skąd się bierze. Jeśli o mnie chodzi, może rzuca ją dziwaczna opaska Allana.

– Co to jest? To wszystko? – Wskazuję głową pomieszczenie za jego plecami.

– Części – odpowiada burkliwie. Bardziej interesuje go InfoScreen niż ja.

Zauważam pudło pełne kamer przemysłowych. Serce zamiera mi w piersi. Jest ich tyle, że wystarczyłoby do obserwacji całej stolicy.

– Naprawiasz je? – Wskazuję kamery ręką.

Nie podnosi głowy.
- Brak części.
- Naprawdę?
- To nie jest priorytet.
Ciekawe, co nim jest. Urządzenia naprowadzające?
- Powiedz panu Adamsowi, że uporam się z tym za kilka dni. Ale musi zrobić zapasowe kopie wszystkich danych z tego cacka. Niedługo padnie.
- Dobrze.
Ekran się rozjaśnia. Chude palce Allana śmigają po nim zwinnie.
- Coś jeszcze? - pyta po chwili, gdy dociera do niego, że nadal tam jestem.
- Nie, dzięki. - Podchodzę do drzwi. Tim ciągle czeka. Zamknął oczy, wydaje mi się, że chrapie. Kiedy zamykam za sobą drzwi aneksu, unosi powieki, jakby był robotem budzącym się do życia.
- Nieźle, co? - Tłumi ziewnięcie.
- Nie mam pojęcia, do czego służy połowa z tych rzeczy.
- Postęp, akurat. - Śmieje się. Wracamy tą samą drogą. - Usiłują nam wmówić, że im mniej technologii w naszym życiu, tym dla nas lepiej - szepcze. - Bzdura. Uwielbiałem moje gadzety.
- No, ale czy sami nie posługują się nowoczesną technologią, by nas obserwować? - pytam. Czuję, że mogę mu zaufać.
- Nie tam, chcą tylko, żebyśmy tak myśleli. Połowa z tych wypasionych kamer nie działa.

- A urządzenia naprowadzające? - pytam i od razu tego żałuję.
Zatrzymuje się w pół kroku. Rozgląda się na boki, jakby sam był kamerą przemysłową.
- Czemu o to pytasz?
Wzruszam ramionami.
- Mają technologię, ale nie zawsze z niej korzystają, rozumiesz?
Nie rozumiem.
Widząc moją minę, tłumaczy:
- Wszczepiają ludziom zabawki, ale nie śledzą tych nieszczęśników.
- Naprawdę? - Jego słowa robią mikroskopijne dziurki w nieprzeniknionej fasadzie systemu.
- Wybierają sobie ofiary.
Obejmuję go serdecznie.
- Za co? - pyta, gdy go puszczam.
- Za nic. - Uśmiecham się. - Po prostu dzięki. Stąd już sama trafię.
Z niedowierzaniem unosi brew.
- Jak chcesz. Znałem lepszych od ciebie, którzy przepadali w tych labiryntach na kilka dni.
- W tej chwili jestem najlepsza - wołam przez ramię i oddalam się biegiem. Do tej pory rząd trzymał mnie w żelaznym uścisku; teraz mam wrażenie, że ten uścisk zelał odrobine.

Rozdział 15



Tata zleca mi coraz więcej zadań i daje więcej przestrzeni. Ostatnie tygodnie, po zniknięciu Effie, były koszmarne. Odzywam się tylko wtedy, gdy mnie o coś zapyta. Robię, co mi każe, i staram się wykonywać jego polecenia jak najlepiej, jak najszybciej. Z dala od Sanny, Braydona i Ethana mam tylko pracę – i tajemną misję. Postanawiam nieco zintensyfikować moje działania szpiegowskie. Siedzę za biurkiem Effie, zostawiam drzwi do gabinetu minimalnie uchylone. Tata chyba niczego nie zauważa. Obserwuję go, jak siedzi za biurkiem i czyta albo wpatruje się w przestrzeń. Z każdym dniem jest bardziej roztrągnięty.

142

Prosi o coś, a kiedy mu to przynoszę, dziwi się, o co chodzi, bo zdążył już zapomnieć, że tego żądał. Zaczyna coś mówić i nie kończy zdania. Z kadr przysyłają kolejne kandydatki na miejsce Effie, ale wymagania ojca w połączeniu z moim sabotażem sprawiają, że wytrzymują najwyższej kilka dni.

Co dzień przyjeżdżam razem z nim do pracy i razem z nim wieczorem wracam do domu. Zmierzyłam, ile czasu zajmuje mu wizyta w łazience – chodzi do niej raz rano, na pięć minut, i raz po południu. Jak w zegarku. Za każdym razem, gdy wchodzę do gabinetu, zerkam na regał z książkami, tam, gdzie widziałam, jak wychodzi ze ściany. Wszystko wygląda w porządku, ale wiem, co widziałam. Dzisiaj wręczył mi stertę książek – mam je ułożyć na półkach w jego gabinecie. Zwlekam z tym zadaniem, aż wiem, że zbliża się godzina jego porannej wizyty w łazience. Wkładam kitel i rękawiczki, które muszę nosić w jego gabinecie. Bez słowa zabieram się do pracy. Tata zerka na zegarek. Patrzy na mnie, jakby zastanawiał się, czy kazać mi wyjść, ale udaję, że bez reszty pochłonęła mnie praca. Wymyka się z gabinetu. Chyba ma nadzieję, że niczego nie zauważę.

Nie marnuję czasu, żeby odłożyć naręczę książek, które trzymam. Biegnę na tył gabinetu. Nie wiem, ile mam czasu. Co chwila zerkam na otarte drzwi do gabinetu i naciskam każdy panel w boazerii. Dotykam listwy na wysokości łokcia, czuję, że ustępuje. Pcham. Nic. Wsuwam paznokcie pod listwę... I czuję, jak półka przesuwają się. Wstrzymuję oddech. Pochyliłam się i widzę malutką

143

dziurkę od klucza. Zasuwa ściankę i kiedy tata wraca minutę później, jak gdyby nigdy nic układam książki na półkach.

Wreszcie wiem, jak dostać się do tajnego schowka. Obawiałam się, że potrzebne będzie hasło dostępu albo kod cyfrowy, ale u taty nawet zabezpieczenia są historyczne. Teraz muszę jeszcze tylko zdobyć kluczyk. Mam oczy szeroko otwarte. Śledzę uważnie każdy jego ruch.

Pewnego wieczoru obserwuję go, gdy szykuje się do domu. Poznałam już większość jego zwyczajów. Układa akta na biurku, przegląda je pobieżnie. Kilka teczek trafia do szuflady po prawej stronie. Wtedy wiem, że jest już gotów, więc i ja zaczynam się zbierać. Zdejmuję kitel. Niechętnie wychodzi w nim poza gabinet – obawia się, że mógłby na nim przynieść niechciane toksyny. Wyjmuje coś z kieszeni fartucha, coś, co mieści się między kciukiem i palcem wskazującym. Gdybym nie przyglądała mu się tak uważnie, nie dostrzegłabym tego. Wsuwa ten mały przedmiot do kieszonki kamizelki. Kieszonka jest miniaturowa, idealna, żeby w niej ukryć niewielki kluczyk. Tak, to na pewno to. Potrzebuję całej siły woli, żeby nie zerwać się z krzesła z triumfalnym okrzykiem. W mojej wyobraźni rozbrzmiewają fanfary.

Chciałabym powiedzieć Sannie wszystko, co odkryłam, chciałam podzielić się z nią tym małym zwycięstwem, ale postanowiłam poczekać, aż będę miała coś bardziej konkretnego. Zawsze, kiedy myślałam o Sannie, od razu przypominał mi się Braydon. Choćbym nie wiem jak się

starala, choćbym całą sobą angażowała się w pracę, nie mogę przestać o nim myśleć.

Zaczynam się obawiać, że już nigdy nie uda mi się sprawdzić, czy moja teoria o kluczyku do sekretnego pokoju w gabinecie jest słuszna. I nagle dzisiaj słyszę, jak tata rozmawia ze znajomym o niespodziewanym posiedzeniu zwołanym na dzisiejsze popołudnie. InfoScreen wciąż jest w naprawie, więc zdejmuję z półek książki, które będą tacie potrzebne.

Jest poruszony. Co chwila ktoś do niego dzwoni, a to coś nowego. Mniej więcej dziesięć minut przed godziną spotkania kładę stertę książek na biurku. Muszę to właściwie rozegrać. Zależy mi, żeby wyszedł z gabinetu w takim pośpiechu, że zapomni zamknąć drzwi na klucz.

– Chyba już czas? – pytam.

Zerka na mosiężny zegar na biurku, ten z dziwnym cyferblatem, na którym zamiast liczb są litery, głównie X i I.

– Rzeczywiście, Nevo – odpowiada, zgarnia papiery z biurka, wsuwa do skórzanej teczki.

Wstaje. Wskazuję na kitel, pomagam mu go zdjąć. Zanim zdąży przełożyć kluczyk do kieszonki w kamizelce, odwieszam go na wieszak.

– Miłego posiedzenia – mówię, gdy idzie do drzwi z naręczem książek. Odprowadzam go wzrokiem, aż zniknie za zakrętem korytarza. A potem wracam do jego gabinetu i zamykam za sobą drzwi. Wyjmuję mały kluczyk z kieszeni kitla. Staję przed ścianą, za którą są ukryte drzwi. Nie mogę trafić kluczykiem do dziurki. Zgrzyt

metalu o metal roznosi się echem po gabinecie. Ocieram pot z czoła rękawem kitla. Współpraca z ojcem układa mi się coraz lepiej, stąd wyrzuty sumienia na myśl o tym, co zaraz zrobię.

Kluczyk wysuwa mi się z palców. Białe rękawiczki nie pomagają. Powinam je zdjąć, ale nie mogę ryzykować, że zostawię odciski palców.

Muszę się uspokoić. Podnoszę kluczyk, zaciskam go w dloni, aż wpija się w biały materiał rękawiczek. Tata mówił, że spotkanie zajmie całe popołudnie. Nikt tu nie wchodzi. Nikt nie śmie zakłócać spokoju doktora George'a Adamsa. Podchodzę do drzwi, przekręcam gałkę. Zamknięte. Wsuwam pod nią krzesło. Ostrożności nigdy nie za wiele. Tata wpadnie w szal, gdy po powrocie zostanie zamknięte drzwi, ale lepsze to, niż miałby mnie zdybać w tajemnym pokoju.

Koncentruję się, wsuwam kluczyk do zamka, przekręcam. Drewniany panel staje otworem. Z wąskiej szczeliny dociera do mnie ciepłe, stęchłe powietrze. Jednym palcem przesuwam panel.

Otwór jest na tyle wąski, że mieści się w nim tylko jedna osoba. Wchodzę. Nad moją głową zapala się światło. Odwracam się szybko, ale mechanizm uruchomiło chyba otwarcie drzwi, jeśli tak można to nazwać. W mdłym świetle widzę, że znajduje się w pomieszczeniu wielkości mniej więcej gabinetu taty, ale o wiele skromniej umeblowanego. Całą ścianę zajmują metalowe szafy na dokumenty. Przy drugiej – szklane gabloty. Na pozostałych – regały z książkami. Pośrodku pokoju stoi metalowy stół.

Rozlega się ciche kliknięcie i włącza klimatyzacja. Po prawej stronie dostrzegam panel kontrolny, a na nim czerwone i zielone światełka. W tym pokoju kontrolowane jest wszystko: temperatura, wilgotność, światło, dźwięk. Podchodzę bliżej i moje kroki i oddech wprawiają światełka w szal. Czuję, jak pot spływa mi po plecach. Nie chcę uruchomić alarmu. Patrzę na panel – nic, co wyglądałoby na system alarmowy.

To jest archiwum. Tu chodzi o zachowanie starych dokumentów, a nie ochronę przed intruzami. Ze strachem robię jeden krok. I następny.

Książki na półkach wyglądają tak samo jak woluminy w gabinecie. Ciekawe, co w nich takiego wyjątkowego. Biorę pierwszą z brzegu, ostrożnie zdejmuję z półki.

Nie wiem nawet, jak się czyta nazwisko na okładce. Książka zdaje się wibrować w moich drżących rękach. Kładę ją na stole, otwieram. Widzę zaśnieżony krajobraz z mitycznej krainy. Rysunek wygląda jak zdjęcie, ale to na pewno grafika komputerowa albo świetny rysunek. Na jednym widnieją oblodzone góry wystające ze spienionych fal. Na drugim – dziwne białoczarne stworzenia podobne do ptaków. Podekscytowana, cofam się o kilka stron, pewna, że to cudowna baśń, ale wydaje się, że to historia lądu o zabawnej, długiej nazwie, który znajduje się na południu czegoś zwanego globem.

Sięgam po kolejną książkę. W tej nie ma żadnych ilustracji, a słowa wyglądają znajomo. Rozpoznaję litery, ale nie jestem w stanie odczytać nawet jednego słowa.

Czasami nad samogłoskami widnieje dziwna kreska, a niektóre litery c mają śmieszny ogonek. Obcy język! Za wiele tego, by ogarnąć za jednym razem. Odstawiam książki na półkę.

Nie mam dość czasu, by zajrzeć do każdego tomu. Właściwie sama nie wiem, czego szukam. Serce bije mi jak szalone. Podchodzę do szklanych gablot. Pośrodku znajduje się wielka kula. Ozdobiona nieregularnymi plamami zieleni i błękitu. Rozpoznaje jeden zielony kształt – to kontury mojego kraju. Pochylam się najbardziej, jak to możliwe, ale nie dotykam szkła. Na zielonej plamie wypisano inną nazwę. Dziwne. W porównaniu z niebieską kulą to malutka plamka.

Patrzę na pozostałe przedmioty w gablocie – w większości są to stare, pożółkłe książki z podartymi okładkami, jeśli w ogóle je mają. I jeszcze kolekcja przedmiotów, które przypominają InfoScreen taty, ale są od niego mniejsze. Powoli obracam się dookoła własnej osi. Czuję, jak coś ściska mnie za serce. Chyba właśnie odkryłam, że babcia miała rację.

Poza kopułą było życie – cała wielka kula życia. Ale między było a jest jest jednak wielka różnica.

Chciałabym to wszystko dokładnie obejrzeć, dotknąć, przeczytać, ale nie mam na to czasu. Pomyśl, Neva. Książki są zbyt stare, bym mogła dowiedzieć z nich czegoś aktualnego. Gabloty są zamknięte na klucz. Obchodzę stół dookoła i podchodzę do regałów z dokumentami. Każdą szufladę oznaczono literą i liczbą. To bez sensu. Czuję, że odpowiedzi są na wyciągnięcie ręki, ale nie wiem, jakie

zadać pytanie. Zrób coś, napominam się, ale adrenalina w żyłach utrudnia logiczne myślenie.

Otwieram pierwszą z brzegu szufladę. Przeglądam stare zielone foldery. W tym świetle nie bardzo mogę czytać. Kartki są pożółkłe, zapelniają je niemal całkowicie wyblakłe litery.

Oddycham coraz szybciej. Poć mi się dłonie, aż wilgotnieją bawełniane rękawiczki. Podchodzę do pierwszej szafki, otwieram pierwszą szufladę, wydaję pierwszy folder.

Są w nim właściwie tylko szczątki i pył. A więc to chyba najstarsze akta. Jeśli są ułożone chronologicznie, muszę znaleźć najnowszy folder, najświeższe wiadomości.

Ostatnie trzy szuflady są puste. W kolejnej widzę cztery foldery. Wyjmuję najniższy, kładę na metalowym stole. Drżącymi rękami otwieram go. Plastik szeleści sztywno.

Folder leży na stole, ale odgłos nie cichnie. To drzwi do gabinetu. Ktoś szarpie za klamkę.

O Boże! Na chwilę moje serce przestaje bić.

Zamykam folder. Ale nie wyjdę stąd przecież z gołymi rękami. Nie zabiorę całego folderu, ojciec na pewno zauważyłby jego brak. Otwieram go i wydaję ostatni arkusik. Składam go kilka razy i wsuwam za staniak.

Ktoś puka do drzwi.

Odkładam folder do szuflady i rozglądam się po pomieszczeniu. Wszystko wygląda tak samo, jak zanim tu weszłam; tak mi się przynajmniej wydaje. Odsuwam drzwi, wychodzę, zamykam.

– Neva! – Tata. Krzyczy. – Neva, jesteś tam?

Mysł, Neva, mysł. Jak wytłumaczyć zamknięte drzwi? Zdejmuję z półek dwie książki. Jedną kładę na skórzanej kanapie, drugą rzucam na ziemię. Niechący rozrywam okładkę. Zdejmuję kitel i rękawiczki, ciskam je na ziemię. Podbiegam do wieszaka, wsuwam kluczyk do kieszeni ojcowskiego kitla. Wsuwam krzesło spod klamki. Mierzwię sobie włosy, szczypię się w policzki, mrużę oczy i otwieram drzwi.

– Och, cześć, tato. Przepraszam.

Staje w progu, a ja tymczasem powoli podchodzę do kanapy i siadam ciężko. Podnoszę kitel i rękawiczki.

– Dlaczego drzwi były zamknięte? – pyta. Obchodzi cały gabinet.

– Słuchaj, przepraszam, ja... – zaczynam i teatralnie poprawiam poduszkę na kanapie. – Skończyłam wszystko. Czytałam właśnie... – zerkam na okładkę książki – *Standardyzację stanu obecnego*. – Gorączkowo szukam w pamięci czegoś ze szkolnych lekcji historii. – Jednakowoż znacząco równość – ogłaszam, cytując jednego z naszych ojców-założycieli, być może samego doktora Benjamina L. Smitha.

– Masz mnie za idiotę? – Zatrzymuje się niedaleko wejścia do tajnego archiwum.

– Nie – odpowiadam z udawanym ziewnięciem. Przeciagam się, ale opuszczam ręce, gdy widzę, że drżą.

Podchodzi do mnie.

– Co ty właściwie robiłaś?

– Zaczęłam czytać, a potem zachciało mi się spać, więc pomyślałam, że zamknę drzwi. Nie chciałam, żeby ktoś

mnie przytępał na drzemce w pracy. – Przesuwam się na skraj kanapy.

Podnosi książkę, zauważa podartą okładkę.

– Och, przepraszam. Wysunęła mi się z rąk, kiedy spałam, no wiesz. – Podchodzę do niego, chcę ją zabrać, ale przyciska ją do piersi, głaszcze rozdartą okładkę.

– Zawiodłem się na tobie, Nevo. – Jego słowa ranią. Dostrzega puste miejsca na półkach, wstawia książki na miejsce. – Wyjdź, proszę.

– Ale... – Właściwie dlaczego chcę go przeproszać? Chcę, żeby zrozumiał. Sądząc po jego minie, czuje fizyczny ból. Przesuwa palcem po grzbietach książek.

– Wracaj do domu. – Schyla głowę, jakby się modlił.

Jak on mógł? Odkąd pamiętam, karmił mnie klamstwami o naszej wspaniałej historii. A teraz wiem, że jest jeszcze tyle, czego nie wiemy. A mimo to czuję, że straciłam coś bezpowrotnie.

Rozdział 16



– Spotkajmy się u twojej mamy – szepczę do telefonu. Poko-
nałam na piechotę dwie przecznice, zanim stwierdziłam,
że mogę bezpiecznie zadzwonić. Nawet teraz rozglądam się
co chwila na boki, upewniam się, że nikt za mną nie stoi.

– Nev, to ty? – Głos Sanny rozbrzmiewa głośno, zaglu-
sza szum w słuchawce. Przyjaciółka mówi coś jeszcze, ale
nie rozumiem słów.

– Spotkajmy się u twojej mamy – powtarzam głośniej,
wolniej, z nadzieją, że mnie zrozumie.

– Nev, super, skończył ci się szlaban! Bomba! O rany,
ależ mi ciebie brakowało. Ale teraz nie mogę, bo...

– Zrób to. – Szmery nagle cichną. – Przyjdź sama. Żad-
nych wymówek. To ważne.

Sanna zastaje mnie opartą o nagrobek jej matki.

– Patrz. – Wyjmuję artykuł ze stanika. Pot, zgięcia i tar-
cie podzieliły arkusz na szesnaście kwadracików.

– Co tam masz? – Sanna kłęka, kładzie arkusik na gro-
bie matki. Siadam koło niej. Ostrożnie układam kawałki,
żeby odtworzyć oryginalny arkusz, taki, jaki wyniosłam
z archiwum taty. Cały czas dręczą mnie wyrzuty sumie-
nia – kłamałam, ukradłam... i do tego wyraz jego twarzy.
Nie musiał mi mówić, że się na mnie zwiódł – cały czas
ma to wypisane na twarzy. Ale tym razem było o wiele
gorzej.

– Wydaje mi się, że to stara gazeta – mówię cicho.

– Co? – Wygląda kruchy papier.

– Ukradłam to z tajnego archiwum ojca.

– Skąd? – patrzy na mnie ze zdumieniem. – Okradłaś
boga historii?

Potwierdzam ruchem głowy.

– Nev, wydawało mi się, że ustaliliśmy, że... – pochyla
się, żeby lepiej zobaczyć.

– Przeczytaj. – Powinam być z siebie dumna, ale nie
jestem. To nie w porządku. Nawet jeśli jest dupkiem,
to w końcu mój ojciec. Staramy się odczytać napisy
na zniszczonym papierze.

Wyraźnie widać jedynie nagłówek: *Kraj zamyka gra-
nice – przed ludźmi i ideami*. Pozostały tekst jest zmazany,
jakby rozmyty. Na zdjęciu widać jedynie szare kropki.

Udaje nam się odczytać historie masowego exodusu. Ludzie emigrowali z własnej woli albo zmuszano ich do wyjazdu, gdy podjęto decyzję o zamknięciu granic. Łapię się na tym, że przebiegam tekst w poszukiwaniu informacji o świecie zewnętrznym, ale artykuł koncentruje się na tym, co wewnątrz granic. Jeden z naukowców dowodzi, że eksperyment potrwa zaledwie kilka lat, do wyczerpania surowców naturalnych. Inny – że zbyt bliskie pokrewieństwo mieszkańców i wynikające z tego choroby skłonią rząd do zmiany decyzji. Czytając te słowa, wymieniliśmy z Sanną znaczące spojrzenia.

Poznajemy jedno nazwisko: Benjamin L. Smith. W tym artykule broni czasu, technologii, funduszy i ludzi niezbędnych, by zapewnić krajowi bezpieczeństwo.

„Nasza kultura jest zagrożona. Nie ma kosztów zbyt wysokich, by się uchronić przed globalizacją?”

– Co to jest glo-ba-li-za-cja? – pyta Sanna.

Wzruszam ramionami.

– Brzmi jak choroba.

– Myślisz, że dlatego nas zamknęli?

Znowu wzruszam ramionami.

– Myślisz, że na zewnątrz wszyscy umarli od tej globalizacji?

Teraz ona wzrusza ramionami.

Połowę artykułu urwano. Dotykam postrzępionego papieru i zastanawiam się, co jeszcze zawierał.

Co to za data? Piętnasty grudnia 2051? – Sanna patrzy na nagłówki. – Niemożliwe, żeby to był tekst z przyszłości.

Na to pytanie znam odpowiedź. Babcia mi to kiedyś powiedziała.

– Kiedy zamykali kopułę, ustanowili nową rachubę czasu – 01.01.01.

– Nev, to wspa-nia-le! – Sanna obejmuje mnie ramieniem. – Ciekawe, co powiedziałby Braydon.

Staram się o nim nie myśleć.

– To dowód, że na zewnątrz coś było. – Składam kawałki gazety. Dzieje się to, o czym mówili ci ludzie w artykule. Kończą się surowce. Mnożą choroby.

– Będę miała nie lada kłopoty, jeśli ktoś się o tym dowie. Moją tatę wyrzucą z pracy albo... – Zerkam na skrawki papieru. – Albo jeszcze gorzej.

Kładę się na trawie. Sanna układa się koło mnie.

Patrzmy na kopułę. Teraz wydaje się inna, jakby bardziej zachmurzona. Może dlatego że wiemy coś więcej naszej historii. W szkołach mówi się nam tylko, że granice zamknięto po terrorze.

A tymczasem okazuje się, że nasi ojcowie-założyciele wyrzucali ludzi z kraju. Z artykułu nie wynika, że działali w samoobronie. Ojcowie-założyciele dokonali pewnego wyboru. Na zewnątrz mieszkali inni, i mieli się dobrze, gdy zamykali kopułę.

Mija sporo czasu. Siadam.

– Musisz to dla mnie przechować. – Podaję jej artykuł, świadoma, że proszę o wiele. – Póki nie wymyślę, co dalej.

– Och, Nev, sama nie wiem. – Odsuwa go od siebie, ale nie daje jej dokończyć.

– Mało brakowało, a ojciec przyłapałby mnie na gorącym uczynku – mówię i opowiadam mrozącą krew w żyłach historię mojej ucieczki z archiwum. – Ukryj to w bezpiecznym miejscu. Nikomu tego nie pokazuj i nie o tym nie mów.

* * *

Włóczę się do dziesiątej. Najchętniej ukryłabym się w cieniu, ale strach każe mi zostać w świetle. Chodzę od latarni do latarni. Ulice, po których chodziłam setki razy, nagle wydają się inne. Powietrze nagle pachnie inaczej. Jestem zagubiona, choć stoję przed własnym domem. Czekam, aż w pokoju rodziców zapali się światło. U Adamsów, jak w zegarku, idzie się spać, gdy wiekowy zegar na kominiku wybije dziesiątą. Mama zawsze całuje mnie w czoło. Tata woła ze swojego pokoju: „kolorowych snów”. Nigdy do końca nie wiem, co ma na myśli.

Zapala się światło w ich sypialni. W oknie staje postać, po zgarbionych ramionach rozpoznaję, że to mama. Rozgląda się, zanim zaciągnie zasłony. Pewnie mnie szuka. Czekam jeszcze dziesięć minut i podchodzę do drzwi.

Wyciągam rękę do klamki i w tym momencie ktoś otwiera drzwi z takim impetem, że niemal wpadam do środka, prosto na tatę.

– Jak mogłaś?

Mam ochotę uciekać.

Wchodzi do saloniku. Mam iść za nim. Człapię niechętnie. Oczekuję, że zatrzyma się pośrodku, że wypełni sobą całą przestrzeń.

Ale nie, siada na kanapie, pochyla się, kurczy.

– Jak mogłaś postawić mnie w takiej sytuacji? – pyta, ale z jego głosu zniknęła siła.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Wiem, że weszłaś do archiwum.

– Nie wiem, o co...

Kręci głową.

– Proszę cię, nie pogarszaj sytuacji, okłamując mnie. Znam tamto pomieszczenie. Wiem, że ktoś tam wszedł.

– Przepraszam, tato. – Samo mi się wymknęło.

– Nie powinnaś była tam wchodzić. – Nie podnosi głowy. – Nie możesz wrócić do pracy. Nie wiem, jak to wytłumaczę, nie budząc zbyt wielu podejrzeń, ale coś wymyślę.

Zawsze wymyśla świetne historie.

– Dlaczego, Neva? – Machinalnie bawi się pasmem włosów, nawija je na palec.

– Nie mieści mi się w głowie, że trzymasz pod kluczem informacje o świecie zewnętrznym. – Czekam, aż zaprzeczy, aż zapewni, że wcale nie chodzi o to, by nas tu zatrzymać.

– Powinienem był się tego pozbyć już dawno temu. I miałem to zrobić, ale to historia, nasza historia.

– Co to w ogóle jest?

Przez chwilę patrzymy sobie w oczy.

– To rzeczy z czasów sprzed kopuły, kilka książek, kilka drobiazgów. W sumie nic takiego. Rzeczy, które rząd konfiskował.

Po raz pierwszy słyszę, jak ojciec przyznaje, że było coś przed kopułą. Chciałabym wiedzieć więcej, ale nie pytam.

– Wyjaśnijmy coś sobie raz na zawsze. – Chce wstać, ale zmienia zdanie i z powrotem opada na kanapę. – Musisz zapomnieć o wszystkim, co tam widziałaś. Wszystko zniszczyłem.

– Co?

– Przez ciebie nie miałem wyboru. Nie mogę ryzykować, że ktoś się dowie o tych dokumentach, o tych przedmiotach. Nie teraz.

Wzdycha.

– Neva, nie masz pojęcia, i mam nadzieję, że nigdy się nie dowiesz, ile musiałem zrobić, żeby cię chronić.

Wstyd mi. Przeze mnie zniszczył skarby chronione od pokoleń. Bo właśnie to chce mi powiedzieć, prawda?

Nie wie. Nie wie, że coś ukradłam. Teraz tego żałuję. Może powinnam była mu zaufać. Może i on z czasem obdarzyłby mnie zaufaniem.

– Tato, jest coraz gorzej. – Chrząkam i zaczynam mówić. – Wiem o tym. Wiem też, że nie chcesz tego widzieć. Rząd...

– Dość tego – przerywa mi.

– Wszystko w porządku? – woła mama z sypialni.

– Tak, Lily – odpowiada tata. – Śpij spokojnie.

– Neva? – Mama nie daje za wygraną.

Tata łypie na mnie groźnie. Wiem, co chce mi powiedzieć: nie denerwuj matki.

– Wróciłam, mamo! – odkrzykuję. – Nic mi nie jest.

– Dobrze, ale nie siedźcie zbyt długo. – Słyszymy, jak wraca do sypialni.

Tata czeka, aż zamknie za sobą drzwi. Wstaje, prostuje się na całą wysokość, odwraca do mnie.

– Neva, nie waż się więcej mówić takich rzeczy. – Chwyta mnie za ramiona. Jego oczy, zazwyczaj smolście czarne, teraz wydają się brązowe, widać w nich błaganie. – Słyszysz mnie? – Przejęty, potrząsa mną, aż głowa kołysze mi się na wszystkie strony. – Nie mogę cię chronić. Już nikogo nie mogę chronić.

– Puszczaj mnie. Nadal się trzęsę.

– Przerażasz mnie – szepczę. On także jest przerażony. Widzę to w jego oczach.

Odsuwa się.

– Idź spać.

Wlokę się do sypialni. Wydaje mi się, że podłoga pod moimi stopami nie jest tak stabilna jak dawniej.

Rozdział 17



Budzi mnie krzyk. Siadam gwałtownie. Przez zasłony przenika światło, więc to już rano. Chwilę trwa, zanim uświadamiam sobie, że to głosy rodziców. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby się kłócili. Nie rozróżniam słów, nie chcę podsłuchiwać, i bez tego znam już zbyt wiele sekretów. Nie chcę więcej.

Mama wchodzi do mojego pokoju, gdy ojciec pojechał do pracy. Siada na skraju łóżka. Ma na sobie jasnoniebieski puchaty szlafrok i niepasujące do niego kapcie. Nie mówi.

– O co chodzi? – pytam. Mruży oczy, jakby nie rozumiała moich słów.

– Przykro mi, że nie wyszło ci z pracą u taty. – Nerwowo zaciska i otwiera dłonie.

– Słyszałam, jak się kłóciliście – wyznaję.

Sięga do kieszeni szlafroka, podaje mi list. Oficjalne pismo z Ministerstwa Zdrowia.

Czytam go kilka razy. Oficjalny bełkot. W końcu chyba dociera do mnie jego treść, ale to przecież niemożliwe.

– Mamo? – Musi mi to wyjaśnić. – Czy tu jest napisane...?

– Ze będziemy mieli dziecko.

Odsuwam się od niej jak najdalej.

– Dlaczego mi nie mówiłaś, że chcecie adoptować? –

Najpierw sekretne archiwum taty, a teraz to. Moja rzeczywistość zmienia się w zastraszającym tempie.

– Nie ubiegaliśmy się o dziecko – mówi cicho.

– Chcesz powiedzieć, że rząd rozdaje dzieci na prawo i lewo? Wiem, że chcieliście mieć więcej dzieci. Wiem, że się staraliście.

Na jej twarzy maluje się smutek, ale powstrzymuje łzy.

– Chcieliśmy, żebyś miała siostrę albo brata. Na tatę wywierano naciski. Duże rodziny mają większe możliwości, ale przestaliśmy próbować, uznaliśmy, że jedno dziecko nam wystarczy. – Dotyka mojej twarzy i usiłuje się uśmiechnąć.

– Więc dlaczego...

– Słyszałam, że prawdziwym patriotom daje się na wychowanie niechciane dzieci.

– A kto nie chce dzieci? Rząd dofinansowuje ich wychowanie, niemal błaga ludzi, żeby się rozmnażali. – Składam list, oddaję jej. Czuję, że wie więcej, niż mówi. – O co chodzi? W czym rzecz?

– Tego już za wiele. – Macha złożonym arkusikiem.

– Nie chcesz tego dziecka?

– Rozejrzyj się. Jest coraz gorzej. Nie chcę skazywać kolejnego dziecka na życie w tym... – urywa.

– A nie możesz zadzwonić do minister zdrowia i powiedzieć jej, że nie chcesz tego dziecka?

Przeczący ruch głową.

– Twój tata jest członkiem Rady. A zresztą, nawet gdyby nie był, nie można tak po prostu odmówić.

– Jak to działa? Skąd jest to dziecko?

– Lepiej nie zadawać zbyt wielu pytań.

Moim zdaniem zadajemy ich zbyt mało.

– A zatem będziesz miała brata albo siostrę – dodaje na zakończenie.

– Czy nam się to podoba, czy nie – mruczę pod nosem. Mam ochotę powiedzieć jej o archiwum, o tym, czego się dowiedziałam, ale jest taka znużona. Na dzisiaj wystarczy jej sensacji.

– Wychodzę później – mówi, idąc do drzwi.

– Mogę iść z tobą? – Nagle chcę się poczuć jak pięcioletka, złapać mamę za rękę i iść z nią ulicą, aż zaciągnie mnie do sklepu. Chcę obracać się przed lustrem w fab baniastej sukieneczce i patrzeć na jej reakcję. Będziemy sobie szły, machając rękami, zjemy lody w wafelku – nie szkodzi, że będą nam kapaly na ubranie. I mama wcale

nie będzie zła, kiedy po czekoladowych lodach zostaną mi plamy na koszulce. Wrócimy do domu i ten dzień stanie się naszym wspólnym sekretem, tajemnicą, którą nie podzielimy się z tatą.

Stoi do mnie plecami.

– Nie, Neva, to coś, co muszę załatwić sama.

Mam ochotę zapytać, dokąd się wybiera, ale wszyscy mają swoje tajemnice. Sama tak powiedziała. Więc wychodzi, a ja ukrywam się pod kołdrą – moją prywatną kopułą.

Słyszę rytmiczne stukanie. Stopniowo dociera do mnie, że ten odgłos dobiega z zewnątrz.

– Nev. – Sanna nie tyle puka do drzwi, ile wygrywa na nich solówkę jak na perkusji. Wie, gdzie chowamy zapasowy klucz do domu. Tata się złości, gdy sama wchodzi, ale dla mamy i dla mnie Sanna jest członkiem rodziny. Zerkam na zegarek. Dochodzi południe. Chcę dalej spać.

– Daj mi chwilę – jęczę.

Sanna nie ustępuje, wpada do pokoju.

– Pobudka! – Z góry spogląda na niechlujną i niezbyt świeżą kupkę nieszczęścia, jaką obecnie jest jej najlepsza przyjaciółka. – Od kiedy udajesz zombi?

– Prosiłam, żebyś dała mi chwilę. – Szczelnie otulam się kołdrą, rozkoszuję się jej ciężarem i ciepłem.

Ściąga ze mnie przykrycie. Zimne powietrze wdziera się pod moją szarą koszulkę. Czuję gęsią skórę na ramionach.

– Nie ma czasu. Ubieraj się. – Podnosi dzinsy z podłogi i mi podaje.

– Ale dlaczego?

Szuka dwóch butów do pary, ale po chwili poddaje się i podaje mi tenisówki – szarą i różową. Otwiera szafę, wyjmując szarą koszulę.

– Masz, włóż to.

Podaje mi coraz więcej ciuchów.

– Nev, mam ci przysłać zaproszenie? Ruszaj się. – Jest w niej jakaś nowa determinacja. Przegląda moją biżuterię na toaletce. Wybiera dwie rzeczy – zegarek i wisiorzek z płatkami śniegu.

– Donikąd nie idę. – Zdrapuję z dżinsów białą plamkę.

– W takim stroju na pewno nie. – Ściąga ze mnie koszulę, ciska ją w kąt. Zakrywam nagie piersi. – Proszę cię, Nev, już to wszystko widziałam. Nic specjalnego.

Schylam się, otwieram szufladę w nocnym stoliku. Wyjmuję ze splecionej sterty jasnoniebieski stanik i beżowe majtki. Wkładam czystą bieliznę.

Sanna sili się na beztróskę, ale wyczuwam że... no własnie, sili się, a nie: jest beztróska.

– Co się dzieje?

Zbывa mnie machnięciem ręki.

– Ładny tatuaż – mówi. Wskazuje mój brzuch.

– Spadaj! – Odpycham jej rękę.

– Podziwiam moje dzieło.

– Bolało jak cholera – zauważam. Przypominają mi się niezliczone ułtucia. Zrobienie tego niewielkiego tatuazu trwało dwie godziny, ale Sanna ma rację: naprawdę wygląda super.

– Nie szkodzi. – Sanna zakłada mi naszyjnik.

Jest niemal jak dawniej: czuję się swobodnie, jakby Braydon nigdy się nie zjawiał. Postanawiam jej ulec.

Zanim się spostrzegłam, jesteśmy na dworcu kolejowym. Wsiadamy do pociągu, zajmujemy miejsca jak najdalej od pozostałych pasażerów.

– Dokąd jedziemy? – pytam.

– Nie mogę ci powiedzieć. – Przygląda się pasażerom.

– Ale dlaczego nie? – Teraz i ja rozglądam się czujnie.

– Bo to wielki sekret. – Nerwowo rozgląda się dokoła.

Usiłuję zachowywać się jak dawniej, ale coś jest nie tak.

– Sanna?

Opada na siedzenie. Podkurcza nogi pod siebie. Mam wrażenie, że ktoś wyłączył jej prąd.

– Co jest, Sanna? Powiedz coś.

– Mój brat... Od kilku dni nie było od niego żadnych wieści. – Głos jej się łamie.

– Och, przecież wiesz, że czasami musi zniknąć.

– Teraz jest inaczej. Owszem, już nieraz zniknął, kiedy szukała go policja.

– Przecież nie możesz się z nim kontaktować, kiedy tylko chcesz, prawda? O ile pamiętam, to zawsze on odzywa się pierwszy. – Jej brat jest jak mityczny stwór. Nie widziałam go, odkąd zszedł do podziemia.

– Pytałam, ale nikt nic nie wie. – Podciąga kolana do piersi, zwiija się w kłębek. – Mamy nasz znak. Wysyłam go w kółko, a on nie reaguje. To do niego niepodobne. Zawsze się zjawiał, kiedy go potrzebowałam.

Kolejny zaginiony.

- Zjawi się. Jak zawsze. - Staram się mówić pewnie, z przekonaniem.

- No, tak. - Rozchmurza się.

- Więc dokąd jedziemy? - Wiercę się na siedzeniu i staram się podtrzymać beztroski nastrój.

Przysuwa się bliżej i odpowiada szeptem:

- Do przyjaciółki mojej mamy.

- A dlaczego to taka tajemnica? - pytam już normalnym głosem.

Sanna ucisza mnie i przyciąga do siebie.

- Mamy podobne zainteresowania. Popytałam trochę, no wiesz, szukając brata. Wygląda na to, że nie tylko nam chodzi po głowie rewolucja.

- Co? - Przeszywa mnie dreszcz podniecenia. Wróciła moja zbuntowana Sanna.

- Miałaś rację, Nev. Nie możemy przestać. Musimy coś zrobić. Pomyślałam, że skoro ty mogłaś ukraść rządową...

Teraz to ja ją uciszam.

- A Braydon? - Jego imię ma słodko-kwaśny smak.

- Robię to dla brata. Braydon wcale nie musi o tym wiedzieć, prawda?

I tym sposobem mamy wspólny sekret przed Braydonem. Sieć kłamstw zatacza coraz szersze kręgi. Wkrótce sama nie będę wiedziała, co jest prawdą, a co nie.

Wysiadamy. Sanna niemal biegnie.

- Dokąd idziemy? - pytam zdyszana.

- Na plac - odpowiada i nagle skręca w prawo.

Już wiem, gdzie jesteśmy.

- Czy nie lepiej byłoby iść tamtędy? - Wskazuję na lewo.

- Chcę mieć pewność, że nikt nas nie śledzi. - Przyspiesza kroku.

Nie wiem, czy udałoby się nam kogokolwiek wyprowadzić w pole. Sanna zatrzymuje się gwałtownie, zanim wejdziemy na Plac.

- Masz. - Podaje mi okulary przeciwsłoneczne. - Musimy być incognito.

Chce mi się śmiać. Czy ona naprawdę sądzi, że ciemne okulary wystarczą za przebranie? Zakładam je. Sanna idzie powoli, niemal spacerkiem. Na Placu roi się od ludzi. Niektórzy siedzą przy fontannie, inni kręcą się przy schodach do Muzeum Narodowego, jeszcze inni stoją przy wejściu do Sądu Najwyższego. Te budynki stoją naprzeciwko siebie. Pośrodku Placu króluje wysoki na dziesięć metrów pomnik doktora Benjamin L. Smitha, odlany z brązu. Spogląda z góry na kłębiący się tłum jednakowych ludzi.

- O, są - szepcze Sanna. - Ta w niebieskiej koszuli i ta z wielką, złotą torbą.

Podchodzimy do dwóch kobiet w średnim wieku. Nie tak wyobrażałam sobie rewolucjonistki.

- Sanna, coś takiego! - Obie obsypują ją komplementami.

Ta w niebieskim przedstawia się - ma na imię Senga, a jej przyjaciółka - Carson. Wyglądają znajomo. Może je widziałam na pogrzebie mamy Sanny, choć to było tak dawno temu.

- Gratulacje z okazji ukończenia szkoły - mówi Senga. -

A więc studiujesz w Narodowym Instytucie Rozwoju i Nauki. Mama byłaby z ciebie bardzo dumna.

Sanna zbywa ich komplementy wzruszeniem ramion.
– Tak jest, teraz bawię się w dorosłość. To moja przyjaciółka Neva...

Chrząkam głośno, zanim wymieni moje nazwisko.
Carson wyciąga rękę.

– Jesteś córką Lilly, tak? Ona...

Senga szturcha ją łokciem, zanim uściśnięłam jej dłoń. Wymieniają znaczące spojrzenia.

– Znacie moją mamę? – pytam. Nigdy mi o nich nie mówiła.

– Tak. – Carson.

– Nie. – Senga.

– Nie, oczywiście, że nie. – Carson się poprawia. – Ja po prostu słyszałam o Lilly Adams. Zresztą, kto o niej nie słyszał? A Neva to bardzo rzadkie imię.

Ręce Carson są w ciągłym ruchu. Bawi się guzikiem koszuli, obgryza paznokcie.

Senga czujnie rozgląda się na boki. Denerwuję się przy nich. Szarpię Sannę za rękaw. Chcę już iść. Sanna odpycha mnie.

– Macie dla nas jakieś wieści? – pyta.

Senga kiwa głową.

– Milcząca demonstracja. Tutaj. Jutro.

– Co mamy robić? – Sanna niemal nie rusza ustami. Ja ją rozumiem – Senga i Carson najwyraźniej nie. Senga powtarza pytanie. Sanna nadal mówi jak po wylewie.

– Spotkamy się tutaj o jedenastej trzydziestej. Będziemy z Sengą sprzedawały kanapki. Jedna z was podejdzie i zamówi kanapkę – tłumaczy Carson.

To idiotyczne. Zachowują się jak bohaterki kiepskiego filmu. Nie wyglądają jak rewolucjonistki. Nie wiem, czy są w stanie sprzeciwić się swoim mężom.

A może to jest w tym wszystkim najlepsze. Może to właśnie jest ich alibi.

Carson jeszcze nie skończyła.

– Damy wam ulotki. Demonstracja zaczyna się w południe. Będziecie wiedziały, co robić.

– To dla ciebie. – Sanna ukradkiem podaje Sengę kopertę.

– Co to jest? – pyta i rozgląda się, czy nikt tego nie widział.

– Artykuł z czasów tuż przed zamknięciem kopuły.

– Sanna, nie! – Wyciągam rękę po kopertę, ale Senga wsuwa ją do torebki.

– Nev – rzuca Sanna ostro. – Spokojnie.

– Ale... – zaczynam, ale zauważam, że kilka głów odwraca się w naszą stronę. Wpycham rękę w kieszenie i zaciskam pięści w kieszenie.

– Skąd to macie? – pyta Carson.

– Spróbujcie to jakoś wykorzystać. – Sanna także chowa rękę do kieszeni.

Nie mogę uwierzyć, że oddała im ten artykuł.

Być może wiedzą, jak robić kanapki z indykiem, ale niby jak mogą wykorzystać ten artykuł, nie narażając mnie ani taty?

Senga szturcha przyjaciółkę.

– Czas na nas – mówi Carson, ściska nas i dodaje głośno: co za miłe spotkanie.

– Dopilnuj, żeby nikt was nie śledził w drodze do domu – szepcze mi Senga do ucha na pożegnanie. Znikają w tłumie.

– Co to było? – pytam, zaskoczona spotkaniem z dwiema paniami domu.

– Wiem, wiem. Wspomniała, co?

– Jak mogłaś? – Szturcham ją, wcale nie żartobliwie.

– Nev...

– Naraziłaś mnie na wielkie ryzyko.

– Sama się naraziłaś, Nev. Wszyscy ryzykujemy. Sama to mówisz.

Jak ona to robi? Wykręca kota ogonem i doprowadza do tego, że to ja mam wyrzuty sumienia.

– To dopiero początek – mówi dalej. – Mają wielkie plany...

– Te dwie panie? A co, planują własnoręcznie otworzyć kopułę?

– Cicho! – Sanna ucisza mnie gwałtownie. – Nie lekceważ siły matek. Należą do siatki, do ruchu oporu... Och, nie wiem. – Szuka czegoś w torebce. – Nikt nie powinien wiedzieć za dużo. To dla bezpieczeństwa, i naszego, i ich. – Wyjmuje lekko zgniecionego papierosa i wstupa do ust. – Chcesz? – pyta, nie wyjmując go spomiędzy warg.

– Tu nie wolno palić – zauważam. Obserwuję, jak szuka zapalniczki. – A tak w ogóle, to skąd masz papierosa?

– Mój brat je robił. – Milknie, gdy dociera do niej, co powiedziała. Użyła czasu przeszłego, mówiąc o bracie. Przetyka głośno i tym samym pozbywa się smutku

z twarzą. – To znaczy, robi. Na sprzedaż. Zaczął kilka miesięcy temu. Wy macie pomidory spod folii, a inni, no cóż, uprawiają inne rośliny na wymianę. – Wyjmuje srebrną zapalniczkę z tylnej kieszeni. – Powiem wszystkim o milczącej demonstracji.

– Tak, wiem, mnie nikt nie zaufa.

– Może będziemy zapalkami, iskrami, od których... –

Z zapalniczką w jednej i papierosem w drugiej dłoni pokazuje na migi wielki wybuch i atomowy grzyb. W kółko usiłuje podpalić papierosa, ale stara zapalniczka odmawia posłuszeństwa. Trzask. Iskra. Trzask. Iskra. Czaszka, widoczna na zapalniczce, zdaje się z niej kpić.

– Skąd to masz? – Wskazuje zapalniczkę. – Paskudna.

– Mój brat, zna kogoś, kto zna kogoś... – Głos jej się łamie. Bardzo za nim tęskni.

Brat Sanny ma w sobie coś z magika, anioła i ducha. Zawsze podobała mi się myśl, że jest gdzieś w pobliżu i z ukrycia czuwa nad Sanną. Niemożliwe, żeby i on zaginął. Niemożliwe i już.

Zabieram jej zaliczkę, pstrykam, aż pojawia się równy płomień.

Sanna zapala papierosa, zaciąga się. Bierze mnie pod rękę.

– Nadal jestem na ciebie wściekła – zaznaczam, choć bardziej przeraża mnie myśl o tym, co może być dalej.

– Zrobiłam to, co było konieczne – odpowiada, zaciągając się papierosem. Ma rację. Sama nie wykorzystabym tego artykułu do niczego. Trzymałabym go w ukryciu, jak tata.

Idziemy na środek Placu. Sanna wypuszcza dym przez nos, przez co kojarzy mi się z szarżującym bykiem. Patrzymy na posąg Benjamina L. Smitha.

– Ciekawe, co stary Benji pomyśli o naszej demonstracji. – Sanna rzuca niedopałkiem w kolano kamiennego Smitha.

– Nie przypuszczam, żeby chciał, żeby tak to się skończyło – odpowiadam i szukam uczciwości w jego twarzy. Widziałam jego zdjęcia. Wiem, jak wyglądał, ale zawsze wydawał mi się nierzeczywisty, jakby wyretuszowany.

– Popatrz tylko na niego. Kręcone włosy, zadarty nos. Podobno miał niebieskie oczy, wyobrażasz to sobie? – Mówiąc to, szuka w torebce następnego papierosa.

Nie, właściwie nie. Rozglądam się po Placu, po morzu jednakowości. Zniknęły wszelkie nietypowe cechy.

– Dziwnie wygląda, jest jakiś taki... brzydki – ciągnie Sanna.

A mnie w dziwny sposób pociągają jego oryginalne rysy.

– Tak, wiem, o co ci chodzi.

Opuszczamy Plac i Sanna zdejmuje okulary słoneczne.

– Naprawdę myślisz, że za tysiąc lat wszyscy będziemy identyczni jak bliźniaki jednojajowe?

Wzruszam ramionami.

– Już teraz jesteśmy bardzo do siebie podobni.

– No tak, ale ty to nadal ty, a ja to ja.

– To się chyba nie zmieni. – Ze śmiechem przesuвам okulary słoneczne na czubek głowy. – Ale co to ma za znaczenie, skoro i tak nigdy nie będziemy miały dzieci?

– Może nie nigdy – mruczy.

Jeszcze nigdy nie wspominała, że chce mieć dzieci. W końcu jej mama umarła w pogoju.

– Nie gap się na mnie, jakbym miała bliznę na twarzy. Och, przepraszam! – Łapie się za policzek. – Chyba mogę zmienić zdanie? Tak sobie myślałam, że właściwie chciałabym mieć malutką Sannę. Nie teraz. I nie, zanim zacznieś mnie przepytywać jak policja, nie zrobiliśmy tego z Braydonem. Tylko że z nim... – Rozmarza się, jak nie ona. – Przy nim nagle widzę przed sobą przyszłość, rozumiesz?

Braydon tak działa na wiele osób. Może tylko się nami bawi, a może po prostu tak działa na kobiety.

– A teraz, kiedy się zaręczyliście, Ethan na pewno będzie chciał dziecko, wcześniej czy później. – Szturcha mnie łokciem.

– Zerwałam z Ethanem. – Chociaż on sam nie może w to uwierzyć. Wyprzedzam ją o kilka kroków.

Dogania mnie, łapie za ramię.

– Co? Myślałam, że ty i Wielki E...

– Ethan się zmienił. Chyba to zauważyłaś. – Nie chcę o tym rozmawiać. Co jej powiem? Że zerwałam z Ethanem, bo zakochałam się w jej chłopaku?

– Biedactwo. – Chce mnie objąć, ale się uchylam.

– Może przenocuję u was, jak dawniej? Jak za szkolnych czasów?

Nie zatrzymuję się.

– Raczej nie. Atmosfera w domu jest kiepska.

– Do mnie też nie pójdziemy. Opiekunowie wyjęli drzwi do mojego pokoju. Wyobrażasz to sobie? Coraz

bardziej ograniczają mi wolność. – Zatrzymuje się w pół kroku. – Mam wspaniały pomysł. Spotkajmy się u Braydona. Zapomnimy o wszystkim i po prostu będziemy się świetnie bawić.

Jakby czytała w moich myślach. Oddałabym wiele, żeby go zobaczyć, tylko zobaczyć. Jestem gorsza niż rząd. Zniewała nas, kierowany chorym przekonaniem, że nas chroni. Ale ja wiem, ile szkód mogę wyrządzić. I mimo wszystko tego pragnę.

Rozdział 18



Wsiadam w pociąg, potem godzinę idę od stacji do domu Braydona. Nie chcę jechać z nim na motorze. Pamiętam, jakie to uczucie wtulić się w niego. Przy każdym kroku walczę ze sobą, by nie zawrócić i uciec. To kiepski pomysł. Powtarzam sobie, że to nic złego. Chcę go tylko zobaczyć. Ale będę cierpiała, widząc go z Sanną, widząc, jak są blisko. Zatrzymuję się kilka razy, jakby na niewidzialnej smyczy. Rozsądek podpowiada, że bym zawróciła, prymitywne, egoistyczne pożądanie każe iść dalej. Pożądanie zawsze zwycięża.

Im dalej od Miasta, tym mniej ludzi. Mijam domy, niegdyś okazałe, teraz – niemal ruiny, sypiące się jak zamki z piasku. Skręcam w podjazd zamknięty bramą z kutego żelaza, dość szeroką, by zmieścić się w niej motocykl. Adres, który podała mi Sanna, odpowiada nazwie wypisanej na bramie zamazystymi literami. Przede mną wznosi się... Nie sposób określić tego inaczej – rezydencja. Podchodzę bliżej i budynek traci całą bajkowość. Kolumny na ganku pokrywa pleśń. Tynk odpada płatami, dom wygląda jakby był w kropki.

Pukam. Drzwi się otwierają. Widzę obszerny hol i spiralne schody.

– Na piętrze! – woła Sanna. Idę za jej głosem.

– Popatrz tylko, co mamy! – woła radośnie. Podnosi ręce – w jednej trzyma zieloną butelkę, w drugiej kryształowy puchar. – Szampan. Musujący! – dodaje ze śmiechem.

– Skąd Braydon wziął szampana? – pytam i udaję, że wcale się za nim nie rozglądam.

– Mówi, że znalazł w piwnicy. – Chwieje się na schodach. – Całą skrzynkę. Chyba ostatnie butelki wyprodukowane przez Winnicę Narodową. Nieźle, co? – Mówi niewyraźnie, słowa zlewają się. Jest pijana. Tylko raz widziałam ją w takim stanie. Byłyśmy wtedy na imprezie u jej brata. Jego znajomi przynieśli wino domowej roboty. Nie smakowało mi, było za kwaśne, ale Sanna nie zwracała na to uwagi.

– Zawsze chciałam spróbować szampana – mówię i łapię ją za rękę, żeby nie upadła. Idę za nią do wielkiego

pomieszczenia na końcu korytarza. Pod ścianą króluje tam wielkie łoże z baldachimem. Sufit splywa skosami.

W tym pokoju zmieściłyby się ze cztery moje. Po prawej stronie widzę przeszklone drzwi na balkon. Po lewej – dwoje uchylonych drzwi.

Za jednymi kryje się łazienka, lśniąca od luster i chromu. Drugie to garderoba – pewnie tam Braydon trzyma swoją kolekcję czerwonych butów. Ale nie to najbardziej zwraca uwagę.

W pokoju jest mnóstwo masek. Patrzą na mnie puste oczodoly.

Sanna wciąga mnie do pokoju.

– Obłąd, co? Sam zrobił część z nich, inne chyba już tu były. To moja ulubiona. – Wskazuje kieliszkiem srebrną maskę ozdobioną kolorowymi kamykami. W jednym oczodole lśni wielki sztuczny szmaragd. Chwyta promienie słońca, zdaje się mrugać.

– Skąd on bierze materiały na te maski?

– Chyba część znalazł. – Wskazuje szkatułkę na biurku. Naszyjniki wysypują się bezładnie.

– Gdzie właściciele? – dziwnie się czuję w cudzym domu bez zaproszenia.

– Boże, Nev, nie mam pojęcia. Gdzie się podziali ci wszyscy ludzie? – podchodzi do łóżka, podnosi maskę z poduszki. Jest różowa, ozdobiona fioletowymi piórami. Malutkie lśniące kryształki układają się we wzór taki jak blizna na policzku Sanny. – To moja. Wspomniała, co? – Gładzi pióra. Przykłada maskę do twarzy i wsuwa język przez otwór na usta.

– Artysta z niego – mówię, rozglądając się dokoła. Maska z drewna, jakby pokryta zmarszczkami. Biała, błyszcząca maska z porcelany, z wykrzywionymi rysami, jakby pastwiły się nad nią gniewne dłonie. Kilka zdobią korowe wstążki, złota i srebrna farba – te maski nadawałyby się na bal maskowy. Na innych dostrzegam klawisze z klawiatury i chipy komputerowe błyszczące jak rybie łuski.

Każda wygląda inaczej. Nad łóżkiem wisi kolekcja dziesięciu masek, niemal identycznych. Skopiował jeden wzór, ale za każdym razem coś zmieniał, dodawał, usuwał. Trzeba się uważnie przyjrzeć, by dostrzec tę różnicę, ale to właśnie dzięki nim każda maska jest inna.

– O rany. – Tylko tyle mogę powiedzieć.

– Rozumiesz?

– Kiwam głową. Doskonale wiem, dlaczego Brandon tworzy maski. Przecież na co dzień nosimy tyle różnych masek. Ten szereg podobnych wizerunków to jego wizja nas wszystkich. Tacy sami, a jednak różni. Ale tego nie mogę powiedzieć.

– Trochę to straszne, nie? – Udaję, że się wzdrygam.

– Proszę cię, Nev! – Sanna szturcha mnie ze śmiechem. Gdyby wiedziała...

– Musisz się napić. – Nalewa musującego płynu do kieliszka, aż ucieka piana. Oddaje mi, zlizuje alkohol z palców. – Wypij do dna – mówi, przysuwa mi kieliszek do ust, przechyła, gdy zaczynam pić i koniec końców wypijam wszystko jednym haustem. Nie zdążyłam nawet poczuć smaku, tylko łaskotanie w gardle. Mam sucho w ustach. Dolewa mi szampana.

– Braydon chce zrobić ci maskę – mówi. – Bosko, co? Nie. W życiu nie słyszałam gorszego pomysłu.

– Chyba nie. To miło z jego strony, ale...

– Proszę cię, Nev. On kolekcjonuje twarz.

No nie. Ja dałam mu coś więcej niż twarz.

– To nie potrwa długo. – Niezdarnie pcha mnie na łóżko. Usiłuję nie myśleć, co robili właśnie tutaj, w tym pokoju. Wstaję.

– Wspaniale. Poznacie się lepiej – szepcze mi do ucha. – Zrób to dla mnie, Nev. Chciałabym, żeby dwie najbliższe mi osoby dogadywały się bez problemów.

Wychylam szampana duszkiem.

Braydon wychodzi z łazienki z miską pełną białej mazi.

– Cześć, Neva – rzuca. Więc decyzja zapadła. Widzę błysk w jego oku – on tego chce. Chce zachować częśćkę mnie.

– Ładny dom. – Nie udaje mi się ukryć sarkazmu.

Sanna patrzy na mnie i na Braydona, dopija szampana do dna i ciska butelkę na łóżko.

– Więc co pan artysta każe mi zrobić? – Usiłuję mówić nonszalancko, lekko, nie chcę, żeby wiedział, jak bardzo jestem podekscytowana tym, że go widzę.

– Usiądź wygodnie. – Wolną ręką zatacza łuk w powietrzu. On także się stara. Widzę, że jego uśmiech jest sztuczny, wymuszony. Patrzymy sobie w oczy; ja błagam, by tego nie robił, on zaklina, żebyśmy się zgodziła.

Siadam w skórzanym fotelu z wysokim oparciem. Sanna odgarnia mi włosy z twarzy, zakłada opaskę. Smaruje mnie gęstą, tłustą papką.

– Wiem, to trochę ohydne, ale dzięki temu da się łatwiej zdjąć maskę. Zamknij oczy – mówi i delikatnie smaruje mi powieki – i nie otwieraj, jasne?

– Rozluźnij się. – Braydon staje nade mną okrakiem.

Zaciskam dłonie na oparciu fotela. Czuję dotyk jego ud. Sztynnięję.

– Głowa do tyłu – prosi. Wypełniam polecenie. – Zaczę od czoła. Na początku gips jest zimny, ale zaraz się ogrzeje.

Rzeczywiście. Zatacza na mojej twarzy małą kółka, dotyka mnie delikatnie. Wyobrażam sobie jego dłonie, jak powoli wędrują w dół mojego ciała. Jest mistrzem dotyku, doprowadza mnie do szaleństwa tą mieszaną pieczyoty i laskotania, sprawia, że dostaję gęśniej skórki, że mam ochotę wygiąć się w łuk. Jest nade mną, słyszę jego oddech. Przyspieszam, aż oddychamy w tym samym rytmie. Wbijam się w fotel, żeby nie ulec pragnieniu i nie pochylić w jego stronę.

Słyszę, jak Sanna nuci cicho pod nosem. Sprężyły jęczę. Pewnie rzuciła się na posłanie. Ciekawe, czy na nas patrzy. Wiercę się niespokojnie.

– Nie ruszaj się. – Zamyka moją twarz w dłoniach, odwraca mi głowę do poprzedniej pozycji. Rozprowadza chłodną pąpkę na moim nosie, na skroniach. – Jesteś bardzo spięta. – Gładzi mnie po brodzie.

Usiłuję się odprężyć, naprawdę, ale ciało mnie nie słucha. Wyrывa się do niego. Płonę, ale wyrzuty sumienia skuwają mnie lodem. Braydon nakłada chłodną masę na moje oczy. Obrysowuje powieki, ściera napięcie.

Sanna pewnie niecierpliwie wierci się na łóżku, zachwycona, że jej ukochany i najlepsza przyjaciółka wreszcie odnaleźli wspólny język.

– A jak mam w tym oddychać? – Odpycham jego ręce, gdy zbliżają się do moich ust. Usiłuję wstać.

– Nev, wyluzuj. – Sanna już przy mnie. Głaszcze mnie, pcha z powrotem na fotel. – Kiedy skończy, wsunie ci w usta słomkę.

– Szkoda, że wcześniej mi tego nie powiedzieliście. – Braydon zrobi ze mnie osobę, którą nie chcę być.

Wszystko, co do niego czuję, wrze mi pod skórą. Muszę się stąd wydostać. – Posłuchaj, ja nie... nie mogę... Ja... – Chciwie chwytam ustami powietrze.

Braydon się cofa.

– Nev, wszystko jest w porządku – uspokaja Sanna. – Pomyśl o czymś przyjemnym, dobrze? – Mówi trochę niewyraźnie. Szampan także mnie mąci myśli. Pozwalam na to. Nie chcę, żeby Braydon przestał mnie dotykać. To może, to musi być ostatni raz.

– Przepraszam – mówię. – Czuję, jak gips zastyga mi na czole.

– Ma przestać? – pyta Sanna.

– Nie – odpowiadam szeptem. Nie, niech nie przestaje. W tym rzecz. Umrę, jeśli przestanie. – Nic mi nie będzie, tylko dajcie mi chwilę.

Odstunęli się o kilka kroków, ale czuję ich obecność, czuję, że na mnie patrzą. Ich ruchy i głosy zacierają się. Sanna chyba chichocze.

– Nic mi nie jest – mówię. – Miejmy to już z głowy.

- Na pewno? - Braydon dotyka mojego ramienia. Kiwam twierdząco głową.
- Ale mów do mnie, dobrze? - Chcę, żeby mnie rozpraszał.
- Dobrze - odpowiada. Zdaje sobie sprawę z mojego cierpienia. Czy czuje to samo? - O czym?
Mam do niego tysiące pytań. Dlaczego mi to robisz? Jest na pierwszym miejscu. A zaraz za nim: Kim jesteś, do cholery? Ale ograniczam się do:
- O czymkolwiek. Opowiedz mi o sobie.
Znowu staje nade mną okrakiem. Czuję, jak napinają się mięśnie jego ud.
- Super, czas na bajkę - wtrąca się Sanna. Myśli, że pytam tylko grzecznościowo.
- Pod warunkiem że nie będziesz się ruszać. - Przysuwa się bliżej. - Wsunę ci słomkę do ust, żebyś mogła oddychać. Zamknij usta.
Wypełniam polecenie. Muskam językiem koniec słomki.
- Wszystko w porządku? - pyta.
Kiwam głową i wciągam powietrze przez słomkę.
- Pewnie wiesz od Sanny, że tak naprawdę to nie jest mój dom.
Mówi powoli, jakby starannie dobierał słowa.
- Moi rodzice wpakowali się w tarapaty i wyznaczono mi opiekuna, ale trafiłem do rodziny z piątką innych dzieci pod opieką, więc, no cóż, postanowiłem zniknąć. Chyba nawet nie zgłosili mojego zaginięcia, bo wtedy przepadłaby kasa, którą rząd płaci im za to, że mnie

wychowują, zresztą kogo obchodzi jeszcze jedna zaginiona osoba?
Chcę zapytać, czy naprawdę jest jednym z Bartlettów, ale słomka w ustach i zastygający gips zniekształcają moje słowa. O dziwo, Sanna mnie rozumie:
- Moja wścibska przyjaciółka pyta, czy naprawdę jesteś jednym z Bartlettów.
- Tak, wiem, trudno w to uwierzyć, ale tak. Choć w moich żyłach płynie jeszcze inna krew, moja mama miała na nazwisko Benzoni - śmieje się. Sanna mu wtóruje.
Braydon brysowuje mi usta. Poruszam się niespokojnie. Nakłada mi kolejną warstwę na policzek.
- Znalazłem ten dom. Dowiedziałem się, że Rada chce przeznaczyć go na mauzoleum, a w parku urządzić cmentarz.
Wydaje się, że wielokrotnie ćwiczył tę odpowiedź. Albo to moja bliskość sprawia, że wydaje się nieswój.
Mam tyle pytań. Usiłuję mówić, ale nic z tego.
- Dziwne. Ten dom jako zakład pogrzebowy - mówi Sanna. - I martwi ludzie posadzeni jak kwiaty w parku.
Niepotrzebnie to powiedziała. Nie chcę, żeby ten obraz tkwił mi pod powiekami.
- Już kończę - ożajmia Braydon. Czuję na twarzy musnięcia jego dłoni. Wyobrażam sobie, jak wygląda zmarszczki, nierówności, niedoskonałości. - Dobra, koniec. - Ciepło jego ciała znika. - Idę się umyć, a ty możesz się rozluźnić. Zaraz wracam.
Myśli o Braydonie wnikają w mój mózg jak długie, ostre igły. Usiłuję je odepchnąć. Siedzę tam, z maską

na twarzy, niezdolna do ucieczki. Zapadam w miękką ciemność.

– Neva? Neva! – Braydon szepcze mi do ucha. Chyba zasnąłam. Poruszam się, czuję, jak do mojego ciała wraca życie. – Dobrze się czujesz?

Kiwam głową.

– Gips zastygł, ale muszę coś jeszcze zrobić na masce, to potrwa już tylko chwilę. – Czuję lekki nacisk na twarzy. I zapach farby. – Nie ruszaj się.

Nie ruszam się. Jeszcze nie chcę wrócić do rzeczywistości. – Dobra – rzuca po chwili. – Jestem gotowy, żeby zdjąć maskę.

– Ja też.

Wsuwa palec pod krawędź maski, ostrożnie odrywa ją od mojej twarzy. Szczypie i ciągnie, ale odchodzi w jednym kawałku.

– Ostrożnie otwórz oczy.

Unoszę powieki.

– Chcesz zobaczyć?

Kiwam głową.

Trzyma maskę za krawędź, odwraca ją ostrożnie. Biel przechodzi w pastelowy błękit. Pomalował ją pastelami. Ozdobił tylko jednym elementem – na policzku, jak lza, widnieje płatek śniegu.

– I jak? – pyta.

Biorę ją w dłoń.

– Cudowna. – Patrzę na twarz, którą widzę tak rzadko. Krzywizna policzków i ust. Zarys nosa. Podbródek.

Nie poznaję się. – Dlaczego płatek śniegu? Ze względu na naszyjnik? – Odruchowo dotykam wisiorka.

Wpatruję się w moją dłoń.

– Neva... twoje imię. Oznacza śnieg, prawda? i właśnie tak o sobie myślę. Jesteś krucha i wyjątkowa, jak płatek śniegu. – Wyciąga rękę, dotyka mojej twarzy.

– Pójdę to zmyć. – Wymijam go. Widzę, że Sanna śpi na łóżku. Pochrapuje cicho. Leży bezwładnie jak marionetka, której podcięto sznurki. Powraca poczucie winy. Zapomniałam, że tu jest.

Uciekam do łazienki. Myję twarz zdecydowanie dłużej, niż to potrzebne. W końcu zbieram się na odwagę i wracam do sypialni. Zachodzące słońce wypełnia pokój wydłużonymi cieniami.

Ustawił moją maskę na stojaku przy łóżku.

– Musi wyschnąć – tłumaczy, gdy widzi moje spojrzenie.

– Muszę iść. – Zerkam na Sannę, która przewróciła się na bok i nakryła fioletową kołdrą.

– Zostań. – Podchodzi bliżej, pokonuje dzielącą nas odległość.

Muszę stąd wyjść. Zbiegam na parter, na dwór, na chłodne wieczorne powietrze.

Braydon dogania mnie, łapie za ramię. Odwraca tak, że stoję twarzą do niego.

Oboje oddychamy ciężko.

– Tęskniłem.

– Boże, ja też.

– Patrzy mi w oczy. Jestem bezbronna. Mam nadzieję, że Braydon okaże się silniejszy, że odejdzie.

– Nie mogę, po prostu nie mogę – odpowiadam. – Nie mogę zostać i nie mogę odejść.

– Jeszcze nigdy nie czułem czegoś takiego – szepcze to, co chodzi mi po głowie.

Wystarczy jeden ruch i czuję na sobie jego usta. Przywieramy do siebie. Chciałabym stopić się z nim w jedno. Zatracam się pocałunku.

Najpierw rozdzielają się nasze usta. Potem, powoli, twarze. Między nas wdiera się powietrze. Na samym końcu odrywamy od siebie wzrok.

– Jak mogłaś? – Te słowa natychmiast niszczą magię. Sanna.

Rozdział 19



Plonęłam, teraz przenika mnie lodowate zimno. Otwieram usta, ale nic nie mówię. Cały czas kręci mi się w głowie po pocałunku Braydona. Wyraz twarzy Sanny ściąga mnie na ziemię. To mieszanka gniewu, bólu i niezrozumienia. Cofam się, jak najdalej od obojga.

– Sanna, bardzo mi przykro – mówi Braydon. Lepiej, żeby zamilkł. Błagam, nie mów jej. To ja muszę to zrobić. Muszę to jakoś naprawić. To przecież Sanna. To ja pocieszałam ją po śmierci jej mamy, po zniknięciu ojca, po tym jak przydzielono jej opiekunów. To do mnie się zwraca, gdy wygląda tak jak teraz. I to ja muszę zrobić, co w mojej

mocy, by odciągnąć ją znad krawędzi. A tymczasem to ja zadałam jej cios.

– To nie tak, jak myślisz – zaczynam. Ale przecież jest dokładnie tak, jak myślisz.

Łypie na mnie gniewnie.

– Jak mogłaś? – powtarza tak cicho, że ledwie ją słyszę, ale jej słowa huczą mi w uszach.

Gniew przeszedł w rozpacz. Dygocze. Wodzi wzrokiem od Braydona do mnie. Chwieje się na nogach i nagle puszcza się biegiem. Upada, wzbija stopami chmurę żwiru. Biegniemy do niej z Braydonem, ale wstaje i ucieka, zanim do niej dojdziemy. Wybiega za bramę. Słońce znikło już za horyzontem, gasną jego ostatnie promienie.

Łapię Braydona za rękę.

– Ja za nią pójdę.

Kiwa głową.

– Co myśmy narobili? – pytam bardziej siebie niż jego. Dopiero kiedy odsuwa się ode mnie, zdaję sobie sprawę, że wbiłam mu paznokcie w ramię.

– Nie mamy wpływu na to, co czujemy – mówi, cały czas wpatrzony w dal, tam, gdzie zniknęła Sanna.

– Ale mamy na to, co robimy. – Tak bardzo chciałam go pocałować, ale zanim do tego doszło, dokonałam tysiąca małych wyborów i za każdym razem mogłam się powstrzymać. Powinnam była się powstrzymać. Jeden egoistyczny odruch i straciłam najlepszą przyjaciółkę.

Wybiegam za bramę, zastanawiam się, w którą stronę pobiegła. Widzę ją, biegnie co sił w nogach, wymachując rękami. Cały czas mam przed oczami widok jej twarzy, gdy

zobaczyła nas, całujących się, i wiem, że nigdy, przenigdy tego nie zapomnę. Wyciągam nogi, zagarniam powietrze rękami i zaczynam rozumieć, że na zawsze zniszczyłam naszą przyjaźń. Nawet jeśli mi wybaczy, nigdy o tym nie zapomni. Nawet jeśli mi wybaczy, ja nie wybaczę sobie.

Pluca mi płoną, zwalniam do truchtu, potem idę. Kluje mnie w boku. W mdłym świetle zmierzchu widzę wstążkę drogi. Sanna nadal biegnie.

Przełamuję się, zaczynam biec mimo bólu. Muszę ją dogonić. Muszę jej wytłumaczyć.

Sanna zwalnia. Doganiam ją. Teraz idzie szybko, energicznie.

Zatrzymuje się, gdy jest na wyciągnięcie ręki.

– Sanna – wołam, ale nie zatrzymuje się, nawet nie odwraca. – Sanna – powtarzam.

– Daj mi spokój! – krzyczy.

– Sanna, porozmawiaj ze mną! – wołam za nią.

Odwraca się gwałtownie i patrzy na mnie twardym, zimnym wzrokiem.

– Więc mów.

Nie mogę. Widzę ją wyraźnie, ale zapada mrok. Boję się. Ciemność zdaje się nas pochłaniać.

– Mów. – Robi krok w moją stronę. – Mów! – wrzeszczy, uderza mnie w klatkę piersiową tak mocno, że cofam się o kilka kroków, ale Sanna podbiega do mnie. – Mów! – wrzeszczy. Szturcha mnie. – Jak mogłaś? – Okłada mnie pięściami. Obejmuję ją, ale nie przestaje.

– Tak mi przykro. – Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć. W kółko to powtarzam. Sanna szlocha mi

na ramieniu. Boję się tej pustki, która nas otacza. Boję się, że ją stracę.

W końcu płacz cichnie.

– Dlaczego? – szepcze zupełnie oklapła.

Wzruszam ramionami.

Oddycha głęboko i mnie odpycha.

– Dlaczego, Nev? – pyta. Jakimś cudem odzyskała siły.

– Tak mi przykro – mówię do popękanych płyt chodnikowych pod nogami.

– Och, wiem, że ci przykro. – W jej głosie pojawiają się twarde nuty. – On jest dla mnie wszystkim. A ty jesteś moją najlepszą przyjaciółką, na miłość boską.

– To się po prostu stało. – Ale obie wiemy, że to kłamstwo. Nic nie staje się tak po prostu. Wypadek samochodowy to efekt wielu decyzji podejmowanych przez obydwu kierowców. Nawet śmierć wymaga ostatecznej przegranej i ostatniego tchu.

– Musisz bardziej się postarać – mówi. Przewierca mnie wzrokiem. – To był pierwszy raz?

Przecząco kręcę głową.

– Boże! – krzyczy. Jej głos wypełnia ciemność. – Spotykacie się?

– Nie. – Czuję bijącą od niej nienawiść. – Nie – powtarzam głośniej. – Niechący pocałowaliśmy się po ciemku.

– Na mrocznej imprezie? To chcesz powiedzieć? Zrobiliście to za moimi plecami i...

– Nie, to nie tak. Pocałowaliśmy się i... sama nie wiem... Poczuliśmy coś do siebie.

– Poczuliście coś do siebie – przedrzeźnia mnie.

– Trudno to wytłumaczyć.

– Spróbuj.

– Usiłowaliśmy trzymać się od siebie z daleka...

– Och, próbowaliście – krzyczy. – No to chyba kiepsko wam to wyszło.

– Nie chcieliśmy... My po prostu... – Poddaję się. Tego nie można wytłumaczyć. – Nigdy nie chcieliśmy cię skrzywdzić. To nic nie znaczyło.

Znaczyło wszystko.

– Więc dlaczego to zrobiłaś? Jak mogłaś mi go odebrać?

– Nikogo ci nie odebrałam. – Te słowa pochłaniają całą moją energię. – Przecież możesz pogodzić się z Braydonem. Możesz mu wybaczyć.

Przez dłuższą chwilę wpatruje się w ciemność.

– Na pewno spróbuję. Ja go kocham, Nev.

Oddycham głęboko. Może z czasem wszystko się ułoży.

– A mnie wybaczysz?

Uśmiecha się lekko i przez chwilę ludzę się, że wszystko będzie dobrze.

– Sanna? – Nalegam, gdy nie odpowiada.

– Nie – mówi w końcu. – Nigdy ci nie wybaczę.

Rozpadam się na tysiąc kawałków.

– Nienawidzę cię. Nigdy więcej nie chcę cię widzieć. – Każde słowo wypowiada dobitnie, wyraźnie. Niosą się echem w nocnym powietrzu. Odchodzi.

– Nie zostawiaj mnie. – Czuję, jak otacza mnie ciemność. Nie zatrzymuje się.

Umieram ze strachu. Nagle słyszę warkot i widzę Braydona na motocyklu.

- Dobrze się czujesz? – pyta mnie.
- Idź, przeproś Sannę. – Obejmuję się ramionami.
- Neva, ja nie chcę Sanny.
Odsuwam się, żeby nie mógł mnie dosięgnąć. Siedzi na motocyklu, odwraca się niezdarnie, żeby mnie widzieć.
- Idź! – krzyczę. Biegnę w przeciwną stronę, jak najdalej od niego i Sanny.

Ryk motoru każe mi się odwrócić. Widzę, jak Sanna wskakuje na siodełko. Oplata go ramionami, przywiera do niego całym ciałem. Odjeżdżają. Przez sztuczne chmury przenika rąbek księżycy. Światło zdaje się odbijać od chodnika, kreślić drogę w ciemności.

Rozdział 20



- Idę – sama nie wiem – kilka minut czy kilka godzin. Ciszę przerywa jedynie echo moich kroków. Wydaje mi się, że widzę prawdziwą gwiazdę, gdzieś poza kopułą. To tylko plamka światła. Babcia twierdziła, że w odpowiednim świetle, pod odpowiednim kątem, można dojrzeć świat poza kopułą.

Kiedys, w noc taką jak dzisiaj, zabrała mnie na dwór. Księżyc był rozmytym, żółtym łukiem, ledwie widocznym przez kopułę.

Leżałyśmy na wznak na wilgotnej trawie. Wzięła mnie za rękę i wskazywała moim palcem niewyraźne

punkciki na nocnym niebie. Trzymała mnie za rękę i tłumaczyła:

– Widzisz? Tam jest gwiazda. I tam, i tam. – Twierdziła, że jej babcia знаła ich nazwy. – I jeszcze tam – Zatoczyła łuk moim palcem. – Widzisz? O, właśnie tam.

Powiedziałam, że widzę, ale tak naprawdę niczego nie dostrzegałam. Zawsze uważałam, że tylko sobie wyobrażamy, że je widzimy. Chciałam je zobaczyć, więc były tam, na niebie. Wmawiają nam, że kopała jest przezroczysta, ale babcia zawsze powtarzała, że gdy była mała, niebo było bardziej błękitne. Opowiadała, że prawdziwe niebo jest bezkresne. Nie rozumiem tego. W moim życiu wszystko ma swoje granice.

Ale dzisiaj, w ciemności, jestem pewna, że widzę prawdziwe gwiazdy. I dzisiaj zaczynam rozumieć, co to znaczy: bez końca. Moje życie to wieczna noc, bez pracy, bez przyjaciół, bez przyszłości.

Dwa okrągłe punkciki przecinają mrok. Stają się coraz większe, jak coraz szerzej otwarte oczy. Światło pochłania noc, aż spowija mnie jasność. Mrużę oczy. Światła stają koło mnie.

– Neva Adams? – zdaje się pytać światło. Ciekawe, czy to śmierć po mnie przyszła. Dzisiaj poszłabym z nią z własnej woli.

Światła gasną i dostrzegam zarys wiekowego samochodu elektrycznego, o wiele starszego niż wóz taty. Kroś wysiada, podchodzi do mnie.

– Neva Adams? – pyta.

Kiwam głową.

– Masz iść ze mną. – Z mroku wynurza się mężczyzna w mundurze policyjnym. – Przyjechałem zabrać cię do domu. – Otwiera drzwi od strony pasażera.

– Jak mnie znalazłeś? – Tylko Sanna i Braydon wiedzą, gdzie jestem.

– Wsiadaj, zawiozę cię do domu. – Mówi cicho, ale przyjaźnie.

Nie mam pojęcia, jak mnie znalazł. Pewnie mnie śledził. Ta myśl już mnie nie przeraża. Jestem jak szmaciana lalka – same trociny i skóra, zero umysłu, zero kregosłupa. Mogłabym na zawsze zniknąć w tej ciemności. Nikt się o niczym nie dowie. Wsiadam do samochodu. Jest mi wszystko jedno.

Odpala silnik. Jedziemy w stronę Miasta.

– Niebezpiecznie jest tak się włóczyć po odludziu w środku nocy, zwłaszcza dla takiej dziewczyny jak ty – mówi, jakby wiedział, co czai się w mroku. Szum silnika i jego głos kołyszają mnie do snu.

– Obudź się, Nevo.

Budzę się gwałtownie i odsuwam od mężczyzny w czarnym uniformie. Ze zdumieniem widzę, że stojmy przed moim domem. Odjeżdża, ledwie stając na chodniku. Na podjeździe nie ma samochodu taty.

Dom spowija ciemność. Wchodzę do środka, wołam mamę, zaglądam po kolei do każdego pokoju. Mamę też nie ma. Usiłuję opanować rozszalałą wyobraźnię i nie dopisywać mamy do listy zaginionych.

W korytarzu leży niebieska koperta z moim nazwiskiem i adresem. Nie rozpoznaję charakteru pisma.

Dziwne. Nie dostaję korespondencji. Nikt nie dostaje, prawie nikt. Słyszałam, że rząd ma w planach likwidację poczty w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Koperta jest zaklejona taśmą, widać na niej skreślone nazwiska. Opowiadają historię koperty.

Idę do pokoju, wsuwam palec pod świeżo przyklejona taśmę. Wyjmuję pocztówkę. Przedstawia widoczek jak ze starych książek taty – błękitny ocean i morze, biały piasek na plaży. Jakby ktoś wyretuszował zarys kopuły. Na wodzie nie widać czerwonej luny, ostrzegającej, by nie podchodzić za blisko. Odwracam pocztówkę.

„Czas wzbić się w powietrze, moja Śnieżynko”, czytam. Włosy na karku stają mi dęba. Nie ma podpisu, ale i tak wiem, od kogo jest ta kartka. Czuję, jak rodzi się we mnie nowa nadzieja. To niemożliwe, ale bardziej niż kiedykolwiek pragnę, żeby okazało się, że to jednak prawda. Odwracam małą tekturkę, szukam potwierdzenia.

To pocztówka od babci. Nie wiem, w jaki sposób mi ją przesłała, ale wiem, że to ona.

Mam łzy w oczach. Babcia żyje! Płacę i śmieję się jednocześnie.

Na dole widnieje jutrzejsza data i godzina. Nie podano miejsca spotkania. Pewnie musiała zachować ostrożność.

Napisała: czas wzbić się w powietrze. Wiem, gdzie będzie na mnie czekała – tam, gdzie uczyła mnie latać.

Babcia, zaginiona od lat, przesłała mi wiadomość. Więc może wcale nie zginęła. Może po prostu uciekła. Może

ukrywała się przez te dziesięć lat. Nie mogę w to uwierzyć. Właśnie o tym marzyłam. Dzięki niej uporządkuję cały ten bałagan w moim życiu. W najczarniejszej godzinie ona dała mi światło.

Rozdział 21



Stoję na mostku na rzece w centrum Miasta, w bańce mydlanej, która chroni mnie przed światem i świat przede mną. Zegar na wieży wybija jedenastą. Słyszę fałsz w wygrywanej melodyjce. Nikt nie wie, jak to naprawić, jak nastroić zegar. Lutnicy, czy jak tam nazywają się fachowcy od takich rzeczy, dostali inne, ważniejsze społecznie zadania. I tak co godzina zegar fałszuje i z każdym uderzeniem przypomina nam, że nic już nie jest dobrze.

Przychodziłam tu z babcią po śmierci dziadka. Stałyśmy tu, sztuczny wiatr wiał nam w twarz, rozkładaliśmy

ramiona, jakbyśmy miały skrzydła. Babcia mówiła, że wystarczy spojrzeć w górę i można sobie wyobrazić, że lecimy. Więc stałyśmy tam, dotykając się tylko opuszkami palców. Przyprawiała mnie tu, ilekroć chciałam jej coś powiedzieć albo gdy sama chciała mi powierzyć jeden ze swoich sekretów.

Odchylałam głowę do tyłu. Stado ptaków przelatuje mi nad głową, skręca się i zwija jak sznur. Unoszę ręce w nadziei, że babcia zaraz przyjdzie i polecimy razem.

Po kilku minutach robi mi się głupio. Ręce mnie bolą, już mi się nie wydaje, że lecę.

Grupa uczniów wchodzi na mostek. Dwaj mężczyźni w garniturach stoją przy przeciwległej barierce. Mówią szybko, jakby wyrzucali z siebie przeciwczony wcześniej tekst. Nieco dalej całuje się parka. Rozglądam się po mostku. Nie ma tu nikogo, kto przypominałby mi babcię, chyba że przebrała się za nastolatka na rolkach, który przejeżdża obok. Od dawna nie widziałam rolek. Sanna je miała, ale sprzedawała, by mieć pieniądze na kaucję za brata, gdy po raz pierwszy uciekł od opiekunów.

Zerkam na zegarek. Minęło już prawie piętnaście minut. Dręczy mnie niepokój. Może pomyliłam miejsce? Ale na pocztówce było napisane: czas wzbąć się w powietrze. To na pewno tutaj. Na pewno.

Robi mi się gorąco. Zdejmuję szary sweter, przewiążuję się nim w tali. Pocieram palcami wisiołek w kształcie płatka śniegu. Może babcia pozna naszyjnik, skoro nie poznaje mnie.

Staram się zachować spokój. Wyobrażam sobie, co jej powiem. Myślę o tym wszystkim, co się wydarzyło, odkąd zniknęła. Na pewno przyjdzie. Musi. Ale im więcej czasu mija, tym więcej mam wątpliwości. Nikt, nawet mama, nie wie, że to było nasze specjalne miejsce. I tylko rodzice wiedzą, że nazywała mnie Śnieżynką.

W południe jestem umówiona z Sengą i Carson na Placu. Jeszcze nie zdecydowałam, czy pójść. Nie chcę spotkać Braydona, a Sanna na pewno nie chce mnie widzieć. Myślałam, że może pójść razem z babcią. Tego ranka ze sto razy chciałam zadzwonić do Sanny. Podnosiłam słuchawkę i wybierałam kilka pierwszych cyfr, ale nie mogłam się zmusić, by wykręcić jej numer do końca. Nawet gdyby chciała ze mną rozmawiać, nie wiem, co miałabym jej powiedzieć.

Babcia spóźniła się już o pół godziny. A jeśli jej nie zauważyłam? A jeśli czekała na mnie po drugiej stronie rzeki? A jeśli to wszystko pułapka, żeby ją złapać, a ja jestem przynętą? A jeśli policjanci ją zobaczyli i przypomnieli sobie sprzed lat, gdy za ich sprawą zniknęła bez śladu? Przechadzam się niespokojnie, aż pokonałam most trzy razy. Biznesmeni, jedyni przechodnie na moście, przyglądają mi się uważnie. Jeden pyta nawet, czy dobrze się czuję.

- Tak, tak - odpowiadam, ale nie koncentruję się na nim, bo cały czas szukam babci wzrokiem. Idę dalej.

Do tego stopnia pochłania mnie rozglądanie się na boki, że nie zauważam staruszka i wpadam na niego. Upuszcza łaskę, zatacza się na barierkę.

- Bardzo przepraszam - mówię, podnosząc jego drewnianą łaskę. Staruszek poprawia na sobie brązową marynarkę z jaśniejszymi łatami na łokciach. Chwilę trwa, zanim wyciąga rękę po łaskę. Uśmiecha się, aż jego twarz okrywa jeszcze gęstsza sieć zmarszczek.

Jest łysy. Słońce odbija się od skóry, w jego blasku widzę poszczególne króciutkie włoski. W dzisiejszych czasach rzadko się widuje tak starych ludzi.

- Nic nie szkodzi, młoda damo - odpowiada, ale widzę, że jednak coś się stało. Łapie się za serce. Oddycha powoli, głęboko. Obserwuję, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada.

- Może pan usiądzie? - pytam, ale zaraz rozglądam się po mostku i widzę, że nie ma gdzie usiąść.

- O tak, chętnie.

Obejmuję go ramieniem.

- Może pan usiądzie na schodach. Albo podprowadzę pana do ławeczki, o tam, nad rzeką. - Zbliżam się do schodów.

- Chwila odpoczynku nad rzeką to świetny pomysł - mówi.

Przy schodach zatrzymuję się i rozglądam po raz ostatni.

Babcia nie przyszła. Przelykam rozczarowanie. Czuję się, jakbym straciła ją po raz drugi.

- Coś nie tak, moja droga? - pyta, wyczuwając moje wahanie.

- Nie, nie, przepraszam. - Razem schodzimy z pierwszego stopnia. - Po prostu czekałam na kogoś. Na darmo.

– A to pech – odpowiada i nagle schodzi coraz szybciej. – Musisz uważać – zauważa, gdy już jesteśmy na dole.
– Przepraszam, naprawdę, bardzo mi przykro, nie patrzyłam, gdzie idę. Mam nadzieję, że nic się panu nie stało, ja...

Ściska moją dłoń, przerywa mi. Ma brązowe oczy z tym samym błyskiem, który kiedyś widziałam u Ethana.

– Chyba mnie śledzą.

Świetnie. Nie dość, że nie spotkałam się z babcią, to jeszcze trafił się szalony staruszek. Chcę odejść, ale mocniej ściska moją dłoń.

– Znałem twoją babcię – szepcze.

Kolana uginają się pod mną. Wspieram się na nim, żeby nie upaść. Jest jak skała, daje mi wsparcie.

– Podejdź ze mną do ławki. Powoli. – Człapiemy krok za krokiem. – Kiedy twoja babcia szykowała się do odejścia, miałem iść z nią. Ale w ostatniej chwili stchórzyłem. Byłem taki głupi. – Uśmiecha się ciepło. – Cały czas mówiła o tobie.

– To pan przysłał mi pocztówkę?

Potwierdza ruchem głowy.

Zanim wyjechała, zostawiła mi tę kartkę z poleceniem, że mam ci ją wysłać, kiedy rząd znowu będzie się szykował do remontu kopuły. Dowiedziałem się niedawno, że właśnie się do tego zabierają.

Może dlatego policjanci są tacy nerwowi, może o tym mówił brat Sanny. Może też jakoś wiąże się to z ruchem oporu Sengi i Carson. Może dlatego tata miał tyle dodatkowych spotkań. Mam ochotę zatrzymać się

i to wszystko przemyśleć, ale staruszek ciągnie mnie w stronę ławki.

– Chce, żebyś do niej dołączyła. – Powoli siada na ławce.

– Dołączyła? Gdzie?

– Na zewnątrz. – Wskazuje niebo. – Poza kopułą.

Siadam na ławeczce koło niego. Mówi poważnie?

Przyciąga mnie do siebie. Zaskakuje mnie siła jego żelaznego chwytu.

– Za cztery dni o północy bądź przy Kapitolu – urywa, rozgląda się dokoła.

– Proszę. – Wyjmuje kopertę z kieszeni marynarki i wciska mi w rękę. Przytrzymuje moją dłoń blisko swojej piersi. – Nie czytaj tego teraz, schowaj to. Otwórz dopiero w bezpiecznym miejscu i zaraz po przeczytaniu zniszcz list. Napisała go twoja babcia. Ona mi zaufała, więc i ty możesz.

– To chyba nie jest możliwe.

– Masz znak charakterystyczny? – pyta.

Kiwam głową.

– Muszę wiedzieć, co to jest – nalega.

Rumienię się.

– Znak charakterystyczny będzie jednym sposobem identyfikacji. Opisz go.

To jedna z chwil, które na zawsze zmieniają życie – a ja nie jestem na to gotowa. Mam do wyboru: albo mu powiem o tatuażu, albo po prostu odejdę. Jeśli mu zaufam, zaryzykuję życie, żeby stąd uciec. A jeśli pracuje dla rządu? Ale przecież może to moja jedyna szansa na lepsze życie.

– Więc jak? – Wcisną mi kopertę w dłoni. Składam ją na pół.

– Mam tatuaż w kształcie płatka śniegu – mówię i upycham kopertę w kieszeni dżinsów. – Tutaj. – Wskazuję miejsce.

– Dobrze. – Chrząka. – Północ. Cztery noce od dziesiątej przy Kapitolu. Ktoś do ciebie podejdzie i każe ci pokazać znak charakterystyczny. Jasne?

– Przecież to sam środek Miasta.

– I właśnie dlatego nikt niczego nie podejrzewa. Wysłaj wszystkie siły na granicę. Kiedy zobaczysz się z babcią, przekaż jej pozdrowienia od Thomasa.

– Nie pójdziesz ze mną?

– Przecząco kręci głową.

– Dla mnie już za późno.

– A co jeśli...

– Jesteś wnuczką Ruth Adams. Dasz radę. – Pomarszczoną ręką gładzi mnie po policzku. Patrzy mi prosto w oczy.

– Nikomu o tym nie mów... – urywa na chwilę. – Nikomu. – Patrzy nie jak siedemdziesięcioletni starszek, ale młody buntownik. – Nevo, nikomu, naprawdę nikomu nie możesz zaufać. Rozumiesz mnie?

– Kiwam głową, ale jak mam zachować to w tajemnicy przed mamą? A Sanna? Już i tak straciła tak wiele. Czy po wczorajszym obchodzi ją w ogóle, co się ze mną stanie? A Braydon? Co z nim? Jak mogę tak zniknąć bez słowa?

– Nie powinni cię ze mną zobaczyć, to zbyt niebezpieczne. – Odwraca się.

Nie wiem, co robić. Babcia zaprasza mnie do wielkiej niewiadomej. A ja nie mam pojęcia, co będzie, jeśli to zaroszenie przyjmę albo odrzucę.

SS 16183011

Rozdział 22



Wracam przez most. Czuję, jak koperta wpija mi się w ciało. Potrzebuję całej siły woli, żeby nie rozerwać jej od razu. Pośrodku mostu podchodzę do barierki. Patrzę w górę, wspinam się na palce. Wiatr szarpie mnie za włosy związane w koński ogon, niesforne kosmyki smagają mnie po twarzy. Thomas nadal siedzi na ławce. Oparł brodę na łasce, jakby drzemał. Z tego punktu obserwacyjnego dostrzegam grupki ludzi w równej odległości od niego. Czy ci ludzie byli tam wcześniej? Chyba nie. Zauważylibyśmy ich. Chyba.

Kobieta w szarym żakiecie podchodzi do Thomasa, dotyka go – najpierw delikatnie, potem szarpie go

za ramię. Woła pozostałych. Otaczają go szybko. Dwaj mężczyźni zmuszają go, by wstał. Do ławeczki podjeżdża czarna furgonetka.

Ludzie rozpierzchli się na wszystkie strony, jak gołębie, by przepuścić samochód. Thomas jednym szarpnięciem uwalnia się z uścisku mężczyzn. Prostuje się, bierze łaskę z rąk kobiety i idzie do furgonetki. Zanim do niej wsiądzie, podnosi wzrok i przez ułamek sekundy patrzy sobie w oczy. I oboje od razu wiemy, że to był błąd, ale jest już za późno. Czuję, jak wzrasta mi poziom adrenaliny. Kobieta zmusza Thomasa, by wsiadł do furgonetki. Uderza w drzwi i samochód odjeżdża. Kobieta wskazuje na most. Mężczyźni ruszają w moją stronę.

Odsuwam się od barierki i zaczynam biec. Moje myśli są szybsze niż nogi. Co to za ludzie? Przecież to nie policja; nie noszą mundurów. Może to specjalna jednostka, jak ci, którzy pozbawili mnie wszelkich pamiątek po babci. Czy Thomas też zniknie? Więc to takie proste. Rząd usuwa cię jak płamę z bluzki. Jeśli mnie złapią, czeka mnie ten sam los.

Biegnę.
Zbiegam ze schodków prowadzących na most po drugiej stronie. Oglądam się za siebie. Nikt mnie nie goni, ale czuję, że są coraz bliżej. Są w lepszej sytuacji niż ja, muszą tylko rozglądać się za dziewczyną w beżowej bluzie, z końskim ogonem.

No właśnie. Rozpłynąć się w tłumie.
Chowam się pod mostem. Ściągam gumkę z włosów, ciskam do rzeki. Wkładam bluzę, zapinam pod szyję.

Odruchowo upewniam się, czy koperta nadal jest w kieszeni. Idę, ale odruchowo przyspieszam. Muszę zwolnić, ale przychodzi mi to z trudem i co chwila ruszam szybciej. Wolniej, Szybciej. Wolniej. Szybciej. Muszę znaleźć tłum, w którym mogę się zgubić.

Plac. To tylko kilka ulic stąd. Skręcam w pierwszą przecznicę. Kark boli mnie z wysiłku, by patrzeć przed siebie. Mam ochotę obejrzeć się za siebie, żeby się przekonać, czy ktoś mnie śledzi, ale zdaję sobie sprawę, że wyglądałoby to bardzo podejrzanie.

Na Placu jest większy tłum, niż się spodziewałam. Przemykam się z opuszczoną głową. Po raz pierwszy dziękuję losowi za to, że jesteśmy tacy podobni. Przepycham się do przodu, ale ludzka masa ściąga mnie w tył. Cały czas kogoś dotykam. Serce bije mi jak szalone. Wspinam się na palce, rozglądam się. Tłum gęstnieje, coraz trudniej jest się poruszać, ale może tu nic mi nie grozi.

Ktoś wciska mi w dłoń skrawek papieru. Zaciskam pięść, nie chcę tego, ale nieznamy chwytą mnie za nadgarstek.

– Przeczytaj to – szepcze ktoś. Ze wszystkich stron dobiega szelest kartek wciskanych w dłonie. – To nasza nadzieja na przyszłość.

Zaciskam dłoń na kartce.

Milcząca demonstracja; niemal zupełnie o niej zapomniałam. Znowu wspinam się na palce. Rozglądam się dokoła. Nie sposób nikogo rozpoznać, wszyscy wbijają wzrok w ziemię. Ja także się schylam i bez celu przepycham się przez tłum. W pewnej chwili zatrzymuję się

i dyskretnie rozkładam ulotkę. Czytam nagłówek: *Kopula nas zabija!* Odwracam ją na drugą stronę i zamieram. To artykuł z archiwum taty, odtworzony i skopiowany.

Fala ludzi napiera na mnie. Strach walczy we mnie z ekscytacją. Teraz ci wszyscy ludzie znają wielki rządowy sekret. Dzięki mnie i Sannie.

Ale w kieszeni dzinsów mam list od babci. Thomas właśnie zniknął, a oni, kimkolwiek są, pewnie polują już na mnie. Instykt dochodzi do głosu. Wciskam ulotkę w pierwszą lepszą dłoń. Przepycham się przez tłum, splatając ręce na piersi. Od razu widać, że nie rozpowszechniam antypaństwowej propagandy. Rozglądam się w poszukiwaniu najszybszej drogi ewakuacji z tłumy.

Potrzebuję powietrza. Wspinam się na cokół, przywieram do posągu doktora Benjamina L. Smitha. Obserwuję ludzką rzekę, płynącą Placem w stronę nabrzeża. Ludzie wymykają się z tłumy i chowają ulotki do kieszeni. Niektórzy dyskretnie upuszczają je na ziemię.

– Neva? Neva, to ty?

Wpadam w panikę, słysząc moje imię, ale udaję, że nic się nie stało.

– Neva! – Znamy głos, coraz głośniejszy. Nie mogę go dłużej ignorować.

– Neva! Tutaj! – Widzę chłopaka, jak macha rękami i przepycha się w moją stronę.

W pierwszej chwili chcę uciekać, ale nie ruszam się z miejsca. Jest coraz bliżej. Rozpoznaję jego sylwetkę. Krótkie włosy. Koszulę w niebiesko-szare paski, którą sama mu dałam na Gwiazdkę.

– Ethan – mówię, kiedy do mnie podchodzi i obejmuję. Jestem bezsilna. – Co ty tu robisz? – Właściwie wcale mnie to nie obchodzi. Jest tutaj, tylko to się liczy. Jeśli przyjdą, powie im, że cały czas byliśmy razem.

– Dzwoniłem do ciebie – mówi i głaszcze mnie po włosach, wygładza ślad po gumce.

– Wiem. – Mama przekazywała mi wszystkie wiadomości od niego. Dopiero teraz dociera do mnie, co zrobiłam. Ethan mylnie to zinterpretuje, uzna, że tęskniłam za nim i że do siebie wrócimy. A tak naprawdę, kiedy go zobaczyłam, myślałam tylko o alibi. Głupio mi, że po tylu latach razem widzę w nim tylko koło ratunkowe. Odsuwam się. – Co ty tu robisz?

Całuje mnie w policzek i dopowiada szeptem.

– Demonstracja.

– Naprawdę? Myślałam, że ty...

Bierze mnie za rękę.

– Domyśliłem się, że tu będziesz.

– Nie możesz robić tego ze względu na mnie – mówię. – To zbyt niebezpieczne. A jeśli...

– Kocham cię. – Chce mnie przytulić, ale się opieram. – Wiesz o tym, prawda? Nie mogę bez ciebie żyć.

Może go nie śledzą. Powinłam mu powiedzieć, co mówił Tim o urządzeniach naprowadzających – że tylko nieliczne działają, ale Ethan pewnie tylko skarciłby mnie za wypytywanie. Zresztą może jest jednym z nielicznych pod obserwacją. Może wszystko byłoby inaczej, gdyby go nie śledzili. Ale to już nieważne.

Widzę, że policja otoczyła tłum, kordon się zaciesnia.

– Chodźmy. – Szukają mnie. Jestem złodziejką i uciekinierką. Przekazałam organizatorkom demonstracji ukradziony artykuł. W kieszeni mam list od babki, która zniknęła bez śladu wiele lat temu.

Oddalamy się od Placu. Kluczemy bocznymi uliczkami, aż dochodzimy do stacji kolejowej. Całuję go w policzek. Muszę przeczytać list od babci.

– Pojadę z tobą.

Nie wiem, co mu powiedzieć. Z jednej strony chcę zabrać go do domu. To przecież Ethan. Jemu mogę zaufać. Znamy się od zawsze. Dokoła mnie wszystko się zmienia, ale Ethan nadal mnie kocha.

– Spokojnie, nie musisz.

– Ale chcę. – Uśmiecha się słodko, ciepło i przez chwilę widzę w nim cień dawnego Ethana, tego, w którym się zakochałam. To chłopak, który gdy miał dwanaście lat, zrywał kwiaty w ogrodzie sąsiada i przynosił mi, oblepione ziemią. Ale nie mogę się ludzić. Dawny Ethan nigdy nie wróci.

– Ethan, zerwaliśmy ze sobą, pamiętasz? Musisz żyć dalej.

Rumieni się, oczy zachodzą mu łzami.

– Myślałem, że jeśli ci udowodnię, że mogę się zmienić, że jeśli będę taki, jak chcesz...

– Nie, Ethan – mówię stanowczo. Chcę, żeby sytuacja była jasna. On nigdy nie będzie tym, kogo pragnę. Nigdy nie będzie Braydonem. – Posłuchaj, bardzo mi przykro, ale ja... – Nie wiem, czy mogę to powiedzieć, kiedy patrzy na mnie tak, jakby jego życie dobiegało końca. Wyrzucam

z siebie to, co mam mu do powiedzenia. – Nie Kocham cię już. – Teraz, gdy te słowa wreszcie padły, jakaś cząstka mnie chce je cofnąć – nie mogę patrzeć mu w oczy, nie chcę widzieć, jak umiera.

Za cztery dni być może stąd odejdę. Nie chcę, żeby za mną tęsknił, żeby mnie szukał. Nie chcę, żeby czuł to, co ja przez dziesięć lat po zniknięciu babci.

Odchodzę. Tak będzie najlepiej, tłumaczę sobie.

– Nie pozwolę ci odejść – woła za mną.

Zatrzymuję się. To brzmi, jakby wiedział o babcinym zaproszeniu do ucieczki, ale to przecież niemożliwe. Idę dalej.

– Kocham cię, Neva! – woła. Jego słowa są jak kamienie. Nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić. Chciałabym go pocieszyć, ale nie mogę. Bo to ja zadałam mu ból.

Wsiadam do odjeżdżającego pociągu. Nie obchodzi mnie, dokąd jedzie. Muszę się stąd wyrwać.

Rozdział 23



Wracam do domu. W salonie jest ciemno. Z trudem dostrzegam postać skuloną na kanapie. Mama.

– Mamo, co ty robisz? – Zapalam światło. Ma zaczerwienione oczy. Włosy zwisają wokół twarzy. Na ramieniu na ścierkę. Beżowa koszula wydaje się upstrzona farbą, dostrzegam brązową plamę pośrodku i ciemniejsze kropki dokoła. – Co się stało?

Mamo obejmuje mnie serdecznie. Nie mogę oddychać.

– Gdzie byłaś? – pyta i odsuwa mnie od siebie.

- Co? - Nadal analizuję wydarzenia mijającego dnia. Mogę stąd uciec. Może spotkam się z babcią. Za cztery dni. Jej propozycja uruchomiła wewnętrzny zegar.

Po policzkach mamy płyną łzy. Ukrywa twarz w ścierce. Przyciskam dłoń do brzucha, czuję zarys koperty. - Ja... - Szłocha tak, że nie może mówić. - Myślałam... że ty... - gorączkowo chwyta powietrze, jej szloch przypomina teraz wycie zranionego zwierzęcia - że cię... - wstrzymuje oddech i kończy: - zabrali.

- Och, mamo, ale dlaczego? - Ale przecież to naprawdę mogło się stać, mogłam zniknąć równie łatwo jak Thomas.

- Nie masz pojęcia, co się dzieje. Co może się stać z młodą dziewczyną. Widziałam Sannę.

- Jak to?

- Widziałam ją dzisiaj. Zawsze jesteście razem. Tak bardzo się bałam...

Czy Sanna coś jej powiedziała?

- Mamo, pokłóciliśmy się wczoraj. Nie odzywa się do mnie. Może już nigdy mi nie wybaczy.

- Dzięki Bogu! - rzuca mi się na szyję.

Nie takiej reakcji się spodziewałam.

- Kiedy ją zabierali...

- Co? - Wyrrywam się z jej objęć.

- No, tam, na Placu.

- Byłaś tam?

- Ale ty jesteś bezpieczna i to najważniejsze. - Znowu chce mnie objąć, ale się jej wyrrywam.

Odsuwam się na odległość ręki.

- Mamo, co z Sanną? Dokąd ją zabrali? Muszę jej pomóc. - Sanna zaginęła.

- Nevo, wiem, że ci ciężko, ale nie możesz nic zrobić. Nie możesz się w to mieszać. Nie zdajesz sobie sprawy, jak wysoka jest stawka. Już ostatnio miałaś wielkie szczęście. Ojciec musiał powołać się na dawne przysługi i niemal błagał, żeby cię wypuścili. Jeśli znowu się w coś wpakujesz...

- Ale, mamo, tu chodzi o Sannę. Nie mogę... - Czego właściwie nie mogę? Zdradziłam ją z jej chłopakiem. Gorzej chyba być nie może.

- Pewnie ją przesłuchają, jak ciebie.

Nie powiedziałam jej o Nicoline. Zabiorą Sannę. Wiem to.

- Muszę coś zrobić.

- Zobaczę, może uda mi się czegoś dowiedzieć. - Bierze moją twarz w dłoń, patrzę w jej przekrwione oczy. - Ale musisz mi obiecać, że dasz sobie spokój z tym, co kombinujesz.

- Dobrze.

Mama bierze płaszcz z wieszaka i idzie do drzwi. Nie mogę beczynnie stać. Czuję się taka bezradna. Postanawiam zadzwonić, raz. Może Sanna jest już w domu. Nie będzie chciała ze mną rozmawiać, ale jeśli usłyszę jej głos, będę miała pewność, że wszystko jest w porządku. Więc dzwonię.

Odbiera mężczyzna.

- Jones.

– Dzień dobry, panie Jones. Tu Neva Adams. Czy mogę prosić Sannę? – pytam najuprzejmiej, jak umiem. Trzaski na linii.

– Panie Jones, jest pan tam? – pytam po chwili.

– Jestem, jestem – odpowiada wyraźnie. Zna mnie. Rozmawialiśmy setki razy. Kiedyś uważał, że mam na Sannę dobry wpływ. Podobało mu się, że Sanna przyjaźni się z córką ministra historii starożytnej.

– Czy mogę mówić z Sanną? – powtarzam.

– Przykro mi, nie ma tu osoby o tym imieniu. – Połączenie się urywa. Boże, nie. Nie Sanna. Błagam, tylko nie ona. Zginam się wpół, żeby złagodzić ból w brzuchu. Koperta ukryta w kieszeni džinsów wbija się w tatuaż. Prawie o niej zapomniałam.

Idę do pokoju i wyjmuję pociętą kopertę z kieszeni spodni. Obracam ją w dłoniach. Jakie to teraz ma znaczenie? Nie odejdę stąd, póki nie będę miała pewności, że Sanna jest bezpieczna.

Siadam na łóżku i ostrożnie rozcinam kopertę. Zawiera tylko jeden arkusik. Pocieram go palcami. Jest kremowy, niemal brązowy, gruby, szorstki, z wyczuwalnymi włóknami i grudkami. Zapominałam już, jaki był w dotyku papier babci, domowej roboty. Rozkładam arkusik.

To był jej plan? Od momentu moich narodzin? Rodzice pozwolili, by wybrała dla mnie imię – byłam jej jedyną wnuczką. Wybrała imię Neva. Kiedyś powiedziała, że chciała, by moje imię niosło obietnicę.

*Moja najdroższa Snieżynko,
Rozstanie z tobą było najtrudniejszą
rzeczą w moim życiu. Ale jeśli czytasz
te słowa, moje największe marzenie
spotniało się i wkrótce znowu będziemy
razem.*

*Ten list musi być krótki, nie mogę
ryzykować nic więcej. Będziesz miała
tylko jedną szansę ucieczki. Nikt nie
może wiedzieć, co zamierzasz. Zostaw
za sobą wszystko. Jeśli to tylko możliwe,
bądź na ciebie czekała na zewnątrz.*

*Wiem, że proszę o wiele. Nie mogę
ci niczego obiecać, ale wierzę, że czeka
cię lepsze życie. Kocham cię, Snieżynko.
Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy.*

– Rząd może kontrolować opady śniegu, ale nie ma wpływu na kształt płatków – powiedziała.

Przez dłuższą chwilę wpatruję się w list. Niewykluczone, że odnalazłam babkę i straciłam najlepszą przyjaciółkę.

Wyjmuję pamiętnik, otwieram go na stronach poświęconych babci. Otrzymana od niej pocztówka służy jako zakładka. Chciałam tylko, żeby ponownie stała się częścią mojego życia, ale nigdy nie przypuszczałam, że będę musiała wybierać między nią a wszystkimi innymi.

Otwieram dziennik na ostatniej stronie i piszę: Thomas. Nie znam jego nazwiska, ale jego już nie ma. Czytam nazwiska innych zaginionych. Długopis zawisa nad kartką. Oczywiście wyobraźni widzę już tam imię Sanny, ale nie mogę go wpisać. Mam cztery dni, żeby zdecydować, czy skorzystam z zaproszenia babci. Cztery dni, żeby uratować Sannę.

Ponownie czytam list. Kiedy wszystko wymyka się spod kontroli, czepiam się isierki nadziei płonącej w sercu. Najchętniej zachowałabym list razem innymi pamiętkami po babci, ale to zbyt ryzykowne. Muszę zniszczyć jedyny dowód na to, że żyje. Nie wyrzucę go do kubła na śmieci. Tata ma niszczarkę, ale przecież nie wrzucę tego do kosza na śmieci, nawet po zniszczeniu. Wkładam list i pocztówkę do kieszeni džinsów i idę do łazienki. Zamykam się na klucz. Odrywam kawałek z kartki i listu, wrzucam do toalety, spuszczam wodę. I znowu wrzucam kawałeczki. Unoszą się na wodzie jak małe stateczki. Spuszczam wodę i miniaturowa flota znika w wodnym grobie.

Drę list i kartkę na malutkie strzępy – dosłownie po kilka literek na jednym. Najważniejsze fragmenty listu postanawiam zjeść. Papier klei mi się do zębów. Zaczynam żuć. Nabieram wody z kranu i połykam resztki dowodów.

Jeszcze kilka razy spuszczam wodę i po dowodach nie ma śladu. Siadam na toalecie. Czuję, jak papierowa kula powoli spływa do mojego żołądka, a tam rozprawi się z nią kwas żołądkowy.

Z zadumy wyrывa mnie pukanie do drzwi.

– Neva? Dobrze się czujesz? – pyta mama.

– Tak, nic mi nie jest. – Ale mój żołądek fika salto.

– Musimy porozmawiać.

Sprawdzam, czy w łazience nie został choćby kawałek papieru. Przed wyjściem przeglądam się w lustrze. Sprawdzam, czy kawałek nie przykleił mi się do zębów. Jak mogłabym to wytłumaczyć?

Otwieram drzwi. Na jej policzkach widnieją ślady świeżych łez.

– Musisz wyjechać. – Chwyta mnie za ramię i niemal ciągnie do pokoju.

– Mamo, to boli. – Uwalniam się z jej uścisku.

Przyniosła torbę podróżną. Wrzuca do niej bieliznę i džinsy.

– Będzie ci potrzebna kurtka. – Buszuje w mojej szafie.

– Mamo – powtarzam, ale nie słucha mnie, za bardzo pochłania ją pakowanie moich ciuchów. – Mamo! – krzyczę i wyrывam jej torbę. – Co ty wyprawiasz?

– Musisz stąd wyjechać. Zabrali Sannę i przygotowują się do aresztowania wszystkich podejrzewanych o obecność na demonstracji.

– Co?

– Musisz uciekać. – Ma obłęd w oczach. – Możesz się u kogoś ukryć?

Tylko jedna osoba może mi pomóc. Braydon. Twierdząco kiwam głową.

– Dobrze. W porządku. – Podaje mi skrawek papieru. Zamyka moją dłoń w swojej. – To informacje kontaktowe. Kobieta ma na imię Senga. Zgłoś się do niej jutro. Pomoże ci wydostać się z Miasta.

– Skąd ją znasz? – pytam. Czytam adres na karteczce.

– Nie pytaj, rób, co ci mówię. Zapakuj najważniejsze rzeczy. Zawiozę cię, dokąd chcesz. Dopilnuję, żeby nikt nas nie śledził. – Mówi spokojnie, niemal zimno. – Mamy mało czasu. Musimy wyjść, zanim wróci twój ojciec. Nie może wiedzieć, że miałam z tym cokolwiek wspólnego. Nie może wiedzieć, dokąd pojedziesz.

Nagle postrzegam matkę w zupełnie innym świetle. Jakby zdjęła maskę z twarzy. A może to ja zaczynam dostrzegać coraz więcej. Rzucam torbę na podłogę.

– Chodź ze mną.

– Nie mogę. Dostaniemy dziecko. Gdybym zniknęła, ruszyliby za tobą w pościg, a ty... ty znikniesz. Jedź na północ, przynajmniej na jakiś czas. – Podnosi mi podbródek. – Musimy być silne.

Skoro może ona, mogę i ja. Ale nie ucieknę. Nie tak, jak myśli. Znajdę Sannę, dopilnuję, żeby była bezpieczna.

Gdy wsiadam do samochodu, całe moje życie mieści się w torbie. Dotykam naszyjnika. Gdy mama zatrzymuje się przed domem Braydona, ściskamy się, jakbyśmy nigdy więcej miały się nie zobaczyć. I może właśnie tak jest.

Rozdział 24



Kruszące się płatki farby odpadają, gdy walę pięściami w drzwi. Nikt nie otwiera. Może on także zniknął. Walę coraz mocniej. Kawałki farby ranią mi skórę. Drzwi uchylają się powoli.

– Neva? Co ty tu robisz? – pyta Braydon. Ma na sobie wyblakłe niebieskie spodnie od piżamy.

– Zabrali Sannę.

– Co? Gdzie? – jego twarz zasnuwa się troską.

– Była dzisiaj demonstracja...

Nie daje mi dokończyć.

- Ale Sanny tam nie było. Powiedziała, że musi...
- Okłamała cię. - Wpadam mu w słowo. - Wiedziała, że będziesz temu przeciwny, ale policja... ale ona...
A teraz chyba polują na mnie.

- Wejdz do środka - mówi i obejmuje mnie silnym ramieniem. Bierze ode mnie torbę.

Jeszcze nigdy nie czułam się tak zmęczona. Mam wrażenie, że unoszę się nad własnym ciałem.

- Sanna. Musimy ją ratować.

- Uratujemy. - Mówi to tak spokojnie, tak pewnie, że mu wierzę. Dzisiaj jesteśmy innymi ludźmi niż przed kilkoma dniami, ale dawne napięcie nadal iskrzy między nami. To bolesne i cudowne zarazem. Nie powinnam być z nim, gdy Sanna jest nie wiadomo gdzie. Ale jednocześnie mam wrażenie, że jestem na swoim miejscu. Napięcie między nami narasta.

Prowadzi mnie na górę. Wchodzimy do sypialni i wtedy dostrzegam jego bosa stopy. Nie wiadomo, dlaczego ten widok przyprawia mnie o zawrót głowy.

- Myślałam, że nawet śpisz w czerwonych kowbojkach.

Śmieje się, napięcie znika. Uśmiecham się z ulgą. Nie wiem, co mnie tak bawi, ale nie mogę przestać. Boli mnie brzuch. Śmiejemy się i lądujemy na jego łóżku. Cały czas mnie obejmuje. Śmiech cichnie.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, ale cieszę się, że tu jesteś - mówi.

- Dzięki, że mogę się tu zatrzymać. Jutro mnie już nie będzie.

- Co?

- Muszę odnaleźć Sannę. - Kusi mnie, żeby powiedzieć mu o liście od babci, ale jakaś częśćka mnie nadal mu nie ufa. Zresztą i tak nie wiem, czy ucieknę. Podejmę decyzję, dopiero wtedy gdy Sanna będzie bezpieczna.

- A jak się dowiesz, gdzie jest?

- Znam kogoś, kto mi pomoże. - Nie mówię mu również o Sendze. Na razie zachowam moje sekrety dla siebie. W końcu zbieram się na odwagę i pytam:

- Co zaszło między wami? No wiesz, po tym jak nas przyłapała? - Zabawne, słowo pocałunek nie przechodzi mi przez gardło. Wspomnienie poprzedniej nocy sprawia mi ból. Mam wrażenie, że od tamtej sceny minęła cała wieczność.

Odsuwa się ode mnie.

- Plakała i błagała, żebym z nią został. Nie mogłem jej zostawić w takim stanie.

Sama go prosiłam, żeby do niej wrócił, ale i tak odczuwam ukłucie zazdrości na myśl o nich, razem, we dwoje. Nienawidzę się za to.

- Nie mieści mi się w głowie, że jej opiekunowie pozwolili ci u niej przenocować.

- Albo nie wiedzieli, albo nic ich to nie obchodziło.

- Ciekawe, czy jej brat wie, że ją aresztowano.

- Dzisiaj rano dowiedziała się od kogoś z podziemia, że znowu trafił na Farmę. - Zerka na mnie. - Na rok albo dłużej.

Prostują się gwałtownie.

- Teraz już nikt nie przejmie się jej zniknięciem. Musimy ją znaleźć. - Ma już tylko mnie.

Po tym jak mruży oczy i zaciska usta, poznaję, że myślę intensywnie.

– Braydon. – Szturcham go w bok, żeby zwrócić jego uwagę. Patrzy na mnie, jakby zapomniał, że tam jestem.

– Neva, Sanna była wczoraj na ciebie wściekła. – Wygląda przez okno, w ciemność. – Nie wiem, czy będzie chciała z tobą rozmawiać, nawet jeśli ją znajdziemy.

– Nie musi ze mną rozmawiać. Nie musi mnie lubić. – Podchodzę do okna. Muszę się od niego odsunąć. – Nawet po tym wszystkim zaryzykowałaby własne życie, byle mnie ratować. Jestem tego pewna.

Staje za mną.

– Prześpijmy się. Pomyślimy o tym jutro – szepcze mi do ucha. Przeszywa mnie dreszcz. – Pójdę do drugiej sypialni – dodaje i odwraca się na pięcie.

Nie wytrzymam samotności. Łapię go za rękę. Milczymy. Kładę się na łóżku. On także. Przewraca mnie na bok i obejmuje. Pasujemy do siebie idealnie.

Nie dopuszczam do siebie myśli o Sannie. Odpycham wyrzuty sumienia, które mnie zżerają. Po raz pierwszy od dawna nie czuję mrocznej samotności.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. – Braydon mruży oczy i odczytuje numery domów. Zostawiliśmy motocykl nieco dalej i na piechotę szukamy domu Sengi.

– Dziesięć tysięcy dziewięćset siedemdziesiąt osiem będzie po tej stronie ulicy. – Przechodzimy przez jezdnię. – To na pewno Blue Sky Crescent? – Rozglądam się, choć wiem, że nie zobaczę tablicy. Większość z nich

dawno zniknęła, a te, które się ostały, są tak zniszczone, że nie da się z nich niczego odczytać.

– Według mapy – tak. Chyba. – Braydon obraca mapę o dziewięćdziesiąt stopni. – Albo to, albo Starry Night Lane. Kto właściwie wymyślał te nazwy?

Domy w większości wyglądają na opuszczone. W niektórych zabito okna deskami, w innych otwarte drzwi przypominają usta rozchylone do krzyku. Są takie same – dwupiętrowe, z czerwonej cegły. Różnią się kształtem okien i garaży, ale poza tym są identyczne.

– To chyba tu. – Wskazuję budynek nieco dalej. Żywoplot jest starannie przystrzyżony. Przy drzwiach wejściowych stoją poobijane doniczki z czerwonym geranium. – Skąd wiesz, że możemy jej zaufać? – Braydon zwalnia kroku.

– Zaufaj mi, dobrze? – Biorę go za rękę i ciągnę za sobą. Po chwili dociera do mnie, co zrobiłam, i zaraz go puszcza. Tak jest od rana. Co chwila zbliżamy się do siebie, aż jedno z nas pomyśli o Sannie, i wtedy zaraz odskakujemy do siebie.

Pukam do drzwi pod numerem 10 978. Braydon stoi za mną jak ochroniarz, rozgląda się w poszukiwaniu zagrożenia.

Drzwi otwierają się, Senga skinieniem ręki każe nam wejść do środka.

– Przyszyła nas... – zaczynam, ledwie zamyka za nami drzwi.

– Pamiętam cię. – Nie daje mi dokończyć. – Chodźcie ze mną. – Jest w szarym szlafroku, we włosach ma różowe

piankowe papiloty. Szura nogami i wtedy zwracam uwagę na jej sfatygowane kapcie w kształcie króliczych lebków. Uśmiecham się na ich widok i nagle czuję się mniej bezpieczna. Ale przecież mama nie przysłałaby mnie tutaj, gdyby coś mi tu groziło. Sanna nie brałaby udziału w demonstracji, gdyby Senga nie była godna zaufania. Patrzę na Braydona i widzę w jego oczach te same wątpliwości.

Wychodzimy do ogródka.

– Siadajcie. – Wskazuje zardzewiałe metalowe krzesło, podarty leżak i rowerek. Wybieram rowerek, Braydon woli stać, Senga ostrożnie siada na leżaku.

– Przepraszam, że niczym nas nie częstuję, ale przy trójce dzieci nic nam nie zostaje.

Ostatnie słowa zbijają mnie z tropu. Ciekawe, gdzie jej rodzina. Zdaje się czytać w moich myślach:

– Mój mąż jest w pracy, a dzieci w szkole...

– Aresztowali Sannę – wypalam prosto z mostu. Jej okrągła twarz wydłuża się nagle. Marszczy brwi. – Myślałam, że może pomożesz mi ją odnaleźć.

Senga zerka na Braydona. Widać, że nie jest zachwycona jego obecnością.

– Nie wiem – odpowiada z wahaniem.

– Dokąd mogli ją zabrać? – pyta Braydon. On także nie czuje się najlepiej. Przeszępuje z nogi na nogę. W czerwonych kowbojkach, oczywiście.

– Posłuchaj – zwraca się do mnie Senga. – Potraktuj to jako przysługę. Obiecałam twojej mamie, że pomogę ci uciec na północ. – Braydon posyła mi znaczące

spojrzenie. Nie byłam z nim do końca szczerą i wie o tym. Senga chyba nie zauważyła napięcia między nami. – Ale o nim nie było mowy. – Wskazuje na Braydona.

– To chłopak Sanny – wyjaśniam.

– Nie obchodzi mnie, kim jest. Powiem krótko: ma wyjść. – Wskazuje drzwi kuchenne, ale sądząc po jej sztywnej postawie, wolałaby, żeby znalazł się dalej niż tam.

– Dobrze, dobrze. – Kopie grudkę żwiru. – Poczekam przy motorze. Tylko się pośpiesz, dobrze? – Wychodząc, ścisiska mnie za ramię.

Senga czeka, aż trzasną drzwi wejściowe, zanim ponownie się odezwie.

– Żałuję, że powiedziałam jej cokolwiek o ruchu oporu, ale jej mama była naszym filarem. Uznałam, że jestem jej to winna. Sanna błagała, żebym powiedziała jej o demonstracji. Wygłosiła dramatyczną mowę, jak to przyjaciółka na nią liczy. Znasz Sannę.

– Aresztowano ją wczoraj podczas demonstracji.

– Cholera! – Senga gniewnie szarpie podarty leżak i nagle ląduje na podłodze, z nogami w górę, ale nie robi najmniejszego wysiłku, żeby wstać. Mówi dalej, jak gdyby nigdy nic. – Myślałam, że młodszym się udało.

– Dokąd ją zabrali? – Wstaję, pomagam jej wstać.

Podchodzi do mnie i szepcze:

– Słyszałam plotki, ale podkreślałam – tylko plotki, o Centrum Emancypacji Kobiet.

Te słowa brzmią znajomo, widniały na jednym z folderów na biurku taty.

- Co to jest? Myślisz, że Sanna tam jest?
- Nie wiem na pewno, ale chyba właśnie tam zabierają młode kobiety po aresztowaniu.
- Wiesz, gdzie to jest?
Przecząco kręci głową.
- Ale może się dowiem. Jesteś pewna? - Mierzy mnie wzrokiem.
Patrzę jej prosto w oczy.
- Muszę ją znaleźć.
- To niebezpieczne. Naprawdę niebezpieczne. Tu już nie chodzi o seminarium patriotyczne czy pobyt na Farmie. To poważna sprawa i jeśli w plotkach jest choć część prawdy... ale miejmy nadzieję, że ludzie przesadzają.
Mam ochotę zapytać o te plotki, ale z drugiej strony nie chcę wiedzieć, nie teraz. Pal sześć konsekwencje.
- Muszę to zrobić.
- No dobrze. - Pocerwieniła na twarzy, na jej czole widnieją kropelki potu. - Popytam, postaram się czegoś dowiedzieć. Może uda mi się ustalić, czy na pewno tam ją zabrali. Przyjdź jutro rano. - Patrzy na drzwi. - Sama.

Rozdział 25



Dyggoczę. Stopiłam się w jedno z motocyklem Braydona. Straciłam czucie w pośladkach i udach. Przywieram policzkiem do jego pleców, żeby nie szczerkać zębami. Wydaje mi się, że nadal się go trzymam, ale funkcjonuję poza czasem i przestrzenią. Otacza mnie jałowy krajobraz; linia drzew wzdłuż szosy i pola. Suche, brunatne, umierające. Tak daleko na północ nie prowadzi się programów irygacyjnych. Szosa to niekończąca się czarna wstążka przed nami. Mniej więcej co pół godziny mijamy samochód. Początkowo nie posiadałam się z podniecenia na myśl o tej wyprawie. Braydon i Neva ruszają na ratunek. Rano

Braydon zawiózł mnie do Sengi. Widzieliśmy, jak jej mąż i trójka dzieci wychodzą z domu. Ścisnęło mi się serce, gdy zobaczyłam, że to trzy córeczki. Teraz już rozumiem, dlaczego Senga robi to, co robi. Ryzykuje, bo walczy o przyszłość córek.

Udzieliła mi niejasnych wskazówek co do, jak ustaliła, lokalizacji Centrum Emancypacji Kobiet. Zastrzegła, że nie ma pewności, że Sanna tam jest, ale uzyskała z pewnego źródła informację, że odesłano ją na północ. Kazała mi wyjechać z Miasta szosą wylotową i szukać świeżo wyasfaltowanej drogi zjazdowej. Jej znajoma z departamentu zasobów mówiła, że mniej więcej trzy lata temu skierowano ogromne fundusze na remont ośrodka na północy, na polecenie minister zdrowia.

– To na pewno tam – powiedziała. – Bo niby po co minister zdrowia byłoby drogi? Ten ośrodek na pewno jest dobrze strzeżony. Ale mam też dobrą wiadomość – w tamtej części kraju są tylko generatory przenośne.

– Dlaczego to jest dobra wiadomość? – zdziwiłam się.
– Bo nie mogą sobie pozwolić na marnowanie energii na wyszukane zabezpieczenia, takie jak ogrodzenie pod napięciem czy system kamer. Pewnie strzegą ośrodka bardziej tradycyjnie. Na pewno chcesz to zrobić?

Skinęłam głową, choć w głębi duszy najbardziej na świecie chciałam się wycofać. Co ja sobie wyobrażam? Braydon chciał czekać, ale ja się uparłam. Nie wie, że nie mam czasu – zostały mi już tylko trzy dni. Zresztą, gdybym zaczęła o tym myśleć na chłodno, gdybym w pełni

zdała sobie sprawę, na co się porywam, pewnie dałabym sobie spokój.

Braydon zabrał niezbędne rzeczy – jedzenie, wodę, koce i zapasowy akumulator do motocykla. Oficjalne punkty ładowania znajdują się tylko w promieniu stu kilometrów do stolicy. Jeśli Senga się nie myli, pojedziemy o wiele dalej.

Autostrada jest pusta. Chyba nie ma końca. Mam wrażenie, że jesteśmy w innym świecie. Łączy nas podróż. Braydon szturcha mnie w bok, wskazuje coś. Widzę. Przed nami od czarnej wstążki drogi odchodzi odnoga. Od początku podróży widziałam zjazdy po bokach szosy. Najczęściej porastały je chwasty, które zdążyły rozsadzić stary asfalt. Ale w miarę jak się zbliżamy, ta wstążka staje się drogą, niemal strzałką wskazującą drogę.

Zjeżdżamy z autostrady i czuję, jak moje ciało ponownie budzi się do życia. I wtedy dociera do mnie, że zaczynałam już lubić tę bezpańską krainę, w której zamieszkałam z Braydonem. Cichy pomruk motocykla. Jego skórzaną kurtkę, nagrzaną słońcem, pod policzkiem.

Autostrada była bezkresna, otwarta. Ta droga przecina las i mam wrażenie, że coraz bardziej się zwęża, aż staje się tak wąska, że zmieściłby się na niej tylko jeden samochód. Wysokie drzewa o potężnych pniach tworzą mur po obu jej stronach, wyciągają gałęzie jak powykrzywiane palce, zasłaniają niebo. Słońce przedziera się przez konary, mijamy wąskie kolumny światła.

W pierwszej chwili dźwięk umyka mojej uwadze. Wydaje mi się, że to tylko złudzenie. Ale kiedy narasta, zdaję sobie

sprawę, że dochodzi z zewnątrz. Braydon sztywnieje; on także to usłyszał. Oglądam się w panice, tracimy równowagę, motocykl tańczy na jezdni. Przywieram do Braydona, żebyśmy się nie przewrócili. Ale widziałam coś, chyba furgonetkę.

– Śledzą nas! – krzyczę Braydonowi do ucha. Przyspiesza, siła odśrodkowa odrzuca mnie do tyłu. Wbijam paznokcie w jego kurtkę. Pochyla się nad kierownicą. Warkot za nami przybiera na sile. Jest coraz bliżej. Nie muszę się odwracać, by wiedzieć, że jest za nami, że nas dogania. Przyspieszamy. Motocykl drży między moimi nogami. Jakby zbierał wszystkie siły, by wieść nas jeszcze szybciej.

Braydon szuka zjazdu, ale drzewa tworzą mur. Zjeżdża na lewą stronę. To zły manewr, jeśli mamy zjechać z jezdni, ale muszę zdać się na niego. Nagle ostro skręca w prawo. Przez chwilę znajdujemy się w powietrzu, potem twardo uderzamy o podłoże. Tylko dzięki umiejętnościom Braydona motocykl się nie przewraca. Zwalniamy, jadąc przez las. Podskakujemy na wybojach. Tracę rytm. Drzewa są tak blisko, że niemal czuję na skórze ich szorstką korę. Odwracam się. Biała furgonetka została na drodze. Może jesteśmy już bezpieczni.

Tor przeszkód wydaje się nie do pokonania, ale Braydon daje sobie radę. Motocykl podskakuje na korzeniach, moja głowa też. Ciśniej obejmuję Braydona. Jesteśmy daleko od szosy. Motor jedzie coraz wolniej. Pewnie zużyliśmy resztki energii podczas pościgu. Zatrzymujemy się. Zeskakuję z siodełka.

– To było... – zaczynam, ale nie mogę znaleźć odpowiednich słów. – Ty... – Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Braydon rzuca motocykl i podbiega do mnie.

Rozglądamy się dokoła, wytężamy słuch, by usłyszeć choćby trzask gałązki pod butem albo głuchy rytm kroków. Otacza nas zimna cisza.

Przyciąga mnie do siebie i całuje w głowę. Słyszę, jak wali mu serce, a moje wyrывa się do niego z każdym uderzeniem.

Opiera podbródek na mojej głowie.

– Nie możemy tu zostać.

– Chyba jesteśmy już blisko.

– Owszem, ale wiemy, że tu jesteśmy. Nevo, moim zdaniem powinniśmy zawrócić do autostrady. Nie przemyśleliśmy tego dostatecznie.

– Nie możemy teraz wracać.

– Zgadzam się.

Przechylam głowę, zaskoczona. Podnosi motocykl, ogląda go uważnie i nie przestaje mówić.

– Mamy jeden akumulator. Możemy jechać dalej na północ. Tam prawie nikogo nie ma. Zamieszkamy w lesie, poradzimy sobie. Braydon i Neva znikną na zawsze. – Ściąga chwasty z silnika i akumulatora.

Analizuję jego słowa. Nie byłabym już córką ministra historii starożytnej, a on nie byłby chłopakiem mojej przyjaciółki. Do tej chwili nie wyobrażałam sobie przyzwoistości, a w każdym razie nie taką, od której kręci mi się w głowie, jak od tego pomysłu Braydona.

Unosi brwi.

– Co ty na to?
Najbardziej na świecie chcę powiedzieć, że się zgadzam. Ale milczę.

– Musimy iść – mówi, widząc moje niezdecydowanie. – Zmienię akumulator, potem będziesz musiała wybrać.

Obserwuję, jak kuca przy motocyklu. Wyobrażam sobie nasze życie tylko we dwoje. Życie w głuszy, w miejscu, o którym zapomniał rząd. Nikt nas nie obserwuje, nikt nie mówi, co mamy robić.

I wtedy myślę o Sannie. Przypominam sobie jej minę, gdy przyłapała nas, jak się całowaliśmy. Zdumienie i zagubienie. Nie mogę jej zostawić, ale nie wiem, czy mam dość siły, by ją uratować. Ale chyba nie mam wyboru. Braydon odwraca głowę. Policzek ma ubrudzony smarem. Już nie wygląda bez zarzutu. Nawet czerwone kowbojki nie są już tak idealne.

Wsiadamy na motocykl. Chciałabym powiedzieć mu, żeby jechał na północ, jak najdalej. To byłoby pewnie najrozsądniejsze rozwiązanie. Mamy większe szanse, jeśli uciekniemy. Ale nie mogę.

– Nie odjedziemy bez Sanny. – Nie mogłabym być szczęśliwa, gdybym ją zostawiła.

Zwiesza ramiona.

– Nie wyobrażam sobie, jakim sposobem możemy być razem. Teraz mamy szansę, żeby zacząć wszystko od nowa, zostawić przeszłość za sobą.

Ma rację. Nie będziemy razem. Jeśli pomożemy Sannie, rząd będzie nas ścigał. Jeśli jakimś cudem uda się nam ją uwolnić, będzie bardziej niż kiedykolwiek

potrzebowała Braydona. Jeśli uda nam się wrócić do domu – co wydaje się bardzo wątpliwe – czeka mnie szansa życia poza kopułą.

– Nie mogę jej tak zostawić – mówię cicho.

– A co, jeśli jej nie znajdziemy? A jeśli... – Urywa i zaraz podnosi głos. – A jeśli nawet ją znajdziemy, być może nie będziemy mogli jej pomóc.

– Musimy spróbować. – Przytulam się do jego pleców. Odpala silnik. Powoli wjeżdżamy na jedno z okolicznych wzgórz. Może stąd zobaczymy, gdzie jesteśmy i gdzie może być Sanna. Wzgórze jest strome, na szczyt musimy pchać motocykl. Braydon kładzie go na ziemi.

Las ciągnie się bez końca, ale u podnóża wzgórza, pośrodku doliny, widnieje wielki czworoboczny budynek z trawnikiem na dziedzińcu. Przypomina staroświecką rezydencję. Widzę drobne punkciki – to ludzie. Nie wiem, co robią, ale ruszają się powoli. Za budynkiem stoi jeszcze jedna budowla – bez okien. Może to stodoła. Cztery ciemne postacie krążą dookoła. Pewnie strażnicy. A więc to musi być Centrum Emancypacji Kobiet. Gdyby nie strażnicy poruszający się ustaloną trasą, to miejsce wcale nie wyglądałoby groźnie.

Centrum Emancypacji Kobiet. Nie brzmi zbyt strasznie. Emancypacja to dobre słowo. Gorzej ze słowem „kobieta”. Kobiety częściej znikają. Co oni z nimi robią? Pranie mózgu? Wmawiają im, że dzieci to największy dar dla kraju? Chyba ich nie torturują. Muszą być zdrowe, by po powrocie na łono społeczeństwa znalazły partnera i rodziły dzieci.

Zauważamy ruch na zwirowanej drodze prowadzącej do budynków. Biała furgonetka. Kulimy się odruchowo. Z ukrycia widzimy, że samochód podjeżdża do budynków i parku od przeciwnej strony.

Siadamy. Z furgonetki wysiada pięć osób. Znikają za budynkiem. Czekamy jeszcze chwilę.

– Ściemnia się – mówi Braydon. Nie zauważyłam tego. – Dzisiaj już nic nie zrobimy. Poszukajmy miejsca na nocleg i zastanowimy się, co robić.

Prowadzi motocykl i mnie. Schodzimy ze wzgórza i niemal jej nie zauważamy, bo otacza ją las i usychające krzaki. To mała chatka.

– Poczekaj tutaj, rozejrzę się – mówi.

Jestem zbyt wyczerpana, by dyskutować. Chatka jest niewiele wyższa od Braydona. Po kilku minutach macha do mnie.

Gdy i my, i motocykl jesteśmy w środku, zauważam, że chatka nie ma dachu. Owszem, widzę belki więźby dachowej, ale poza nimi między nami a kopułą nie ma nic. Nie ma też okien, a jedyne drzwi zamyka się na wielką zasuwę. Braydon właśnie to robi.

– Chyba możemy tu przenocować – mówi i otwiera moją torbę, która do tej pory była przywiązana do bagażnika motocykla. Podaje mi kromkę chleba i kawałek sera. Od początku podróży popijaliśmy wodę z jego bidonu. Zostało bardzo niewiele. Jesteśmy zbyt zmęczeni, by rozmawiać. Jemy na stojąco, po przeciwnych stronach chatki.

Podłogę porastają chwasty, miejscami sięgające mi do kolan. Braydon depcze je i rozkłada koc na ziemi.

Zdejmuję kurtkę. Klei się do mnie od potu. Braydon odwraca się plecami, ściąga kowbojki, kładzie się. Mam wilgotną skórę, a noc jest chłodna. Wzdrygam się. Braydon klepie miejsce koło siebie. Kładę się. Sucha trawa szeleści pod moim ciężarem.

Boimy się dotknąć. Patrzymy na rąbek księżycy, jedyne źródło światła, które dzieli nas od nieprzeniknionej ciemności. Wydaje się, że jesteśmy na końcu świata. Boję się ciemności, ale tutaj ten strach zagłuszają tysiące innych lęków.

– Neva – szepcze. Przewraca się na bok, twarzą do mnie. W moim imieniu zawiera się prośba i pytanie. Pochyla się nade mną. Czule całuję go w usta. Odpowiada. Całujemy się z otwartymi oczami. Chcę poczuć, zobaczyć tę chwilę.

Odsuwa się boleśnie powoli. Nie chcę, żeby się ode mnie oddalał. Jego dłonie błędzą po moim ciele, wędruje wzrokiem w ślad za nimi, zdejmując ze mnie ubranie, całuje nagą skórę. Zatrzymuje się przy tatuażu. Zakrywam go dłonią, nagle zawstydzona. Nasze palce się splatają.

Jednocześnie eksploduję i zapadam się w sobie. Już nie chcę się bać, a jednak ciągle odczuwam strach. Boję się tego, co będzie dalej. Chcę, żeby przestał, ale zarazem umieram ze strachu na myśl, że to zrobi i już nigdy nie poczuję niczego podobnego.

– Dobrze się czujesz, Neva?

Całuję go, zmuszam, żeby położył się na plecach. Teraz ja go rozbieram drżącymi dłońmi. Przywieramy do siebie. Ciągle nie mam dosyć tej bliskości. W naszej

namiętności pojawia się rytm. Nasze ręce i usta szukają się instynktownie.

Bardzo chcę złamać postanowienie o celibacie, ale coś nas powstrzymuje. Oboje wiemy, że łamiąc śluby, dopuszczamy do nas rządy, a ta noc jest tylko nasza, Braydona i moja.

Rozdział 26



Otwieram oczy, ale nadal jestem zaspana. Braydon otula mnie jak koc. Leżymy w cieniu, ale słońce świeci ostro. Przyglądam mu się przez dłuższą chwilę. Chcę zapamiętać tę noc. W ostrym świetle poranka widzę chłopaka mojej najlepszej przyjaciółki, którego prawie nie znam. Leży nagi koło mnie. Ale w nocy odbierałam to inaczej. Nie mogę zmienić przeszłości. Szczerze mówiąc, nawet nie chcę. Zachowam to wspomnienie w mydlanej bańce, z dala od kategorii dobra i zła.

Wsuwam się z jego objęć i ubieram szybko. Powolutku unoszę zasuwę. Braydon przewraca się na bok i nakrywa

kocem, spod którego wystają jego nagie barki i stopy. Powracają uczucia z minionej nocy. Moje życie dzieli się na przed naszym pierwszym pocałunkiem w ciemności i po nim.

Mam jeszcze dwa dni. Jeden, żeby ocalić Sannę, i jutro o północy będę mogła uciec. Jeśli chcę zrealizować te plany, muszę działać powoli, krok po kroku.

Wracam na szczyt wzgórza. Długo obserwuję budynek w dolinie. Widzę postacie kręcące się dokoła głównego budynku. Domyślam się, że to strażnicy. Nagle podjeżdża ciemna furgonetka z, jak mi się wydaje, godłem Kraju. Mężczyzna w czerni wnosi do budynku coś, co wygląda jak przenośna lodówka i odjeżdża.

Słyszę kroki za sobą. Odwracam się – to Braydon idzie w moją stronę. Włosy ma potargane, na twarzy odgniół się koc. Nagle dociera do mnie, że zapewne wyglądam równie niechlujnie.

Obejmuje mnie w talii. Tulimy się, jakby kołysani delikatnym porannym wiatrem. Całuje mnie.

– W porządku?

Kiwam głową.

– Jaki masz plan? – pyta. – Niemal widzę, jak kręcą się trybiki w twoim mózgu.

Kładę mu dłoń na policzku. Rzeczywiście, myślę intensywnie. Wiem, jak wygląda pierwsza część planu, ale dalej będziemy musieli zdać się na szczęście i improwizację.

– Nie ma mowy – mówi, kiedy przedstawiam zarys planu. – To ja powinienem brać na siebie całe ryzyko. Nie pozwolę ci na to. – Odsuwa się ode mnie.

– To ośrodek dla kobiet. Mogę wmieszać się w tłum. A jeśli mnie... – Przetykam z trudem. – A jeśli mnie złapią... – mówię coraz szybciej. Braydon rumieni się coraz bardziej. – Ale do tego nie dojdzie. Nie dopuszczę do tego. Ale gdyby jednak, przekażesz wiadomość moim rodzicom. Mama mnie tu nie zostawi.

– Co ty sobie myślisz? – podnosi głos. Za bardzo.

– Muszę to zrobić. – Patrzę na Centrum Emancypacji Kobiet w dolinie u stóp wzgórza. Myślę o mamie i o babci. O Sannie i jej matce. O Sendze i jej trzech córkach. – Zrobię to z tobą czy bez ciebie, ale będę miała większe szanse, jeśli mi pomożesz.

Wpatrujemy się w dal, ponad drzewami. Wtulam się w niego. Znowu się całujemy, ale nie namiętnie jak w nocy, tylko powoli, czule. To pożegnanie. W końcu odrywam się od niego. Nie mogę się teraz rozkleić.

– No, dobra. Powtórzmy wszystko – mówię rzeczowo. W kółko analizujemy mój plan. Dam radę. Będę gotowa.

Braydon wbiega na wzgórze. Zachodzące słońce złoci wierzchołki drzew za jego plecami.

– Neva, furgonetka już jedzie.

Zdyszany pada na ziemię. Znalazł punkt obserwacyjny na sąsiednim wzgórzu – widać stamtąd autostradę. Przebiegł taki kawał, żeby mnie ostrzec. Omawialiśmy wszystkie szczegóły planu, ustaliliśmy alternatywy, szukaliśmy różnych rozwiązań. Staraliśmy się uwzględnić wszystko.

- Chyba już czas.
Obejmuję mnie.
- Jeszcze możemy się wycofać. Nie musimy tego robić.
Nie chcę, żeby mnie rozczulił czy przestraszył. W powietrzu jest gęste od niewypowiedzianych przez nas słów. Całuję go ostatni raz i odbiegam.

Patrzę, jak strażnik wspina się na wzgórze. Właściwie odmierzam czas i chowam się za stodołę. Słyszę krzyki.

Oglądam. Patrzę na miejsce, w którym zostawiłam Braydona. W niebo wzbija się czarny słup dymu. Zaczęło się. Braydon rozpalil ogień, żeby odwrócić uwagę strażników. Przywieram do drewnianej budowli i liczę ich: jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty. Wszyscy biegną na wzgórze. Wracam myślami do Braydona. Modlę się, by nic mu się nie stało. Miał rozpałić ogień, uciec na bezpieczną odległość i czekać na znak ode mnie.

Wykopaliliśmy rów dookoła chatki, jedyne go wspólnego domu, jaki był nam dany. Drewno było suche, zarosła - wyschła na wiór. Braydon miał w schowku motocykla jedną z zapalniczek Sanny. Mieliśmy nadzieję, że zadziała. Była to wiekowa biała plastikowa zapalniczka z ledwie widocznym rysunkiem uśmiechniętej buzi.

Jest mi gorąco, pocę się, ale to nie z powodu ognia, który rozpałił Braydon. Nigdy nie byłam tak podekscytowana i przerażona. W głowie wirują mi wszelkie możliwe warianty tego planu.

Nagle jakaś dziewczyna zaczyna krzyczeć. Rozglądam się na prawo, na lewo. Droga wolna. Dobiegam

do budynku z cegły, wyglądam zza rogu. Z białej furgonetki wysiadają cztery dziewczyny. Dziękuję losowi, że mają na sobie normalne ubrania. Ze wzgórze nie było tego widać. Mogłabym być jedną z nich.

Jedna z nowo przybyłych płacze. Krzyczy coś do pozostałych. Koleżanka z całej siły uderza histeryczkę w twarz. Krzywię się, słysząc odgłos policzka.

Dziewczęta przyglądają się sobie zaskoczone. Dopiero teraz dociera do nich, że nikt ich nie pilnuje. Jedna wskazuje pożar. Strażnicy zniknęli w lesie. Histeryczka bierze się w garść, pociąga nosem, wyciera łzy. Biegnie jak najdalej od ognia i strażników, coraz głębiej w las.

Dziewczyny wołają ją, a potem patrzą na siebie jak szczeniaki czekający rozkaz właściciela. Z budynku wybiega kolejny strażnik, rusza w pogoń za uciekinierką.

To moja szansa.

Wychodzę zza rogu. Na drżących nogach podchodzę do dziewcząt. Patrzą na mnie, na budynek i na siebie, ale żadna się nie odzywa. Wyczuwam ich strach i zmieszanie.

- Proszę - szepczę. Chyba rozumieją. Usta mi drżą.

Mężczyzna w koszuli w niebiesko-beżowe prążki staje w drzwiach głównego budynku.

- Ej, co jest... - urywa, widząc nas. Łagodnieje. - Witajcie, drogie panie - mówi. Wpuszcza nas do środka. Wyciąga rękę, żeby mnie podtrzymać, ale mijam go obojętnie. Liczy nas pod nosem. Zadowolony, zamyka drzwi za czwartą dziewczyną.

W holu jest tylko mdłe światło i chwilę trwa, zanim mój wzrok się przyzwyczai. Znajdujemy się w pomieszczeniu

bez okien. Korytarz prowadzi w głąb budynku, drugi odbija w prawo. Zbijamy się w ciasną gromadkę.

– Witajcie w Centrum Emancypacji Kobiet – mówi i uśmiecha się ciepło. – Nazywam się Jefferson i jestem dyrektorem tego ośrodka. Moim zadaniem jest dopilnować, byście odnalazły się w nowych warunkach.

Dlaczego szefem ośrodka dla kobiet jest mężczyzna? Jest bardzo swobodny, jego włosy kręcą się niesforne, koszula wystaje ze spodni. Wskazuje kilka kanap.

– Usiądźcie, odpocznijcie. Macie za sobą długą, męczącą podróż, za co bardzo was przepraszam.

Przyglądam się wszystkim dziewczynom po kolei. Wszystkie mają zdumione miny. Siadamy blisko siebie. Pan Jefferson wyprzedza nas o kilka kroków i woła:

– Czy mogę prosić o herbatę dla młodych dam? – Nie spuszcza z nas wzroku.

W drzwiach stają dwie kobiety w wypłowiałych niebieskich kitlach lekarskich. Jedna niesie tacę zastawioną fajansowymi kubkami. Druga podaje nam herbatę. Wciągamy miętowy zapach.

– Wypij – mówi kobieta. – Od razu poczujesz się lepiej.

Upijam pierwszy łyk, potem kolejny. Mięta mnie rozgrzewa. Pozostałe dziewczęta także chętnie przyjmują poczęstunek. Wracam na kanapę, wiercę się. Upijam jeszcze jeden łyk, i kolejny, ale tym razem oprócz mięty wyczuwam też coś kwaśnego. Dostrzegam biały osad na dnie kubka. Oddaję go kobiecie w niebieskim kitlu. Zagląda do środka i wciska mi go w dłoń.

– Wypij do końca.

Uśmiecha się ze znużeniem, obserwuje, jak podnoszę kubek do ust i udaję, że piję. Podchodzi bliżej. Nic nie mówi, ale wiem, że nie mam wyjścia, że to nie jest spotkanie towarzyskie. Piję powoli w nadziei, że osad zostanie na dnie. Kobieta od niechcenia zagląda do każdego kubka, zanim odstawi go na tacę. Kolyszę swoimi, żeby osad rozpuścił się w resztkach herbaty. Mąci mi się w głowie. Może to tylko wyobraźnia, ale nie sądzę. Dziewczyna siedząca z lewej strony chwije się lekko.

Kobiety stają po bokach pana Jeffersona. Uśmiechnął się znowu.

– No, dobrze. Mam nadzieję, że czujecie się już lepiej. Przedstawiam wam doktor Ann i doktor Beth. – Obie kobiety machają jednocześnie, więc nie wiem, która jest która. – Na początek poznacie kilka zasad obowiązujących w tym ośrodku, a potem odpoczniecie w ogrodzie. A teraz proszę stanąć w szeregu. – Wstajemy powoli, ustawiamy się gęśiego. Jestem druga. – Dobrze, bardzo dobrze. Grzeczne dziewczynki. – Z półki przy drzwiach bierze notes i ołówek. – Z przykrością informuję was, co teraz nastąpi, ale to najlepszy sposób, by zachować porządek, moje panie. Proszę podwinąć rękaw lewej ręki. – Pisz coś na ramieniu pierwszej dziewczyny grubym czarnym flamastrem. Jestem następna. Wzdrygam się. – Nie będzie bolało, zobaczysz. – Zaciska dłoń na moim nadgarstku. Flamaster jest zimny w dotyku. Pisz coś zamazyscie. Numer 1133. Dziewczyna za mną zostaje numerem 1134.

– Nie chcecie wiedzieć, jak się nazywamy? – pyta najmłodsza dziewczyna. – Ja mam na imię Crystal.

– Witaj, Crystal – odpowiada pan Jefferson, ale i tak pisze jej 1135 na ramieniu. Podchodzi do pierwszej w szeregu. – Jeśli będziecie przestrzegać jednej zasady, dla waszego dobra i dla dobra Kraju, to wszystko będzie dobrze. Macie słuchać poleceń moich, doktor Ann i doktor Beth. Idźcie teraz z nimi. Zobaczymy się później. – Mruga do nas i znika w głębi korytarza.

Lekarki idą przodem, a my ospale człapiemy za nimi. Moje nogi wydają się ciężkie, jakbym brodziła w cemente. Wchodzimy do wielkiej łazienki, jak w szkole.

– Musicie się umyć – mówi jedna z lekarek i wskazuje prysznic pod przeciwległą ścianą, ale żadna z nas się nie rusza.

Patrzę na numery 1132, 1134 i 1135. Mają na wpół zamknięte oczy. Nagle ja także czuję się zmęczona. Śwędzi mnie skóra. Drapię się w ramię i zauważam, że 1134 robi to samo. Pewnie podali nam środki odurzające.

– No, dalej, dziewczęta – mówi jedna z lekarek. – Wiem, że to niezbyt przyjemne, ale konieczne.

Dziewczyna stojąca najbliżej mnie posłusznie zaczyna się rozbierać. Ściąga koszulkę. Jej duże piersi wylewają się zza małego stanika.

– To i tak lepsze niż obóz pracy – mruczy pod nosem.

Staję tyłem do lekarek i mocuję się z guzikami bluzki. Moje palce są bardzo niezdarne.

– Obóz pracy? – szepczę. Słyszałam o farmach, ale obozy pracy?

– Zapewniam, nie chciałybyś tam trafić – mówi i zdejmuję spodnie. W szarej bieliznie ma dziurki. Pozostałe dziewczęta także zaczynają się rozbierać. Kolejne numery opuszczają wzrok. Ściągam buty, podskakuję na jednej nodze, zdejmując skarpetki. Wszystkie zostajemy w samej bieliznie.

– Drogie panie – mówi jedna z lekarek niemal przeproszającym tonem – miejmy to już za sobą.

Nie jestem w stanie się ruszyć. Jedna lekarka podchodzi do nas. Ściąga bransoletkę z nadgarstka najmłodszej dziewczyny. Jak to dobrze, że Braydon przekonał mnie, żebym zostawiła mu naszyjnik z płatkami śniegu.

Staję przede mną. Ruchem głowy wskazuje bieliznę. Nie wyobrażam sobie, że rozbieram się do naga w tym miejscu, choć moja bielizna jest tak stara, że przypomina zaledwie cień na karmelowej skórze. Kobieta wyciąga rękę i rozpina mi stanik. Wraz z ubraniem pozbywam się godności. Zaslaniam się instynktownie, ale nie dość szybko, by nie spojrzęła na mój płaski brzuch. Na tatuaż w kształcie płatka śniegu. Krzyżuję nogi i rozsuwam palce, by się zasłonić. Łzy pieką mnie pod powiekami.

Dobiega mnie szum wody, gdy dziewczyny odkręcają prysznic. Jedna lekarka każe nam przejść do kabin, druga wydaje szorstkie kawałki mydła. Woda jest lodowata, ale niemal nie zwracam na to uwagi. Chcę z siebie zmyć wrażenie, że jestem brudna. Nie chodzi tylko o Centrum Emancypacji; także o to, co wczoraj robiłam z Braydonem. Może to kara. Zasłużyłam na coś o wiele gorszego niż zimny prysznic. Jestem tu, żeby uratować Sannę i siebie.

Namydlałam się bez końca, usiłuję się rozgrzać. Dygoce. Z zapalem trę numer na ramieniu, póki jedna z lekarek nie pogrozi mi palcem.

– Oplucz się – mówi.

Owijam się sztywnym ręcznikiem. Szczękam zębami. Prowadzą nas do kontuaru, na którym leżą szczotki i grzebienie. Posłusznie rozczesujemy splątane włosy. Swoje zaczesuję do tyłu, odsłaniam twarz.

Wydają nam koszule szpitalne, krótkie przed kolana, a rękawy nie sięgają łokci. Owijam się nią i kurczowo trzymam poły, rozchylając się z przodu.

– Zbadamy was i zaprowadzimy do pokoju. – Wyższa i tęsza lekarka bierze 1132, ta druga łapie mnie za rękę i prowadzi w stronę drzwi na końcu korytarza. Powłóczę nogami. Coś jest nie tak. Lekarka ciągnie mnie z całej siły.

– To trochę nieprzyjemne, ale nie boli – mówi. – Będzie łatwiej, jeśli się rozluźnisz.

– Ale... co mi pani zrobi? – jesteśmy już przy drzwiach. Nieruchomieje z ręką na klamce.

– To proste badanie. Ginekologiczne. Miałaś je już, prawda?

Energicznie przecząco kręcę głową. Niektóre matki prowadzą swoje córki na takie badania, ale ja zawsze byłam zdrowa. Mama dostała list od minister zdrowia, gdy skończyłam szesnaście lat. Przeczytała go i cisnęła do śmieci. Rzadko widziałam ją tak rozgniewaną, więc ukradkiem wyjęłam list ze śmietnika i przeczytałam. To było skierowanie dla mnie na badanie w głównym centrum medycznym. Nie poszłam. Mama nigdy do tego nie wróciła.

– Proszę, nie – mówię na widok fotela. Nie pojmuję, dlaczego to robią. Muszę się stąd wyrwać. Myślę o Sannie, ale tylko przez chwilę. Nie mam siły walczyć, lekarka trzyma mnie mocno. Wciąga mnie do pomieszczenia.

– To proste badanie, zobaczysz. Tylko kilka testów. To wszystko. Wskakuj na fotel i zaraz będzie po wszystkim. Braydon miał rację. To głupota. Ale teraz nie mam wyjścia, muszę trzymać się planu. Resztkami sił wdrapuję się na fotel. Lekarka każe mi się położyć. Staję z jednej strony, wypycha mi biodra do przodu. Umieszcza moje stopy w metalowych strzemionach. Rozsuwa mi nogi, staje pomiędzy nimi. Usiłuję zsunąć nogi, ale chwytam mnie za kolana.

– Spokojnie. Oddychaj głęboko. Zamknij oczy.

Wykonuję polecenie. Usiłuję wyobrazić sobie twarz Braydona, przypomnieć jego czuły dotyk, ale nie mogę. Teraz jest bezwładne. Dotyka mnie. Mówi mi, co robi. Jakieś badanie. Nie wytrzymam tego. Zastanawiam się, czy jeszcze kiedykolwiek poczuję to, co wczoraj. W tej chwili sobie tego nie wyobrażam. Pogrążam się w ciemności opuszczonych powiek.

Rozdział 27



Później pobierają mi krew. Lekarka, która kazała mi zwracać się do siebie per doktor Ann, prowadzi mnie do wielkiej sali z łózkami. Każe mi się położyć i odpoczywać, póki nie będę dość silna, by wyjść na dwór. Nakrywam się cienkim, szorstkim kocem, podciągam kolana do piersi, wsuwam pięty pod pośladki.

Przestaję myśleć. Może to sen. Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

Słyszę głosy; ktoś rozmawia głośno. Wyobrażam sobie, że to Braydon. Otwieram oczy. W polu mojego widzenia pojawia się twarz. To chyba jedna z dziewcząt, które

widziałam wcześniej, bo nadal ma mokre włosy. Zerkam na jej ramię: 1132.

– Wstawaj. Chodź. Ogień. – Dźwiga mnie z postania. Chwycę się na nogach, ale zaraz odzyskuję równowagę. Fajnie byłoby popatrzeć na ogień na kominku. Może rozgrzałby mnie i nie byłoby mi już tak zimno. Nigdzie nie widzę kominka, tylko puste łóżka.

– Ogień. – Wypowiadam to słowo i myślę o Braydonie i zapalniczce z uśmiechniętą buźką. Ogień. Ogień. – Ogień? – powtarzam, ale zaczynam rozumieć. Numer 1132 idzie do drzwi. Potykam się, ale 1132 nie pozwala mi upaść. Strażnicy mijają nas z krzykiem. Wydaje mi się, że słyszę płacz dziecka. Czuję zapach dymu, ale to niemożliwe. Na pewno już ugasili taki mały pożar. Braydon ma czekać na mój znak.

Tysiąc sto trzydzieści dwa prowadzi mnie korytarzem, tym samym, którym tu przyszedliśmy, do drzwi wejściowych. Tak mi się przynajmniej wydaje. Kręci mi się w głowie. Zapominam o czymś, o czymś ważnym. Ale ta myśl mi umyka. A potem wraca z pełną mocą.

Zatrzymuję się. Sanna. Wyrrywam się z objęć 1132. Patrzy na mnie i rzuca się do drzwi.

– Sanna! – krzyczę, biegnę przez budynek, otwieram wszystkie drzwi po kolei. Budynek jest pusty. Waham się przy podwójnych drzwiach na końcu korytarza. Otwieram je, zaglądam do środka. Sala operacyjna. Na podłodze poniewierają się srebrzyste instrumenty medyczne. Pomieszczenie wydaje się sterylne, jeśli nie liczyć kałuży krwi, mieniającej się czerwieńią w sztucznym świetle.

Krwawe ślady urywają się przy drzwiach, przy których stoję. Co oni robią tym kobietom?

– Sanna! – krzyczę coraz głośniejszym głosem, wybiegam na zewnątrz. Choć jest noc, niebo płonie. Ze wzgórz pełnię ścianą ognia. Mam ochotę pobiec tam, pozwolić, by mnie oczyścił. Czuję się brudna, obolała. Wyobrażam sobie płomienie na skórze.

Otacza mnie falujące morze dziewcząt w takich samych cienutkich koszulkach nocnych jak moja. Bose stopy wzbijają kurz. Ciszę zakłócają trzaski, gdy drzewa przewracają się, trawione ogniem.

– Sanna! – wołam coraz głośniejszym głosem. Żadna kobieta nie reaguje. Może mnie nie słyszą. Powtarzam jej imię i brnę przez ruchome morze ciał. Odwracam dziewczęta twarzami do mnie. Szukam blizny Sanny, ale wszystkie twarze są nieskazitelnie gładkie. Może zapomniała, jak ma na imię, a nie wiem, jaki nadano jej numer.

Tum znosi mnie coraz dalej od budynku z czerwonej cegły. Nie odejdę bez niej. Zatrzymuję się i zawracam, zaglądam w każdą mijaną twarz. Wszystkie dziewczyny krzyczą. Ustawiają się w szereg i odchodzą, znikają w oddali.

Wracam do głównego budynku. Dym i kurz drażnią mi gardło. Zanoszę się kaszlem i nie mogę przestać. W rozpalonym powietrzu wirują czarne drobinki popiołu. Jestem niemal dokładnie tam, skąd wyruszyłam. Znowu wołam Sannę. Zginam się wpół. Zamykam oczy, staram się uspokoić. Powietrze jest gęste od dymu, ale powoli odzyskuję jasność myślenia. Muszę odnaleźć Sannę.

Widzę, jak strażnicy i kobiety w niebieskich kitlach usiłują zgaścić ogień kocami. Ustawili się w szeregu, podają sobie z rąk do rąk wiadra i misy z wodą. Ogień podkrada się coraz bliżej, wypala czarną linię w suchej trawie. Zapach palonej ziemi przenika wszystko.

Drzwi do wielkiej drewnianej stodoły stoją otworem. Ze środka wychodzą dziewczyny. Potykają się o długie różowe koszule nocne. Podbiegam do nich, żeby im pomóc, pokazać kierunek. Jedna upada na kolana. Podchodzę do niej. Patrzy na mnie ze zdziwieniem i przerażeniem.

– Wszystko jest w porządku – uspokajam ją. Dostrzegam jej numer – 367+. Ciekawe, co to znaczy.

– Jak ci na imię? – pytam, pomagając jej wstać.

Mruży oczy. Nie rozumie, o co pytam.

– Jak ci na imię? – powtarzam, ale od razu wiem, że teraz nie czas na to. Wskazuję drogę: – Idź za tymi dziewczętami. Z nimi.

Kiwa głową i człapie we wskazanym kierunku. Zatrzymuje się, odwraca do mnie.

– Christy – mówi. – Mam na imię Christy.

– Musisz biec, Christy – krzyczę.

Odchodzi, chyba trochę pewniejszym krokiem.

Ze stodoły wychodzą kolejne dziewczyny w różowych koszulkach. Rozglądają się nieprzytomnym wzrokiem. Coś jeszcze jest nie tak. Jedna z nich osuwa się na kolana. Nie płacze. Podbiegam do niej. Koszula opina się ciasno na brzuchu i dopiero wtedy zauważam, że jest w ciąży.

Patrzy na swój brzuch, jakby dopiero teraz go zauważyła. Pomagam jej wstać i mówię, że ma iść w stronę drogi. Chyba nie do końca rozumie, co mówię, ale wskazuję inne dziewczęta, które człapią w tamtą stronę jak zombi.

Dobiegam do drzwi stodoły. Ze środka bije tuna. Wewnątrz okazuje się, że to ultranowoczesny oddział szpitalny, całkowite przeciwieństwo obskurnej fasady. Łóżka szpitalne stoją w schludnych szeregach. Dwie kobiety w kitlach lekarskich odłączają śpiące dziewczyny od masek tlenowych, rurek i kroplówek, które zdają się więzić je na postaniach. Dwie dziewczyny, ubrane podobnie jak ja, idą za nimi i budzą śpiące, pomagają im wstać.

Wreszcie zaczynam wszystko rozumieć.

Zaczynam dygotać. Myślę o siostrzyczce czy braciszku, o dziecku, które dostanie moja mama. Więzienie dla kobiet. Rząd potrzebuje nowych obywateli. I dlatego porywa kobiety. Nie chcę mi się w to uwierzyć, ale widzę dowody na własne oczy. Robi mi się niedobrze. Wolę się nie zastanawiać co i jak. Przelykam żółć podchodzącą mi do gardła. Ten koszmar nie mieści mi się w głowie. Nie mogę tak beczynnie stać. Muszę im pomóc.

Brnę do przodu z nową energią. Im dalej, tym większy żar mnie otacza, jakbym szła w głąb pieca. Pot spływa mi z czoła. Przecieram oczy, żeby widzieć lepiej i wtedy zauważam, że tylna ściana zajęła się ogniem. Płomienie wyzerają czarne dziury w białych ścianach. Dwaj strażnicy usiłują stłumić ogień kocami.

W moją stronę idzie dziewczyna w moim wieku. Zdaje się tonąć w różowej koszuli. Podbiegam do niej. Zerka na mnie ukosa.

– Nicoline. – Obejmuję ją, przyciągam do siebie. Na jej policzku widzę delikatny zarys czerwonej gwiazdy. – Nic ci nie jest? – Prowadzę ją do wyjścia. – Widziałas Sannę? Przechyć ruch głową.

– Sanna – powtarzam, rysuje sobie S na policzku.

– Sanna, tak się cieszę, że nic ci nie jest. – Nicoline głaszcze mnie po twarzy. Myśli, że Sanna to ja.

– Nie, nie. Gdzie jest Sanna? – Za wszelką cenę chcę, żeby zrozumiała, ale to bez sensu. Wyciągam ją na zewnątrz, wskazuję kierunek.

Znowu mi się przygląda. W jej oczach pojawia się nowy błysk.

– Sanna tu była – mówi i odchodzi.

– Co to ma znaczyć? Że zabrali ją gdzie indziej? Czy...

Nie będę o tym myśleć. Zaglądam do każdego łóżka, patrzę w każdą twarz. Wyprzedziłam już lekarki budzące śpiące dziewczyny. Jeszcze tylko kilka łóżek.

I wtedy ją widzę. Blizna na policzku odcina się od białej maski zakrywającej nos i usta. Dokoła łóżka stoją kroplówki. Przez chwilę obserwuję lekarki, naśladuję je i odłączam Sannę od urządzeń. Sprawdzam, czy łóżko ma kółka. Może mogłabym ją stąd wywieźć. Ale nie, jest przytwierdzone do podłogi.

– Sanna! Sanna! To ja, Neva! Obudź się! – krzyczę. Zmuszam ją, by usiadła. Opuszczam poręcz przy łóżku, opuszczam jej nogi na podłogę. Z całej siły uderzam

ją w twarz, jak ona uderzyła mnie na ciemnej drodze kilka dni temu. Unosi powieki. Przygląda mi się przez chwilę, kładzie mi głowę na ramieniu. Chcę coś powiedzieć. Widzę, jak porusza ustami. Przyciągam ją do siebie i słyszę szept:

– Przyszłaś, Nev.

– Musimy uciekać. – Ni to ją ciągnę, ni niosę. Zajął się dach stodoły, powietrze wypełnia dym. Wszystkie łóżka są puste, ostatnie dziewczyny wychodzą za nami. W tym tempie nigdy się nam nie uda. Ogień otacza nas, zamyka w gorącym uścisku.

Idziemy coraz szybciej, wyprzedzamy niemal wszystkie dziewczyny w różowych koszulach. Chciałabym zatrzymać się i im pomóc, ale nie mogę. Muszę ratować Sannę. Dostrzegam Nicoline, wołam ją. Macha i czeka na nas. Patrzy już przytomniej, ale nadal niepewnie stoi na nogach. Podtrzymuję Sannę, podnoszę koszulę, Nicoline, zwiżam w węzeł, żeby było jej wygodniej iść.

– Co zrobimy? – pyta. – Nie wyjdziemy stąd.

– Wyjdziemy, zobaczysz. Braydon gdzieś tu jest. – Rozglądam się, jakbym spodziewała się, że zaraz się tu zjawi. Sanna ożywia się, słysząc jego imię.

– On nas stąd wyciągnie. – W moich ustach brzmi to jak pewnik, ale żołądek ściska mi się ze strachu. Ogień wymknął się spod kontroli. Nie wiem, czy Braydon jest bezpieczny. A jeśli nawet, na Boga, mamy setki kobiet i jeden motocykl.

Idziemy dalej. Sanna i Nicoline odzyskują siły. Mam śliskie uda – to resztki żeluz, którego lekarka użyła podczas

badania. Na to wspomnienie robi mi się niedobrze. A te dziewczyny przeszły o wiele więcej. Otaczają nas dym i popioły. Zakrywam nos i usta koszulą, daję znak Sannie i Nicolinie, by zrobiły to samo. Dokoła nas mdleją dziewczyny. Zatrzymujemy się, pocieszamy, ale to tylko słowa. Nawet półprzytomne zdają sobie sprawę z powagi sytuacji. W moim planie tak dużo poszło nie tak.

Sanna już prawie idzie o własnych siłach, gdy docieramy do świeżo wyasfaltowanej szosy. Może to tylko wyobraźnia płata mi figle, ale wydaje mi się, że słyszę ryk silnika furgonetki, jak wczoraj, gdy nas ściagała. Odwracam się i widzę, że w naszą stronę jedzie biały samochód. Odpycham Sannę i Nicoline. Furgonetka przedziera się przez kłęby dymu i widzę, że jest pełna strażników i personelu Centrum Emancypacji Kobiet. Przesłali walczyć z ogniem. Uciekają. Pomagam Sannie i Nicoline wstać. Jesteśmy wiele kilometrów od cywilizacji. Zginiemy tu, jeśli nie zdobędziemy środka transportu.

Dziewczęta zbijają się w dwu-, trzyosobowe grupki. Pomagają sobie wzajemnie. Widząc to, przypominam sobie, jak minister zdrowia nazwała swoje więzienie-inkubator: Centrum Emancypacji Kobiet. I o dziwo, może naprawdę tak jest. Otaczają mnie dziewczyny w różnym wieku, chude i grube. Zmęczone, obolale, brudne, nie poddają się.

– Dalej! – wołam. – Idziemy! – Maszerujemy. Ogień czai się za drzewami. Rozjaśnia nam drogę. Fale gorąca zmuszają nas do szybszego marszu. Poganiam Nicoline i Sannę, które idą przede mną. Widzę na koszuli Nicoline

czerwoną plamę wielkości pięści, która powiększa się szybko. Krew spływa jej po nogach, znaczy ścieżkę czerwonymi plamami.

– Traci dziecko – szepcze dziewczyna koło mnie. – Musi się nią zająć lekarz, bo może mieć komplikacje. Może się wykrwawić na śmierć, o ile nie zginie w płomieniach.

– Co?

Kobieta osłania dłońmi okrągły brzuch, jakby obawiała się, że zaraz się czymś od Noline.

– Wiesz, co nam zrobili – mówi.

Kręcę głową.

– Poroniłam dwukrotnie, zanim mnie tu przysłano. – Obejmuję się ramionami i kolysze, jakby tuliła dziecko. – Wiedziałam, co mi robią. Ale większość dziewcząt nie ma o tym pojęcia. Nie mówią nam wiele, zanim wysyłają nas na orbitę. Którego dziś mamy?

Odpowiadam.

– Byłam nieprzytomna przez siedem miesięcy. – Zaczyna płakać. – Siedem miesięcy. – Chwyta mnie za rękę. Teraz to ja ją podtrzymuję.

Dziewczęta zdają się znikać. I dopiero wtedy zaczynam rozumieć. Dotarliśmy do szosy. Może nam się uda. Może ktoś nas zobaczy i udzieli pomocy.

– To jest autostrada. O tam – tłumaczę kobiecie. Puszczam mnie i zaczyna biec.

Odnajduję Noline i Sannę, obejmuję je w talii.

– Już prawie nam się udało – mówię.

Noline patrzy na zakrwawioną koszulę.

– Załatwimy ci pomoc – zapewniam ją.

– Co oni mi zrobili? – pyta.

Nie mogę jej tego powiedzieć.

– Wszystko będzie dobrze.

Zbliżamy się do zjazdu z autostrady. Słyszymy krzyki. Znaleźli nas? Przyspieszamy.

Noline zatacza się, osuwa na ziemię.

– Idźcie! – krzyczy.

– Wrócimy po ciebie! – obiecuję i razem z Sanną puszczam się biegiem. Teraz je widzę – flotę białych furgonetek, zjeżdżającą z autostrady. Pojawia się nadzieja. Samochody zatrzymują się dosłownie kilka centymetrów przed dziewczynami, które wybiegły na skraj drogi. Z furgonetek wysiadają mężczyźni w czarnych mundurach – policja! Wciągają pierwsze z brzegu dziewczyny do wozów. Wyczuwam zbiorowy gniew. Zaciskamy pięści. Atakujemy.

Rzucamy się z Sanną na policjanta. Kopiemy, drapiemy, gryziemy. Odpycha nas, ale do walki stają kolejne dziewczęta i wkrótce policjant jest pokonany. Atakujemy kolejnego, który już teraz mocuje się z dwiema kobietami. Drapią go po twarzy i rękach. Policjant wyje. Walę go pięścią w nos. Sanna wskakuje mu na plecy i ściska za szyję.

Ktoś obejmuje mnie od tyłu; silne ramiona obejmują mnie w talii.

– Sanna! – krzyczę. Kopię, walę napastnika łokciem. Puszczam mnie. Upadam na kolana, czuję wszystkie kości w ciele. Ból mnie oszałamia. Krzyczę, gdy łapie mnie za włosy, szarpie, aż wstaję. Sanna rusza do ataku, przewraca go. Ja go kopię. Teraz to on krzyczy.

– Nev, chodź już! – Sanna odciąga mnie, choć chcę kopać dalej, i to mimo że mężczyzna przestał protestować. Zwinął się w kłębek i osłania głowę rękami. Wymierzam mu jeszcze jednego kopniaka, zanim Sanna zdoła mnie odciągnąć.

Dziewczęta wsiadają do furgonetek. Samochody z dziewczynami odjeżdżają. Najwyraźniej myślimy z Sanną tak samo. Idziemy w stronę najbliższej furgonetki. Dwaj policjanci są atakowani ze wszystkich stron.

– Załaduj je – mówię do Sanny. – A ja idę po Noline.

Niewiele widać; czarny dym gęstnieje. Ogień rozprzestrzenia się, zajmują się kolejne drzewa, i to w zaskakującym tempie. Dostrzegam ciało na ziemi.

– Noline! – wołam. Podbiegam do niej. Na koszuli jest czerwona plama, Noline leży w kałuży krwi. Dzieli mnie od niej zaledwie kilka kroków, gdy ktoś atakuje mnie od tyłu. Osuwam się na ziemię pod czymś ciężkim. Napastnik odsuwa się i błyskawicznie przewracam się na plecy. Twarz policjanta to mozaika brudu i sińców. Ma na sobie porwany mundur, przez dziury widać nagie ciało.

Zanim zdążę zareagować, podnosi mnie i przyciska mi ręce do boków. Jestem unieruchomiona, stoję do niego tyłem. Szarpie się ile sił w nadziei, że mężczyzna straci równowagę.

Głośny trzask zagłusza wszystko inne. Przestaje się szarpać. Wali się płonące drzewo; upada na Noline.

– Nie! – krzyczę i szamoczę się z policjantem. Patrzę na walące się drzewo. Płomienie spowijają Noline.

Krzyk wzbiera we mnie, przenika całe ciało, wypełnia nocne powietrze. Ogień jest kilka kroków ode mnie. Zar liże moją skórę. Na koszuli nocnej wykwitają czarne punkciki.

Noline nie żyje.

Policjant ni to mnie ciągnie, ni prowadzi, coraz dalej od płonącego ciała Noline. Zbliżamy się do furgonetki. Sanna patrzy na mnie z przerażeniem z fotela kierowcy.

– Jedź! – krzyczę. Uciekaj! – Ja zasłużyłam na śmierć. Zginę tutaj jak Noline.

Policjant puszcza mnie, wali pięścią w szybę. Na ziemi leżą ciała, niektóre w czerni, inne w różu, inne – mojego koloru.

– Wpuść mnie, bo ją zabiję. – Łapie mnie za szyję, unosi, przyciska do maski samochodu. I tak mnie zabije.

– Jedź, Sanna! – wołam, zanim jego dłonie zacisną się na mojej szyi. Czuję wibrowanie silnika.

Odwracam się, żeby nie widział mojej twarzy, kiedy mnie zabija. Dławię się, z trudem chwytam powietrze, gdy uderza moją głową o maskę furgonetki. Ból eksploduje. Policjant wrzeszczy, silnik warczy.

Chyba śnię.

Bo widzę Braydona.

Siedzi na motocyklu i jedzie prosto na mnie.

Zeskakuje w biegu. Z całej siły wymierza policjantowi cios w twarz. Nagle jestem wolna. Chciwie chwytam powietrze przesycone dymem. Policjant zatacza się, a ja padam Braydonowi w ramiona. Podtrzymuje mnie jedną ręką, pochyla się, wyjmuje coś z cholewki buta.

Podnosi rękę i wtedy widzę, że to pistolet. Do tej pory widziałam je tylko w filmach. Dzisiaj nikt już nie nosi broni palnej; to zbyt niebezpieczne pod niebem pod napięciem.

– Stój – woła Braydon, ale policjant powoli idzie w naszą stronę. – Stój! – powtarza. Funkcjonariusz się nie zatrzymuje.

Braydon naciska spust. Rozlega się huk, ale nie rozumiem, co się dzieje, póki nie widzę, jak policjant osuwa się na ziemię. Z czerwoną dziurą w piersi.

Braydon otwiera drzwi furgonetki.

– Szybko! – Wpycha mnie do środka, na Sannę. Sanna siedzi w fotelu pasażera, ja – na podłodze koło fotela kierowcy.

– Wszystko w porządku? – pyta Braydon i odpala silnik.

Sanna wodzi wzrokiem między nami. Kiwa głową.

Braydon zawraca. Jedziemy po nierównej nawierzchni. Furgonetka podskakuje na wybojach, wolę nie myśleć, co jest pod kołami.

Rozdział 28



Deszcz gniewnie bębni w dach furgonetki. Zaczęło padać, ledwie wyruszyliśmy. Rządowa straż pożarna. Zdumieni patrzymy, jak woda zalewa krajobraz. W tej części kraju nie padało od wielu miesięcy, systemy filtrujące zapewniają deszcz w obszarach gęsto zaludnionych. A zatem rząd wie o naszej ucieczce, wie o pożarze. Pewnie już nas szukają. Rytm deszczu i szum silnika tłumią mój strach.

Jedziemy od wielu godzin. Cały czas siedzę na podłodze między Sanną a Braydonem. Domyślam się, że jesteśmy w stolicy, bo zwalniamy, skręcamy, zatrzymujemy się.

Bezmyślnie gapiłam się na tablicę rozdzielczą, obserwowałam licznik. Nie mogę patrzeć ani na Sannę, ani na Braydona, ani na dziewczęta, które od kilku godzin poplaskują cicho. Ktoś otworzył okna, ale kwaśny zapach nie ustępuje.

Widzę twarz Nicoline, gdy jej obiecałam, że ją uratuję. To przeze mnie została aresztowana, przeze mnie trafiła do tego straszego miejsca. A mój głupi, naiwny plan kosztował ją życie.

– Neva. – Braydon dotyka mojego ramienia. Wzdrygam się. Jesteśmy pod domem Sengi. – Zaraz wrócę. Dopilnuj, żeby nikt nie wysiadł.

Kochany, mądry Braydon.

Ledwie drzwi zamykają się za nim, dziewczyny wiercą się niespokojnie.

– Gdzie jesteśmy?

– Chcę do domu – piszczy któraś cienkim głosikiem.

– Uspokójcie się. – Zajmuję miejsce kierowcy, przyglądam się współpasażerom. Jest ich mniej, niż sądziłam. Dziewięć dziewcząt w mniej więcej moim wieku tłoczy się w ciasnej przestrzeni za moimi plecami. Siedzą wtulone w siebie.

– Senga nam pomoże – dodaje Sanna.

– To dzięki niej zdołaliśmy cię odnaleźć – mówię do niej.

Wyglądam na dwór. Kopuła lśni różowo w porannym słońcu. Braydon zaparkował w ślepych zaułku, wśród śmietników i kontenerów na surowce wtórne. Odpowiednie miejsce dla nas.

– Chcę do domu. Proszę, zabierzcie mnie do domu. – Znowu ten cienki głosik. Dziewczyna zaczyna płakać.

– To niemożliwe, skarbie – tłumaczy jej druga. – Jeśli wrócimy do domu, zaraz po nas przyjdą. A nie chcesz tam wracać, prawda?

– Ale tego już nie ma – zauważa inna. – Nic już nie ma. Pożar...

– Nie wypuszczą nas na wolność, ot tak sobie. – Patrzę na dziewczynę, które teraz zabiera głos. Gładzi się po okrągłym brzuchu.

– Ale ja nie jestem taka jak ty. – Dziewczyna wygląda na moją rówieśniczkę, ale sądząc po głosie, jest ode mnie młodsza. Jest w różowej koszuli i ma plusik na ramieniu obok numeru, tak jak ciężarna.

– Posłuchajcie – odwracam się i zajmuję miejsce w zaimprovizowanym kręgu. – Poradzimy sobie.

– Skąd mamy wiedzieć, że możemy ci zaufać? Albo jemu? – pyta siedząca najbliżej mnie. Wskazuje głową fotel kierowcy, jakby nadal siedział tam niewidzialny Braydon.

– W końcu nas uratował, może nie? – Uśmiecham się, gdy sobie przypominam, jak pospieszył mi na ratunek.

– Zastrzelił człowieka – zauważa jedna z dziewcząt.

Uśmiech znika mi z twarzy. Braydon ma broń. Staram się nie okazać strachu.

– Musiał – włącza się Sanna. – Ma na imię Braydon, tak przy okazji. Ja jestem Sanna.

Dziewczęta zakrywają numery na ramionach i się przedstawiają: Margaret, Kate, Karen, Bronia, Elizabeth, Sandra, Emily, Vinita i Ashley.

– Neva – mówię, choć teraz czuję się bardziej jak numer 1133.

Wzdrygam się, gdy drzwi furgonetki stają otworem. Odruchowo zaciskam pięści, gotowa do walki.

– To ja, Nevo. – Braydon siada koło mnie. Opieram się o niego. Chcę, żeby mnie objął. Chcę, żeby mnie zapewnił, że wszystko będzie dobrze, ale Sanna patrzy na nas pustym wzrokiem. Wracam na podłogę.

– No dobra – Braydon patrzy na przerażone dziewczęta. Zaraz przyjdzie tu Senga i jej przyjaciółka Carson. Zabiorą was w bezpieczne miejsce.

Dziewczęta protestują. Podnoszę ręce.

– To Senga powiedziała mi, gdzie mieści się Centrum Emancypacji Kobiet. Jest po naszej stronie. Pomoże wam, zapewniam was.

Senga i Carson przynoszą naręcza koców. Dziewczyny wysypują się z furgonetki. Tylko Senga i ja zostajemy w środku. Senga otwiera drzwi od strony pasażera.

– Musimy iść, Sanno – mówi i wręcza jej koc.

– Zostaję z Nevą i Braydonem. – Sanna bierze koc i wciska się w fotel.

Senga wodzi wzrokiem między mną a Braydonem.

– Poradzicie sobie? – pyta mnie.

– Zajmę się nimi. – Braydon bierze nas za ręce. Sanna łapie jego dłoń, przyciąga do siebie. Ja nie reaguję i jego ręka zawisa w powietrzu.

– Nic nam nie będzie – zapewniam Sengę. – Tylko zajmijcie się nimi. – Wskazuję dziewczyny zbite w ciasną gromadkę.

– Wiesz, że to zrobię. – Zamyka drzwi. Ręce Braydona i Sanny splatają się nad moją głową. Zajmuję jedno z wolnych siedzeń z tyłu samochodu. Przypominam sobie propozycję babci. Teraz to moje jedyne wyjście. Dzisiaj ucieknę i zostawię to wszystko za sobą.

Słońce jest już wysoko na niebie, kiedy w końcu dojeżdżamy do Braydona. Ukrywa furgonetkę w garażu za rezydencją. Idziemy do kuchni, niepewni, co dalej.

– Przepraszam cię, Sanno. – Z tymi słowami opadam na kuchenny taboret.

– Niby za co? – Wbija wzrok w gole stopy, niemal czarne od sadzy. – Przyjechaliście po mnie. – Śmieje się, porusza palcami. Jej śmiech dziwnie brzmi po tym wszystkim, co przeszliśmy. – Wiedziałaś, że tak będzie. Neva o mnie nie zapomni. Nie dopisze mojego nazwiska do listy zaginionych. Nie pozwoli, żebym przepadła.

Wymieniamy z Braydonem znaczące spojrzenia. Wiem, że myśli o wczorajszej nocy. Teraz wydaje się odległym wspomnieniem, jak wiara w gwiazdy gdzieś za kopułą.

– Niemal zapomniałem. – Braydon przerywa niezręczną ciszę. Sięga do kieszeni, wyjmując długi, cienki łańcuszek. Mój naszyjnik, mój płatek śniegu kołysze się i migocze. – Nie zapomnij o tym. – Zakłada mi go na szyję.

Opuszczam wzrok. Nie chcę dać po sobie poznać, co czuję. Muska mnie palcami po policzku i przez chwilę budzi się we mnie mała iskierka emocji z minionej nocy.

– Dzięki, że go przechowowałaś.

Sanna przygląda się nam. Ściąga brwi. Może przypomniła sobie, jak zdybała nas na pocałunku. Przez chwilę wydaje się zagubiona, a potem przyciąga Braydona do siebie.

– Nasza Neva jest jedyna w swoim rodzaju – mówi z uśmiechem, który nienaturalnie wykrzywia jej twarz.

Bawię się wisiorkiem i marzę o tym, żeby zapaść się pod ziemię.

Bardzo długo stoję pod prysznicem. Puściłam Sannę pierwszą, ona miała więcej do zmycia niż ja. Sięgam po mydło i szampon, ale nadal czuję zapach dymu. Nadal czuję na sobie dotyki lekarki. Skóra na ramieniu jest zaczerwieniona i obolała od tarcia, tak bardzo chcę się pozbyć numeru. Nadal widać zarys cyfr. Sanna wchodzi. Przystaję się szorować. Ramię mi krwawi miniaturowymi łzami, jak wtedy gdy spadłam z roweru i zdarłam sobie skórę, gdy miałam pięć lat. Sanna zakręca wodę i podaje mi ręcznik. Wkładamy ciuchy Braydona. Ona wybiera wykrochmaloną białą koszulkę, ja decyduję się na koszulkę, którą miał na sobie podczas mrocznej imprezy, kiedy całowaliśmy się po raz pierwszy. Udaje mi się znaleźć spodnie dla nas obu. W talii przytrzymują je paski. Sanna wkłada też długi niebieski wełniany sweter, który znalazła w szafie. Owija szyję szalikiem, ale pomimo to dygocze z zimna.

– Idź do łóżka – mówię do niej. Zostaję sama w garderobie Braydona. Skórzana kurtka wisi na haczyku. Dotykam sztywnej, popękanej skóry i wspominam jazdę motocyklem. Przytulam kurtkę do piersi. Pachnie Braydonem.

Zamykam oczy, wtulam twarz w skórę i zatracam się we wspomnieniach: ja, wtulona w niego, świst wiatru w uszach, wstęga szosy przed nami. Upajam się jego zapachem, a potem czuję dym i oczyma wyobraźni widzę pożar. I policjanta, którego Braydon zastrzelił. Strach w jego oczach. I nagle widzę Braydona z pistoletem w ręku. Ten widok powinien nieść otuchę, ale tak nie jest. Miał równie zimne, ciemne oczy, jak policjant, kiedy mnie dusił. Gwałtownie unoszę powieki. Upuszczam kurtkę na podłogę.

Leżymy z Sanną na wielkim łóżu Braydona. Zaciągnął zasłony, ale są już wytarte, splwiałe, i przepuszczają światło. Tulimy się do siebie – żeby się rozgrzać, ale także ze strachu, że ktoś przyjdzie i nas zabierze. Włosy Sanny pachną słodko szamponem truskawkowym. Obejmuję ją w talii i zastanawiam się, czy nosi w łonie dziecko z rządowego przydziału. Przeszywa mnie dreszcz.

– Sanna – szepczę jej do ucha.

– Tak. – Mówi niewyraźnie, przez sen.

– Dobrze się czujesz? – Co za głupie pytanie. Oczywiście, że nie. Żadna z nas nigdy nie czuła się dobrze.

Przesuwa się do krawędzi łóżka.

Nie naciskam.

– Śpij dobrze, Sanno.

Przewraca się na wznak. Patrzy na kolekcję masek Braydona. Wydają się przerażone, jakby wiedziały, przez co przeszła, co zrobiłam. Leżymy wpatrzony w twarze, które odpowiadają nam pustym wzrokiem.

Zastanawia mnie, gdzie jest Braydon. Dał nam chwilę samotności. Nie jestem w stanie przebywać z nim i Sanną

w tym samym pomieszczeniu, nie wiem już, wobec kogo mam być lojalna, a wyrzuty sumienia tylko się potęgują.

Jak mogę ich tak zostawić? Sanna nie patrzy mu w oczy. Braydon usiłował z nią porozmawiać, ale Sanna mruknęła coś niezrozumiale i odeszła. Chciałabym, żeby mnie objął. Chciałabym odzyskać dawne życie. Nie ma w nim granic, nie ma kopuły, która mnie więzi.

– Nev? Nie śpisz? – pyta Sanna. – Ja... – zaczyna coś mówić, ale urywa jej się wątek.

Czekam.

– Nic nie pamiętam. W jednej chwili złapali mnie policjanci, a następnie, co pamiętam, to ty, jak mnie budzisz. – Patrzy na maski Braydona. Mają otwarte usta, jakby chciały coś powiedzieć, ubrać w słowa naszą historię. – Czuję się jak jedna z tych masek.

– Może to lepiej, że nie pamiętasz. – Nie musi wiedzieć. Nie teraz. Może później, kiedy odzyska siły.

– Tak. – Ciśniej otula się koldrą. – Braydon był wspinał, prawda?

– Tak.

– Prawdziwy bohater. – Wzdycha.

Z oczu płyną mi łzy, spływają do ucha. Staram się nie myśleć, co będzie dalej. Jesteśmy bezpieczne i tylko to się liczy. Pociągam nosem, wycieram łzy w poduszkę. Mieszkałam w świecie kłamstw. Niech Sanna tam jeszcze trochę zostanie. Przecież ja też byłam szczęśliwsza, nie wiedząc.

Chyba zasnęła. Nie chcę jej budzić. Chcę, żeby zapomniała o wydarzeniach ostatnich dni. Oby zapomniała o walce.

– Nev – szepcze. Zaskoczyła mnie.

– Tak – mruczę. Udamę, że spałam.

– Wybaczam ci – mówi.

To więcej, niż oczekiwałam. Czuję, jak w gardle wzbiera mi szloch, ale go tłumię. Boli mnie w piersi.

Sanna niemal miażdży mi dłoń w uścisku.

Muszę się stąd wyrwać. Śmierć byłaby lepsza niż to, co teraz – leżę koło przyjaciółki, trzymam ją za rękę i pragnę jej chłopaka. Dobrze, że muszę się męczyć w tym świecie kłamstw jeszcze tylko do północy.

Rozdział 29



Mimo zmęczenia nie mogę zasnąć. Światło gaśnie, dom powoli spowija mrok. Sanna nadal trzyma mnie za rękę, ale teraz już śpi, pochrapuje cicho. Ilekroć zamykam oczy, wracam do Centrum Emancypacji Kobiet. Czuję na sobie dłonie lekarki. Widzę ufne spojrzenie Nicoline. Unoszę powieki. Powoli odsuwam się od Sanny. Zaciska dłoń, odwraca się w moją stronę, ale cały czas ma zamknięte oczy. Ponawiam próbę. Tym razem przesuwam się jedynie odrobinę, a potem liczę do dwudziestu, zanim wykonam następny ruch. Myślę tylko o tym, żeby się uwolnić. Sanna oddycha równo, głęboko. Liczę jej oddechy i poruszam

272

się gdy tylko wydycha powietrze. W końcu się uwalniam. Sanna przewraca się na bok. Odczekuję chwilę, spuszczam nogi z łóżka.

Pierwsza myśl to uciekać ukradkiem. Nikt nie może się dowiedzieć, że odchodzę. Jak mam się pożegnać na zawsze, zwłaszcza z Sanną? Po tym, co przeszła? Straciła już tylu bliskich; jak mogę ją opuścić? A jeśli zobaczę Braydona, zaprawdę zostać.

Teraz zupełnie inaczej postrzegam moją listę zaginionych. Już nie jestem archiwistką. Uciekam i kręci mi się w głowie na samą myśl o tym. Ale marzy mi się jeszcze jedna chwila z Braydonem.

Nie ma go w sypialni. Na palcach schodzę na parter. Jestem już w holu, gdy słyszę delikatne pukanie do drzwi. W panice szukam miejsca, w którym mogłabym się ukryć. Kulę się w szafie, zostawiam drzwi odrobinę uchylone, żeby wpadała smułka światła. Staję tak, żeby widzieć drzwi wejściowe. W domu panuje cisza. Może to wyobraźnia płata mi figle. Już chcę otworzyć drzwi i wtedy słyszę to znowu. Tym razem pukanie jest głośniejsze, bardziej natarczywe.

W moim ograniczonym polu widzenia pojawia się Braydon. Powinam go powstrzymać. Waha się, zerka na schody, jakby chciał się upewnić, że Sanna i ja śpimy dalej. Co on wyprawia?

Uchyła drzwi, zasłania ciałem tego, kto za nimi stoi.

– Gdzie ty byłeś, Braydon? – Szorstki męski głos przecina ciszę.

Napiera na drzwi, ale Braydon nie ustępuje. Chce je zamknąć.

273

– Sytuacja jest pod kontrolą.
– Wątpię. – Drzwi się otwierają i do holu wchodzi mężczyzna w mundurze policyjnym. Wtulam się w stare płaszczki.
Braydon staje przed nim, zasłania mi widok.
– Powiedziałem, że to załatwię.
– Na razie narobiłeś niezłego bałaganu. – Mężczyzna się śmieje.
Nie ogarniam tego. Nie rozumiem.
– Odczep się ode mnie i daj mi wykonywać moją pracę. – Braydon popycha go w stronę drzwi.
Policjant dźga go w pierś palcem w czarnej rękawiczce.
– Uwważaj, Braydon. Spróbowaliśmy to zrobić po twojemu. Teraz czas na mnie.
– Nadal jestem w stanie je przekonać. Prawie mi się udało. – Co on opowiada?
– Chcemy, by były przykładem...
– I będą. – Braydon wpada mu w słowo.
Czas staje w miejscu. Nie wierzę własnym uszom. Wpadłam w czarną dziurę, tracę zmysły. Słyszę, jak Braydon mówi, że coś jest skomplikowane. Nad słuchuję odpowiedzi policjanta.
– Oczekuję, że najpóźniej do jutra, do północy, odstawisz je na posterunek. – Słowa policjanta przedzierają się przez mgłę w moim umyśle.
Braydon kiwa głową i wypycha go za drzwi. Zerka na piętro, gdzie powinnam spać, a potem wychodzi na dwór za policjantem i zamyka za sobą drzwi.

Prawda przenika mnie od stóp do głów. Powinnam była zaufać instynktowi. Nie do wiary, a jednak teraz wszystkie kawałki układanki trafiają na miejsce. Więc to dlatego tu mieszka. To dlatego ma nowe ciuchy i inne rzeczy, o których zwykłym ludziom nawet się nie śniło. To dlatego wybrał Sannę. To dlatego policja wie, gdzie jestem. To dlatego całowaliśmy się w ciemności.

Nie rozumiem tylko jednego – dlaczego nas uratował. Mógł nas zostawić w Centrum Emancypacji Kobiet. Nie rozumiem, ale wiem już, że nie mogę mu ufać. Zaprzyżęniłam się z węzłem; nie powinnam się dziwić, gdy zacznę kąsać.

Nie myślę o niczym, koncentruję się na przetrwaniu. Wracam biegiem na górę i najciszej jak potrafię, budzę Sannę. Jest półprzytomna. Tłumaczę, że musimy uciekać. I to już. Przychodzi mi do głowy tylko jeden powód, który zmusi ją do działania:

– Braydon ma kłopoty.

Zrywa się na równe nogi. Porozumiewamy się bez słów, jak ludzie, którzy znają się całe życie. Sanna wie, o czym myślę, układa poduszki tak, że wyglądają jak śpiące postacie. Otwieram drzwi na balkon wychodzący na ogród. Dostrzegam garaż. Furgonetka to nasza jedyna szansa.

Przechodzę przez barierkę. Sanna robi to co ja. Pochyliłam się, chwytam krawędź balkonu i wyglądam w dół. Jestem niecałe dwa metry nad ziemią. Zeskakuję, ląduję z głuchym odgłosem. Dziwna myśl przemyka mi przez głowę: muszę ją chronić, bo jest w ciąży. Może jej tego nie zrobili. Może zdążyliśmy.

Podtrzymuję ją. Biegniemy do garażu. Słyszę warkot odpalanego silnika. Pcham Sannę na ziemię, niezdarnie przykrywam sobą. Usiłuję odgadnąć, w którą stronę skieruje się samochód.

Zwir zgrzyta pod kołami, a potem warkot silnika cichnie. Mam nadzieję, że to oznacza, że policjant odjechał. Szukam innego wyjścia, ale nie mogę ryzykować, że mnie złapie. Prowadzę Sannę do garażu. Wsiadamy do furgonetki. Odpalam silnik, majstruję przy skrzyni biegów. Mrużę oczy, żeby lepiej widzieć, i wtedy zapala się lampka kontrolna przy stacyjce. Do tej pory tylko obserwowałam rodziców za kierownicą; sama nigdy nie prowadziłam. Odpalam silnik. Furgonetka rusza i zaraz staje. Naciskam pedał gazu, powoli jadę zwirowaną alejką, która łączy się z podjazdem przed domem.

– A Braydon? – Sanna przyciska dłoń do szyby. Widzimy go, jak ze zdumieniem patrzy na nas, stojąc w drzwiach.

– Później się z nim spotkamy. – Okłamuję ją. – Potóż się, schowaj. Popycham ją na podłogę, żeby nie widziała, jak Braydon za nami biegnie. Dociskam pedał gazu do oporu. Przez chwilę rozważam, czy nie rozjechać Braydona, ale szkoda mi czasu. Jeśli wbiję go w ziemię, nic się nie zmieni. Dla mnie i tak już umarł.

Rozdział 30



Zapada noc. Czuję chłód. Nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia. Od pierwszej chwili, gdy go poznałam, instynkt podpowiadał mi, że Braydonowi nie można zaufać. A potem się pocałowaliśmy. Ten straszny, zdradziecki pocałunek. Wycieram usta rękawem koszuli. Jego koszuli. Najchętniej podarłabym na strzępy jego ubrania i każdą cząstkę mojego ciała, której dotykał.

Zerkam w boczne lustro. Sanna śpi z tyłu furgonetki. Nie może się dowiedzieć o zdradzie Braydona, to by ją dobiło. Koncentruję się na jednej myśli – dzisiaj uciekam. Zabiorę Sannę ze sobą, zostawimy za nami

Kraj, śmierć, korupcję. Zapomnę o Braydonie, wymażę minione dni z pamięci. Kiedy wyjdę spod kopuły, narodzę się na nowo. Ta myśl dodaje mi sił.

Czeka mnie jeszcze tylko jeden postój. Parkuję w alejce za naszym domem. Sanna śpi. Przykrywam ją jednym z koców, które dała nam Senga. Jeśli Braydon zawiadomił policję, nigdzie nie jesteśmy bezpieczne. Ale muszę zaryzykować. Muszę ostrzec mamę, powiedzieć jej, co robi rząd. Obserwuję dom, aż nabieram pewności, że jest sama. Skradam się pod rozwalającym się plotem otaczającym naszą posesję. Akurat tym razem cieszę się, że wszystko jest w tak oplakany stan. Cicho otwieram drzwi kuchenne. Zaskakuje mnie płacz dziecka. Idę tam, skąd dobiega płacz – do mojego pokoju. Zaglądam do środka.

– Już dobrze – nuci mama. Dziecko przestaje kwilić. Mama chodzi po pokoju, kołysze małe zawiniątko w ramionach. Ma zmęczoną twarz, jakby dużo płakała. Tuli do siebie dziecko. – Moja malutka. Już czas spać. – Do mnie też tak mówiła. Zaczyna nucić kołysankę. Nie słyszałam tej melodii od lat, ale rozpoznaję ją natychmiast. Przyciska policzek do twarzy maleństwa. Kołysze się i nuci jak w transie.

– Mamo – szepczę, przerywam więź między matką a córką. Nie słyszy mnie. – Mamo – powtarzam głośniej.

Krzyczy. Dziecko znowu zanoszą się płaczem. Ciałem mamy wstrząsają dreszcze, zaczynam się obawiać, że upuści małą. Podbiegam do niej, biorę dziecko. Mama zarzuca mi ręce na szyję. Szlocha.

– Powiedzieli mi, że nie żyjesz.

Odsuwam się, żeby dziecko miało czym oddychać. Jest takie malutkie, takie kruche. Ma czerwoną buzię, mokrą od łez. Nagle najbardziej na świecie chcę zobaczyć uśmiech na tej twarzączce. Przynajmniej jej smutek mogę ukoić. Zaczynam kołysać małą. Przestaje płakać.

– Lubi, kiedy się z nią chodzi – mówi mama i wyciera jej łezki.

Spaceruję po pokoju. Wszystkie moje meble zepchnięto w jeden kąt, na miejscu mojego łóżka stoi kołyska. Na podłodze nadal poniewierają się moje ubrania. Zatrzymuję się i mała natychmiast zaczyna płakać, więc chodzę dalej, choć zmęczenie daje mi się we znaki.

– Nie pozwoliłam im niczego zabrać – mówi mama i zaciąga zasłony.

Opowiadam jej o Centrum Emancypacji Kobiet, o tym, co zrobili Sannie, co zrobił mi Braydon, o zaproszeniu babci. Mama patrzy na mnie, ale siedzi nieruchomo, bezsilnie. Ręce zwisają jej bezwładnie wzdłuż tułowia.

– Słyszałam różne plotki – mówi, kiedy kończę. – Zabierają młode dziewczęta, ale nie przypuszczałam, że posuną się aż tak daleko. Usiłowałam cię chronić, ale za bardzo jesteś podobna do babci.

– Do ciebie także. – Żałuję, że wcześniej nie widziałam w mojej mamie buntowniczkę. Żałuję, że nie zwierzyłyśmy się sobie z naszych sekretów. Chciałabym, żeby wszystko naprawiła, jak dawniej. Dawniej wystarczyło, by mnie pocałowała w otarte kolano i ból mijał. Śpiewała kołysankę i potwory zniknęły. Ale tym razem to nie wystarczy.

– Neva, musisz iść. Dołącz do babci. – Jej oczy lśnią od łez.

– Chodź ze mną. – Ledwie to mówię, zdaję sobie sprawę, że właśnie dlatego tu jestem. Tylko ona mnie tu trzyma.

Nie waha się.

– Nie mogę.

– Ale dlaczego? – Pytam, choć i tak znam odpowiedź.

– Nie mogłabym zostawić twojego ojca... ani Jane. – Wskazuje dziecko.

Musi zostać, żeby walczyć u boku wszystkich Seng i Carson tego kraju. Jakaś częśćka mnie także pragnie to zrobić. Teraz płaczemy już obie.

Wyciera łzy.

– Idź już.

Jane w końcu usypia. Przytulam ją. Wdycham słodki zapach mleka i pudru. Całuję ją w policzek i podaję mamie.

– Ma twój nosek – mówi mama i dotyka buzi Jane.

– Wszyscy mamy takie same nosy. – Wpatruję się w małą twarzyczkę.

– Jest w niej iskra jak w tobie, już to widzę. Jest bardzo mądra. – Mama uklada Jane w kołysce. Otula ją podartym kocykiem. Już ją kocha. Choć to dziecko powstało, by Kraj dalej istniał, mama dostrzega jej piękno, tak jak dostrzegła moje. Czuję ukłucie zazdrości. Jane dostaje moją mamę.

– Mogę zabrać kilka rzeczy? – pytam.

– Pewnie. – Mama zbiera ubrania z podłogi. Glaszcze mnie po włosach. Nie spuszcza mnie z oczu. Wpadamy na siebie, gdy chodzi za mną krok w krok. – Pewnie jesteś głodna. Przygotuję ci coś do jedzenia na drogę.

Nie mogłabym przelknąć ani kęsa, ale wiem, że musi się czymś zająć. Nie wytrzymuję jej smutnego wzroku. Wystarczająco mi ciężko, nie chcę widzieć bólu, który zadaje najbliższym. Wychodzi.

Najpierw zdejmuję ciuchy Braydona. Biorę nożyczki z biurka i tnę koszulę. Najchętniej pocięłabym ją na strzępy, a później spaliła na popiół. Czuję, jak gniew narasta. Chce mi się krzyżeć. Patrząc w lustro. Jestem poobijana i posiniaczona, ale to nic w porównaniu z ranami, których nie widać gołym okiem. Z ranami, które nigdy się nie zabliznią. Przez jedną ulotną chwilę myślę, że mogłabym zostać, ale to niemożliwe. Braydon ma rozkaz odprowadzić nas na posterunek. Rząd chce urządzić nam pokazowy proces. Policja już pewnie nas szuka. Jeśli chcę żyć, muszę na zawsze stąd odejść.

Do północy muszę dotrzeć na Kapitol. Ubieram się szybko. Wyjmuję dziennik z materaca. Boże, dzięki ci za babcię, mamę, tatę i Sannę. Tatę chyba drażniło to, że to babcia nauczyła mnie tej koszarnej modlitwy:

Aniele Boży, stróżu mój,

Ty zawsze przy mnie stój.

Rano, wieczór, we dnie, w nocy

Bądź mi zawsze ku pomocy,

Strzeż duszy, ciała mego,

zaprowadź mnie do żywota wiecznego.

Pewnego wieczoru powiedziałam, że nie chcę już się modlić.

– Dlaczego? – zapytała. Obie wpatrywałyśmy się w nasze dłonie, złożone do modlitwy.

Przycisnęłam palce do ust i wymamrotałam:

– Bo boję się żywota wiecznego.

– Ja też – odparła i spojrzała w górę. – Chwileczkę. –
Wydawało się, że nasłuchuje uważnie, a potem jej usta
drgnęły w uśmiechu. – Od dzisiaj modlimy się tak:

Aniele Boży, stróżu mój,

Ty zawsze przy mnie stój.

A gdy nagle zacznę chrapać,

Możesz mnie za noskę złapać.

Przyciskam czoło do twardej okładki dziennika i powta-
rzam tę modlitwę. Odwracam stronicę, każdą głaszczkę
czule, aż dochodzę do końca listy zaginionych. Przede
mną czysta kartka. Wpisuję nasze nazwiska, Sanny i moje,
drukowanymi, wyraźnymi literami. Dodaję dzisiejszą datę,
i jeszcze „Kocham cię, mamo!”. Waham się, myślę, co jesz-
cze mogłabym napisać. Chciałabym wyznać, że mi przykro,
że mam nadzieję, że nie ściągnę na nią kłopotów. Od lat
prowadzi podwójne życie, nie zadowolili się egzystencją
z odzysku, jak jej matka, znalazła własną drogę.

– Nev? – Wstrzymuję oddech, słysząc swoje imię, choć
tylko szept. Sanna stoi w progu. Zmierzwione włosy
otaczają jej twarz jak aureola. Przygląda mi się pustym
wzrokiem. Zamykam dziennik i chowam go pod koszulą.

– Obudziłam się, a ciebie nie było. – Ani z jej głosu,
ani z twarzy nie mogę niczego wyczytać. Mruga powoli.

– Muszę zabrać kilka rzeczy. – Podchodzę do niej. –
Poczekaj na mnie w furgonetce. – Biorę ją za łokieć, chcę
wyprowadzić, ale choć ciałem Sanna jest tu, ze mną, jej
umysł jest gdzie indziej.

Jane mruczy cichutko, wierci się w kołysce..

– Co to? – Sanna podchodzi do kołyski.

– Jane – odpowiadam.

Pochyla się, czule głaszcząc małą po plecach. Jest nią
zafascynowana.

Niemal tracę panowanie nad sobą.

– Poczekaj chwilę, zaraz wrócę.

Idę do pokoju rodziców, do komody mamy. To solidny,
dębowy mebel, spadek po jej matce. Zadrapania, powstałe
wskutek wieloletniego używania, łączą się z naturalnym
rysunkiem drewna, i nie wiadomo dlaczego sprawiają,
że komoda przez to wydaje się jeszcze solidniejsza. Otwie-
ram pierwszą szufladę od góry i wsuwam dziennik pod
beżowe bawełniane majtki mamy. Na jej dnie dostrzegam
kolorową plamę – coś czerwonego i różowego, co przy-
wodzi na myśl lakier do paznokci. Zakrywam dziennik
beżowymi szmatkami i ulegam pokusie, wyjmuję kolo-
rowe kawałki tkaniny – koronkową bieliznę.

Okazuje się, że mama ma dwie pary koronkowych maj-
teczek. Głęboko wyciętych. Nie wiem, czy chcę wyobra-
zić sobie matkę w seksownej bieliznie. Zresztą, jakim
cudem je zdobyła?

Kolejna tajemnica mamy, której nigdy nie rozwiążę.
Odkładam je na miejsce. Zawsze myślałam, że moja
mama to beżowa bawełna, a tymczasem okazuje się,
że pod burym kamuflażem kryje się różowa koronka.

Wracam do pokoju i widzę Sannę z Jane w ramionach.
Kołysze ją tak, jak przedtem mama, nuci coś pod nosem.
Wpatruje się w dal.

– Wiem, co mi zrobili – mówi. Nie patrzy na mnie, na nikogo. – Badali mnie. Powiedzieli, że jestem gotowa. – Śmieje się gorzko. – To się nazywa pech, co, Nev? Dopadli mnie we właściwym momencie. – Nadal kołysze małą. – Położyli mnie na jednym z tych foteli ze strzemionami na nogi.

Wiem, o co jej chodzi. Wzdrygam się na to wspomnienie, na myśl o chłodnym dotyku, który rozciągał moje nogi jak skrzydła motyla.

– Wiedziałam, co mi robią, i nie mogłam nic na to poradzić. – Całuje Jane, ostrożnie układa śpiące maleństwo w kołysce. – Czuję, że tam jest, że rośnie. – Przyciska dłoń do brzucha.

Podchodzę do niej.

– Wyciągnę cię stąd. – Jestem coraz bliżej. – Uciekniemy razem.

Patrzy mi prosto w oczy, jakby chciała zrozumieć.

– A Braydon?

– Braydon nie idzie. – Nie zwracam uwagi na to, ile wysiłku kosztuje mnie wypowiedzianie jego imienia. Sanna musi poznać prawdę. – Braydon pracuje dla rządu.

Kiwa głową, jakby wiedziała to od początku.

– Sanno, ma rozkaz, by nas doprowadzić na posterunek. Rząd chce nas przykładowo ukarać, by zastraszyć innych.

Mruży oczy, przygląda mi się, ale milczy.

– Musimy uciekać, i to już. – Chcę ją objąć, ale się odsuwa.

– Nie mogę. – Obronnym gestem zasłania brzuch rękami.

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? Policja nas szuka. Nie możemy tu zostać.

– Ona ma rację. – Mama wraca do pokoju. Podaje mi brązową papierową torebkę. – Na później.

– Dzięki, mamo.

Bierze nas obie pod rękę.

– Obie musicie uciekać.

Sanna wtula się w mamę.

– Nigdzie nie idę.

Wymieniamy z mamą znaczące spojrzenia i obie patrzymy na Sannę. Moja przyjaciółka prostuje się i uwalnia z objęć.

– Powiedziałam, że nigdzie nie idę.

Zapłakana, jest równie niewinna jak Jane.

– Proszę bardzo, niech mnie ukarzą dla przykładu. –

Poprawia koszulę. – Niech wszyscy zobaczą, co mi zrobili.

– Ale... – przerywam. W jej oczach widzę cień dawnej Sanny. – W takim razie ja też zostaję.

– Nie. – Sanna i mama mówią to niemal jednocześnie.

– Ale... – Próbuję jeszcze raz. Sanna nie daje mi dokończyć.

– Nev, nie chcę, żeby spotkało cię to samo co mnie. Idź, zobacz, jak tam jest. – Patrzy w górę, ku niebu.

– Nie zostawię cię, nie w takim stanie. – Strącam ramię mamy.

– Musisz iść, skarbie. – Mama głaszcze mnie po włosach. – Zaopiekuję się Sanną.

– Znowu będziemy jedną drużyną – dodaje Sanna. – Ty tam, na zewnątrz, a my tutaj.

Obejmuję obie. Nie zamierzam odejść, nie teraz. Przyciągam mamę i Sannę i jak dziecko szlocham w matczyne ramię. Skoro one mogą zostać i walczyć, to ja też.

– Neva. – W głosie mamy pojawiły się zimne nuty. – Nevo, posłuchaj mnie. – Odsuwa mnie na długość ramienia. – Musisz iść. Jeśli Sanna jest w ciąży, rząd nic jej nie zrobi. Ale jeśli ty zostaniesz, czeka cię o los o wiele gorszy od tego, co spotkało ją.

Mój świat wali się w gruzy. Nie wiem, co robić. Nie mogę zostać, nie mogę uciekać.

– Nev – Sanna mówi cichutko. – Zrób to dla nas. Nie opuszczasz nas. Dajesz nam nadzieję.

Oczy zachodzą mi łzami. W mojej głowie tworzy się nowy plan. Skoro uda mi się uciec, uratuję je także. Znajdę sposób, by tu wrócić. To nie jest pożegnanie na zawsze.

Rozdział 31



Wychodzę z domu i jadę do centrum Miasta. Nie wiem, czy dam radę, ale tu już nie chodzi o mnie. Muszę być silna ze względu na mamę i na Sannę. Zostawiam furgonetkę w ślepej uliczce i na piechotę, klucząc, zmierzam do centrum. Mój świat się zmienia, a dokoła życie toczy się nadal. Chociaż staram wtopić się w tłum i wyglądać jak jedna z tych wszystkich osób, nie mogę uwierzyć, że nikt nie dostrzeże we mnie zmiany.

Nie zatrzymuję się ani na chwilę, bawię się w chowanego z policjantami, ale dochodzi już północ i na Kapitolu prawie nikogo nie ma. Thomas mówił, że podczas

remontu kopuły większość policjantów wspiera straż graniczną.

Zegar na wieży wygrywa melodyjkę, fałszując jak zwykle. Północ. Ukrywam się w ruinach Kapitolu. Wychodzę z kryjówek, rozglądam się. Choć nikogo nie widzę, mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Cienie zdają się poruszać, przybierać nowe kształty. Ostatnio byłam tu, gdy aresztowano Ethana. Nadal go widzę, jak uśmiecha się do mnie ze szczytu rumowiska. Gdyby go wtedy nie aresztowali... gdybyśmy nie urządzili mrocznej imprezy... Ale było tak, a nie inaczej, i wskutek tego zbiegu okoliczności teraz jestem tutaj. Krążę, wypatruję znaku, sygnału. Nagle z ruin wylania się postać. Ktoś w czapce bejsbolowej nisko nasuniętej na czoło, tak że zasłania mu twarz. Wytężam wzrok, żeby dostrzec choć zarys sylwetki. Zlewa się z otoczeniem. Macha na mnie. Podchodzę, co kilka kroków zerkam za siebie.

– Przyjaciółka Thomasa? – pyta, gdy decyduję się na wyciągnięcie ręki.

Kiwam głową.

– Znak charakterystyczny.

– Tatuż w kształcie płatka śniegu, tutaj. – Przyciskam dłoni między brzuchem a biodrem.

– Muszę zobaczyć na własne oczy. – Rozgląda się czujnie i wciąga mnie dalej w ruiny.

Teraz żałuję, że nie mam znaku w widocznym miejscu. Przysuwam się, opuszczam dzinsy. Odchylam się, żeby księżyc mnie oświetlił.

– Chodź. – Bezbłędnie prowadzi między słupami poskręcane go metalu.

To może być pułapka.

– No, chodź – ponagla, widząc, że nie ruszyłam się z miejsca.

Doszłam już tak daleko. Jaki mam wybór? Nie wrócę do domu. Muszę zaufać nieznanemu. Nie mam innego wyjścia.

Nie wiem, dokąd mnie prowadzi. Znika w szczelinie między metalowym słupem a starą okienną framugą. Stuka w nią trzykrotnie i nagle gruz za framugą znika.

– Przewodnik przeprowadzi cię przez tunel. – Nieznajomy w czapeczce bejsbolowej odsuwa się na bok i znika.

Daleko za sobą zostawiam jedyne źródło światła. Mój wzrok przyzwyczaja się do mroku, a mnie ogarnia panika. Słyszę, że ktoś idzie w moim kierunku.

– Powiedz coś, żebym cię znalazł. – Głos jest coraz bliżej, to męczyzna.

– Tu jestem – mówię. Macham ręką i ze zdumieniem czuję czyjś dotyk.

– Chodź za mną. – Ktoś znajduje moją dłoń, kładzie ją sobie na ramieniu. Rusza i niechcący kopie mnie w hydę. – Przepraszam.

Robimy kilka kroków. Depczę mu po piętach.

– Za blisko – mówi.

Otacza nas nieprzenikniona czerń. Oddycham głęboko, opanowuję strach. Nie pozwolę, by ciemność pozbawiła mnie wolności, a Sannę nadziei.

Z czasem znajdujemy wspólny rytm. Tunel jest bardzo wąski. Wystarczy delikatny ruch w prawo czy w lewo, a trafiam na metal albo kamień. Ciemność mnie dławí. Jestem mokra od potu. Zmuszam się, by stawiać kolejne kroki, ale oddycham coraz szybciej.

– Dokąd mnie prowadzisz? – pytam.

– Na drugą stronę. – Śmieje się cicho.

– Ale...

– Skąd znam drogę? – kończy moje pytanie. – To mój świat. Znam te tunele lepiej niż ulice miasta.

– Nie miałam pojęcia, że tu są jakieś tunele – odpowiadam bez tchu. Kręci mi się w głowie. Panika bierze górę.

– Są tu od lat. – W głosie przewodnika pojawia się cieplejsza nuta.

Nie myśl o ciemności.

– Dokąd prowadzą? – Staram się uspokoić oddech.

– Łączą się ze starym systemem tuneli kolei podziemnej i tym sposobem można niepostrzeżenie wyjść z Miasta.

– Co? – Nie dość, że pod Kapitołem jest tunel, okazuje się, że kiedyś jeździły tu podziemne pociągi.

– Ciągle zapominam, że już niczego was nie uczą. – Jego włosy muskają moją dłoń. Chyba kręci głową. – Rząd niszczy naszą historię.

Wiem nawet, kto to robi. O tylu sprawach tata nigdy nie mówił. Nikomu nie mówił. Nieprawda, że jest ministrem historii starożytnej. Jest ministrem historii wymyślonej.

– Daleko jeszcze? – Potykam się i na chwilę puszczam jego ramię. Podtrzymuje mnie, żebym nie upadła.

– Jeszcze kawałek. Idź tuż za mną. – Kładzie moją rękę na swoim barku. – Lepiej, żebyśmy byli cicho. Są tu stare szyby wentylacyjne, wychodzące na ulice.

Usiłuję przyzwyczaić się do ciemności, dostrzec coś, cokolwiek, ale czerní jest nieprzenikniona, niemal namacalna, ciężka. Duszę się i czuję, jak mnie przygniata. Schodzimy coraz niżej. Wolę nie myśleć, że coraz bardziej zagłębam się pod ziemię.

Powietrze jest coraz zimniejsze. Oddycham głęboko. Wyczuwam, że jesteśmy w innym, szerszym tunelu. Echo naszych kroków niknie w przestrzeni. Wiatr bawi się moimi włosami.

Pod nogami nie mamy gruzu. Idzie się łatwiej, ale niepokoi mnie świadomość, że nie wiem, co mnie otacza. Ciemność napiera. Jeśli stracę kontakt fizyczny z przewodnikiem, przepadłam. Za żadne skarby nie wyjdę stąd sama.

– Uspokój się – mówi. – Już niedaleko.

Usiłuję to sobie wyobrazić. Wysoki, sklepiony sufit, terakota na podłodze. Białe ściany, jaskrawe światło. Koncentruję się, by iść z przewodnikiem.

Wydaje mi się, że w oddali dostrzegam światełko. Światło. Wytężam wzrok. Powoli zaczynam coś widzieć. Ciemność przybiera kształty. Zrównuję się z przewodnikiem. Idziemy obok siebie.

– Dalej pójdziesz sama – mówi, gdy widać wyjście. Chyba jestem przerażona, bo klepie moją dłoń, dodając mi otuchy. – Najgorsze już za tobą. Tam czeka na ciebie furgonetka...

Przypomina mi się rządowy samochód, który zabrał Sannę i inne dziewczęta do Centrum Emancypacji Kobiet. Znowu ogarnia mnie lęk.

– Musisz już iść. – Popycha mnie lekko.

– A co potem?

– Ja znam tylko część trasy. Doprowadziłem cię do tego miejsca. Zrobilem, co do mnie należy.

– Dobrze. – Robi mi się zimno.

– Mogę zaprowadzić cię z powrotem, jeśli się rozmyśliłaś – dodaje, wyczuwając moje niezdecydowanie.

– Nie. – Odchrząkam, mówię bardziej stanowczo. –

Nie, już idę. – Głos mi drży. – Dziękuję.

– Powodzenia. – Podaje mi rękę i zawraca.

Wychodzę z tunelu, łapczywie oddycham nocnym powietrzem. Między mną a furgonetką stoi kobieta. Nie patrzy na mnie, tylko otwiera tylne drzwi.

Waham się.

– Co teraz?

– Zawiozę cię do granicy. – Wskazuje głową samochód, zachęca, żebym wsiadła.

Nie ruszam się. Nie mogę dłużej ślepo wykonywać rozkazów.

– Kiedy znajdziesz się na granicy, poczekaś na znak. Kopała jest remontowana. Wylączają poszczególne części i sprawdzają panele. Będziesz miała kilka godzin, nie wiem dokładnie ile, żeby przedostać się przez tunel, zanim znowu włączą prąd. – Zapewne nie po raz pierwszy udziela tych instrukcji. – Pojedziemy do granicy bocznymi drogami, wiemy, jak unikać patroli Straży

Granicznej, ale rząd rzucił większe siły w okolicie granicy. Nie mogę ci zagwarantować, że wszystko pójdzie dobrze. Kiwam głową.

– Czas na nas – mówi tonem niedopuszczającym dalszych pytań. Wsiadam do furgonetki i z ulgą stwierdzam, że nie jestem sama. Niewiele widać, ale wydaje mi się, że rozróżniam jeszcze siedem osób. Siedzą półkołem, opierają się plecami o ściany samochodu. Siedzenia wyjęto. Drewniane przepierzenie oddziela nas od kierowcy. Kwadratowe okienka w tylnych drzwiach zamalowano czarną farbą. Kierowca zamyka drzwi.

A więc to już. Odchodzę. Wkrótce przekonam się, co jest poza kopułą. To prawie tak, jakbym miała się dowiedzieć, co nas czeka po śmierci. Mam nadzieję, że się tego nie dowiem. Wmawiam sobie, że to nowy początek, a nie koniec wszystkiego.

Samochód drży lekko. Każdy wybój, każdy zakręt potęguje moją klaustrofobię. Słyszę oddechy współpasażerów. Zabierają z powietrza cały tlen, dla mnie nic nie zostaje. Myślę o przyszłości, ale nie mogę sobie przypomnieć twarzy babci. Nie pamiętam, jak wygląda. W głowie usiłuję zobaczyć bezkresny ocean z niekończącym się niebem, ale nie umiem sobie wyobrazić takiej wolności.

W kilku miejscach farba odpadła z szyby i przez te plamki dociera odrobina światła. Z czasem moje oczy przyzwyczajają się do ciemności, widzę ciemne sylwetki pozostałych pasażerów. I nagle dopada mnie poczucie straty – nie tylko Kraju i rodziny, ale też niewinności i ufności, których pozbawił mnie Braydon. Wyciągam

rękę i dotykam osoby siedzącej koło mnie. To mała rączka, chyba dziecka. Uśmiecham się do niego, choć go nie widzę. Czuję, że się porusza. Nasze dłonie się dotykają.

Nagle furgonetka hamuje, skręca gwałtownie. Puszczamy się i staramy czegoś przytrzymać, ale i tak się przewracamy, wpadamy na siebie, na ściany. Samochód zatrzymuje się, a my wpadamy na przepierzenie dzielące nas od kierowcy. Nie zdążymy nawet wrócić na miejsca, gdy drzwi otwierają się i ktoś świeci latarką. Światło jest zimne, sztuczne, białe. Po chwili dostrzegamy jego źródło. Odsuwają reflektor, widzę ciemne postacie na jego tle. Jedna z nich chwyta kogoś za nogę i wyciąga z furgonetki. Straż Graniczna. Mam wrażenie, że spadam w przepaść.

Rozglądam się w poszukiwaniu dziewczynki, która siedziała koło mnie, wyciągam do niej rękę. Wielkie, okrągłe oczy błagają mnie o ratunek. Przytulam ją, ale teraz i mnie wyciągają z furgonetki. Dłoni w rękawiczkach odrywa małe paluszki od mojej ręki. Czuję ukłucie w udo i świat wypełnia ciemność.

Rozdział 32



Ktoś szepcze moje imię. Tak mi się przynajmniej zdaje. Usiłuję odpowiedzieć. Chcę, żeby dali mi spokój. Unoszę się w powietrzu, moje ciało jest płynne, a w głowie panuje błogosławiona cisza. Nie chcę, by to się skończyło.

Zaciskam powieki. Powraca mi czucie w ciele, a wraz z nim wspomnienia, ale nie chcę tego, jeszcze nie. Ktoś coś mówi, szarpie mnie, ściąga na ziemię z nicości.

– Neva Adams! Obudź się. – To już nie szept.

Usiłuję unieść powieki, ale jest tak, jakbym zapomniała, jak to się robi. Wracają wspomnienia. Wędrówka tunelami pod miastem. Podróż samochodem. I Straż Graniczna.

Unoszę powieki, tylko odrobinę. Nade mną pochyla się ciemna postać. Odsuwam się najdalej jak mogę. Pokój jest biały, zdaje się lśnić. Kulę się na materacu w białoszare pasy. Jeśli wstanę, wyprostuję się i rozłożę ramiona, dotknę sufitu i ścian. Mam ochotę znowu zamknąć oczy.

– Gdzie ja jestem? – pytam. Zanoszę się kaszlem i wypluwam coś, co wygląda jak kłębek waty.

– Na posterunku Straży Granicznej.

Mam na rękę pomarańczową bransoletkę z nazwiskiem. Skąd je znają? Dotykam tatuażu przez dzinsy. Rozpięte. Czuję się zbrukana. Łapię się za szyję, szukam wisiora, i oddycham z ulgą, gdy czuję znajomy kształt.

– Chodź za mną. – Mężczyzna wyciąga do mnie dłoń w rękawiczce, ale wstaję o własnych siłach.

Idziemy długim korytarzem. Małutkie żarówki umieszczono wysoko na ścianach ścielą się skomplikowanym wzorem na suficie. Ściany są czarne, podłoga biała. Na drzwiach nie ma numerów, nic, żadnych znaków szczególnych. Stworzyli miejsce, z którego nie sposób uciec. Zresztą nie ma dokąd, jest tylko labirynt korytarzy.

Strażnik się zatrzymuje. Dotyka ściany i drzwi się otwierają. Wpycha mnie do środka.

– Siadaj! – warczy.

Siadam. Przykuwa mnie kajdankami do srebrzystego pręta, który ciągnie się przez cały stolik, i wychodzi.

Pokój jest ciemny, tylko lampa na biurku wydobywa z mroku dwa krzesła. Nikt nie wie, gdzie jestem. W tej ciszy, w tym miejscu bez duszy, mogą zrobić ze mną wszystko. Wszystko.

Uświadamiam sobie, że nie jestem sama. Ktoś kryje się w półmroku. Najpierw patrzę na buty, przekonana, że zobaczę czerwone kowbojki, ale widzę zwykle brudne tenisówki. Nie wiadomo, dlaczego jestem zarazem zadowolona i rozczarowana, że to nie Braydon.

Ale rozpoznaję tę sylwetkę. Te ciemne oczy. Wstrzymuję oddech, gdy Ethan wynurza się z mroku.

– Przykro mi, Neva. – Nie patrzy na mnie. – Musiałem coś zrobić. Nie mogłem cię stracić. To dla twojego dobra. Chwilę trwa, zanim docierają do mnie jego słowa.

– Dla mojego dobra?

– Wrócimy razem do domu, zaczniemy od nowa. Założymy rodzinę. – Głos mu się łamie.

– Coś ty zrobił, Ethan? – pytam cicho.

Podchodzi do krzesła, siada naprzeciwko mnie.

– Ratuję cię. – Wyciąga rękę.

Zaciskam pięści.

– Nie trzeba.

– Chciałaś mnie zostawić – krzywi się. – Chciałaś mnie zostawić i nawet się ze mną nie pożegnałaś.

Zdradzona przez Ethana. Wydaje się to nieprawdopodobne.

– Skąd wiedziałeś? – Zaciskam i rozluźniam pięści.

– Po mrocznej imprezie zacząłem cię śledzić. A po tym, jak spotkałaś się z Thomasem, skontaktowali się ze mną.

– Kto?

– Oni. – Wskazuje pomieszczenie. Wiem, kogo ma na myśli: oni, którzy obserwują, zawsze obserwują. – Wyjechałaś z Braydonem. – Kołyszę się na krześle. – Jak mogłaś?

– Jak mogłam? Jak mogłam? – Patrzę na niego gniewnie. – A ty? Jak mogłeś mnie zdradzić? Mówiłeś, że mnie kochasz.

– Kocham cię – szepcze. – Powiedzieli mi, że nie żyjesz. Wiedziałem, że to nie może być prawda. Obserwowałem twój dom. Wiedziałem, że wrócisz. Ale nie sądziłem, że będziesz usiłowała uciec.

Zaciskam zęby. Posępnieję.

Gładzi moją dłoń.

– Neva, wystarczy, że podpiszesz zobowiązanie. To nic trudnego. Miejmy to już za sobą, zacznijmy nowe życie.

Dotyka mnie, jakby mnie znał. Już zaplanował nasze życie. Przykuł mnie do tego stołu i chce przykuć do siebie, do tego świata już na zawsze.

– Idź do diabła, Ethan! – Rzucam się na niego. Nie wiem, do czego byłabym zdolna, gdyby nie kajdanki.

Podrywa się z krzesła.

– Nie bądź taka. – Znowu jest tam, gdzie wszystko się zaczęło, w półmroku.

– Daj mi spokój. Po prostu daj mi spokój. – Nie widzę go już.

– Nie mogę cię stracić.

– Ethan, już mnie straciłeś. – Kładę głowę na stole.

Jeszcze chwilę czeka. Słyszę jego oddech. Urywa się, jakby Ethan chciał coś powiedzieć, ale zmienia zdanie. Podchodzi do mnie. Pochyla się, jakby chciał mnie pocałować. Nie ruszam się.

– Teraz już nikt ci nie pomoże – szepcze, podchodzi od drzwi i stuka.

Drzwi się otwierają, ale nie słyszę, żeby ktoś je zamykał. Z zewnątrz dobiegają jakieś głosy. Koncentruję się, usiłuję rozróżnić słowa. Mówią chyba trzy czy cztery osoby. Ethan mamrocze niewyraźnie. Jeden ze strażników mówi coś, co brzmi jak „zrobiłeś, co w twojej mocy”. Słyszę, jak jego tenisówki skrzypią po posadzce, gdy odchodzi.

– Najwyraźniej to cecha rodzinna. – Głęboki męski głos wybija się nad inne.

– Jej ojciec żąda, żebyśmy mu ją przekazali – mówi ktoś inny. – Adams to dobry patriota. Jeśli dziewczyna nie podpisze, będzie ją musiał wysłać do Centrum Reprodukcyjnego dla Opornych. Nikomu tego nie życzę... – Głos i kroki się oddalają.

Ogarnia mnie panika. Jeśli nie podpiszę zobowiązania, moje cierpienia dopiero się zaczną. Może lepiej podpisać. Może wtedy pozwolą mi wrócić do domu, wyjść za mąż, urodzić dziecko. Nie wytrzymam więcej.

– Dobre, dobrze, podpiszę! – Wołam. To na pewno lepsze niż to, co zaplanował dla mnie ojciec. Staram się nie wybiegać myślami w przyszłość dalszą niż kolejna minuta.

Strażnik przynosi arkusik papieru i plastikowy długopis i kładzie je przede mną. Spodziewałam się cyrografu, który będę musiała podpisać własną krwią, czegoś bardziej dramatycznego. Podpiszę na siebie wyrok plastikowym długopisem – jakie to romantyczne. Obracam go w palcach. Tylu ludzi złamano, skazano na to więzienie. Spodziewałam się listy zakazów i nakazów, a to tylko kilka krótkich zdań.

Niniejszym zobowiązuję się służyć Krajowi.
Jestem obywatelką i patriotką. Poświęcę
życie dla mojego Kraju i rządu. Przyznaję,
że działałam na szkodę Kraju. Tym samym
wyrzekam się przeszłości i przysięgam
przestrzegać zasad wypracowanych przez
przodków. Przysięgam wierność Krajowi.

X

Sięgam po długopis. To tylko nazwisko. Dwa słowa,
które mnie definiują, ale które nic nie znaczą. Czarne
bazgroły, które stanowią fundament, podstawę kopuły.
Kolejne nazwisko dodane do tysięcy nazwisk tych, którzy
podpisali się przede mną.

Dotykam długopisem kartki. Nie mam siły poruszyć
palcami, napisać moje nazwisko. Oczyma wyobraźni już
je widzę. Nazwisko i imię, które nadała mi babcia.

Babcia nie podpisałaby tego dokumentu. Jeśli to pod-
piszę, oni wygrają. Jeśli to podpiszę, okażę się taka sama
jak Ethan, Braydon czy ojciec. Sama nie zmienię rządu.

nie zmuszę władzy do otwarcia kopuły, ale liczy się każdy,
nawet najmniejszy akt sprzeciwu. Może ten jeden platek
śniegu wywoła lawinę.

Upuszczam długopis. Upada na biurko. Może w naszej
śnieżobiałej historii zostanie po mnie tylko ta czarna
plamka. Ale też może nic więcej nie trzeba.

– Nie mogę – mówię i kładę dłonie na stole. Nie pod-
dam się.

Zabierają długopis i kartkę. Światło gaśnie. Ale ja już
się nie boję.

Rozdział 33



Ojciec na mnie nie patrzy. I dobrze. Po tym, co ostatnio przesłamał, nie zniósłabym zawodu, który zawsze widzę w jego oczach. Siedzę prosto, nie reaguję, kiedy zdejmują mi kajdanki i pomarańczową bransoletkę z nazwiskiem. Odpycham ręce strażników, którzy pomagają mi wstać.

Ojciec ma włosy gładko zaczesane do tyłu, jest starannie ogolony. Wydaje się zadbany jak nigdy od dnia zniknięcia babci.

Nie stara się mówić cicho. Rozmawia z mężczyzną w granatowym garniturze, bordowej koszuli i krawacie.

Strażnicy potakują przy każdym jego słowie. Jest o kilka centymetrów wyższy od taty. Rozmawiają jak starzy przyjaciele, o pogodzie, jakby nie stała kilka metrów dalej, czekając na wyrok. Mężczyzna w garniturze odprawia strażników. Podchodzi do ojca. Nadstawiam ucha, żeby usłyszeć stłumione głosy.

– Naprawdę mi przykro, że musiałem wykonać ten telefon, George – mówi facet w garniturze. – Uznałem, że powinienś wiedzieć.

– Dzięki, Haroldzie. Zdaję sobie sprawę, że proszę o wiele, ale to nie jej wina. – Głos taty jest niski, przyjacielski.

– Nie wiem, czy mogę zrobić taki wyjątek. – Facet kładzie tacie rękę na ramieniu. – Rozumiesz to, prawda?

Ojciec się odsuwa.

– Haroldzie, ja wiele rozumiem. Wszyscy popełniamy błędy, których później żałujemy. – Milknie na chwilę. – Niektórzy mają w rodzinie takich, którzy głosowali przeciwko kopule. Nie jest to fakt, który powinien wyjść na światło dzienne, zwłaszcza jeśli liczy się na poparcie w najbliższych wyborach.

Mężczyzna robi się czerwony na twarzy.

– Nie, skądże.

– Dziewczyna ma problemy z głową. – Tata zniża głos. – Jak jej babka.

Nieruchomieję.

– Nie udało mi się uratować matki, ale mam szansę ocalić córkę. Haroldzie, pozwól mi ją zabrać. – Tata niemal błaga. Harold ma ciągle ten sam wyraz twarzy. Tata nie daje za wygraną. – Moja matka, podobnie jak wielu

innych wariatów, wierzyła, że poza kopułą istnieje życie. – Mówi to spokojnie, głosem bez emocji.

Uginają się pode mną kolana, muszę przytrzymać się najbliższego krzesła. To nie może być prawda. Nie może. Ale słowa taty budzą wątpliwości.

– To nie mój wina, że babka nakładła jej do głowy bzdur. Chcę jej pomóc. Ona jest chora.

Mężczyzna z powątpiewaniem kręci głową.

– Sam nie wiem, George. Co z nią zrobisz?

– Jeśli już musisz wiedzieć, znalazłem zakład psychiatryczny, w którym mają spore sukcesy w reprogramowaniu chemicznym. A potem zaczniesz rodzić dzieci, daję ci słowo.

Nie mogę dłużej ustać na nogach, osuwam się na krzesło. Wolę zostać tutaj, zaryzykuję.

Harold przetyka sline.

– Ale jak...

Ojciec wpada mu w słowo.

– Nigdy jej tu nie było. Rozumiesz? Nikt tak jak ty nie zna się na sprawianiu, że ludzie znikają.

– George, prosisz mnie o...

Teraz to tata chwyta go za ramię.

– Historia ma wpływ na teraźniejszość. Tę samą osobę można przedstawić jak wariata albo jako wizjonera – mówi. – Warto mieć we mnie przyjaciela. Nigdy nie zapomnę, że jestem komuś winny przysługę.

Harold uchyla panel w ścianie i wystukuje kombinację cyfr.

– Resztę załatwię w centrali. – Wskazuje mnie głową. – Zabieraj ją stąd.

Mężczyźni wymieniają uściski dłoni. Tata łapie mnie za ramię i prowadzi niekończącym się korytarzem. Już tu był. Po mnie przynajmniej przyjechał. Ale wcale się nie cieszę, że mam ojca, który orientuje się w tym labiryncie. Babcia nie żyje. A ojciec wysłał mnie do zakładu, w którym będą majstrować przy moim umyśle.

– Ani słowa. Obserwują nas – mówi, gdy jesteśmy sami w samochodzie. Ruszamy. Patrzę na świat za oknem i zastanawiam się, czy widzę go po raz ostatni.

– Mama wie, że to robisz?

– Nie, myśli, że musiałem zostać w pracy.

– Nie mów jej, dobrze? Powiedz, co chcesz, ale nie mów, dokąd mnie zabierasz. Co zrobiłeś. Powiedz, że uciekłam.

Patrzy na mnie i zaraz kieruje wzrok na drogę. Przyspieszamy. Chcę się czegoś przytrzymać, ale tylko głębiej zapadam się w fotel.

– Proszę, tato.

– Neva, bądź cicho. Nieważne, co się będzie działo, milcz.

Zbliżamy się do granicy. Na poboczu straszą tablice ostrzegawcze.

Na pierwszym punkcie kontrolnym podchodzi do nas patrol Straży Granicznej. Tata wymachuje odznaką. Ten zakład jest chyba blisko granicy; no pewnie, gdzieżby indziej Kraj umieścił nieudaczników?

Drugi punkt kontrolny. Ubrojony strażnik zagląda do samochodu.

– Ona ma przepustkę? – pyta i świeci mi w oczy latarką.

– To moja asystentka. Nagły wypadek w okolicy kopuły. – Znowu macha identyfikatorem. Strażnik sprawdza coś w swoim spisie.

– Niestety, nie mam pana na liście, doktorze Adams – mówi prawie tak, jakby nas przeproszał.

– Przecież mówię, że to nagły wypadek. Nie dzwonili do ciebie z mojego biura? Mam dość tego bałaganu! – Krzyczy, otwiera drzwi samochodu. Wysiada. – Gdzie twój przełożony? Chcę rozmawiać z dowódcą.

– Jest środek nocy, sir – tłumaczy się strażnik.

– A więc śpi na służbie, tak? – Zerka na plakietkę z nazwiskiem strażnika. – Tak, Leighton?

– Nie, sir, to znaczy, on nie śpi, tylko... – Strażnik nie wie, co powiedzieć.

– Słuchaj, mam za sobą ciężką noc. Zapomnę o wszystkim i tobie radzę to samo. – Wraca do samochodu.

– Tak jest, sir. Dziękuję. – Strażnik wciska przycisk i szlaban się unosi.

Tata zaciska ręce na kierownicy, ale i tak widzę, jak drżą.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – mówi kilka kilometrów dalej. Krajobraz jest coraz bardziej pustynny. Czerwone reflektory podświetlają napis: „Koniec drogi. Zawracaj”. I nieco niżej, mniejszymi literami: „Niebezpieczeństwo. Kopuła. Wstęp wzbroniony”. Wolę sobie nie wyobrażać babci porażonej prądem.

Tata zatrzymuje samochód.

– Wysiadaż – mówi. Wzdrygam się. Nie wiezie mnie do zakładu. Nie mogę oddychać. – Zostało mało czasu. –

Pochyla się nade mną, otwiera drzwi od mojej strony. Odsuwam się od niego.

– Tato, proszę cię, nie. Proszę. – Mam łzy w oczach. Przywiózł mnie tu na śmierć. Mój własny ojciec. Zginę porażona prądem przez kopułę, zupełnie jak babcia.

Odpina mi pas bezpieczeństwa. Powinnaś biec, ale mam nogi jak z waty. Chcę go uderzyć, ale nie mam siły. Mówi coś, ale szlocham tak gwałtownie, że nie rozróżniam słów.

Obejmuje mnie. Wtulam twarz w jego marynarkę.

– Nevo, Nevo – ucisza mnie. – Tak mi przykro.

– Mnie też. Nie rób tego, błagam.

– Nevo, uspokój się i słuchaj uważnie. Za niecałą godzinę ponownie włączą prąd. Do tego czasu musisz się znaleźć poza tunelem.

Odsuwam się. Patrzę na niego.

Miniesz tę tablicę i zobaczysz drzwi. Zamek elektromagnetyczny jest na razie wyłączony, podobnie jak kopuła w tej okolicy. Zejdź schodami. Zobaczysz tunel. Musisz biec. Mniej więcej półtora kilometra dalej zobaczysz wielkie pomieszczenie, w którym łączą się różne tunele. Nie wiem, jak to wygląda, ale pole rażenia jest zabójcze. Nie kłamię, każdy, kto się tam znajdzie, umrze.

– Jak babcia – mówię. Łzy płyną mi po policzkach.

– Mam nadzieję, że będzie na ciebie czekała. – Uśmiecha się, zamyka moją twarz w dłoniach.

Nie mieści mi się to w głowie.

– Co tam jest, tato? – pytam. Jeszcze nigdy nie byliśmy tak blisko.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że tego właśnie chcesz, Nevo. Na pewno lepsza przyszłość niż tutaj. – Teraz to on płacze. – Nevo, nie wiedziałem. Nie wiedziałem, co robią. Powiedzieli mi, że tylko reedukują te dziewczęta, że to tylko pranie mózgu. To wszystko. A kiedy Effie... Pojechałem tam... – Wypycha mnie z samochodu. – Idź, Neva, nie możesz tu zostać.

– A ty? I mama?

– Nie martw się o nas. – Ton jego głosu zmienia się, mówi szybko, urywanie. – No, idź. Szybko. – Przeszesuje włosy palcami. – Jestem z ciebie dumny.

Resztkami sił wysiadam z samochodu i odchodzę. Mijam tablice ostrzegawcze. Odwracam się. Tata nadal tam stoi, oświetlony czerwonym światłem. Macha mi. Zaczynam biec.

Rozdział 34



W tunelu panuje nieprzenikniona ciemność. Pozwalam, by mnie wypełniła. Już się nie boję nicości, niewiedomego. Stawiam pierwszy krok. I kolejny. Biegnę, dotykam ręką chłodnej ściany. Pod paznokciami zbierają się półksiężycy brudu. Potykam się, upadam, wstaję. Otacza mnie kwaśny zapach świeżej ziemi. Wydaje mi się, że biegnę tak całą wieczność. Wycieram twarz rękawem, brud, łzy i smarki.

Słyszę jedynie własny urywany oddech. Jestem spocona, ziemia klei się do mnie, czuję, jak skórę pokrywa twarda skorupa. Za wolno? Lada chwila spodziewam się,

że porazi mnie prąd o mocy tysięcy woltów. Z każdym krokiem zastanawiam się, czy zbliżam się do wolności, czy do śmierci. Ale biegnę. Przede mną widzę promyk światła. Czyżby włączyli już kopułę? Zwalniam. I znowu błysk. Paraliżuje mnie strach, ale tylko na chwilę.

Przyspieszam kroku. Mój tunel kończy się w przestronnej jaskini, podobnie jak kilka innych, równie wąskich. Wychodzi z niej tylko jeden, trzykrotnie szerszy niż pozostałe. Już nie jest tak ciemno. Idę coraz wolniej, świadoma upływu czasu, ale także narastającego we mnie smutku. A więc to naprawdę już.

Zbliżam się do najszerszego tunelu i wtedy ktoś łapie mnie za ramię, odwraca. Przyciąga do siebie. Zamyka mi usta pocałunkiem.

Braydon.

Reaguję z dawnym ogniem. Obejmuje mnie silnymi ramionami i znowu jesteśmy razem, w ciemności.

I wtedy włącza się umysł.

Braydon.

Zdrada.

Kłamstwa.

Choć tak wiele przeszłam, właśnie jego zdrada boli najbardziej.

Gniew bierze górę. Wrywam mu się, okładam go pięściami.

Oslania się przed gradem ciosów.

– Neva, przestań.

Nie przestaję. Nie zadaję już ciosów na oślep, celuję z większą siłą i precyzją.

– Neva! – Przyciska mi ręce do boków. Usiłuję odzyskać oddech i zbieram siły do następnego oddechu. – Neva. – Potrząsa mną.

– Puść mnie – warczę. Szamoczę się, uwalniam. – Jak mnie znalazłeś?

Jego dłoń wędruje po mojej szyi, zatrzymuje się na naszyjniku.

– Przyczepiłem urządzenie naprowadzające do twojego płata śniegu.

Odpycham jego dłoń.

Kiwa głową.

Thumię szloch. Jest tak blisko. Patrzy na mnie i mam ochotę ulec sile tego spojrzenia. Nie wiem, kim jest naprawdę, ale jakaś cząstka mnie nadal pragnie chłopaka, z którym całowałam się pod osłoną ciemności. Ale tamten chłopak nie był prawdziwy. Przelykam lzy. To już koniec. Koniec wszystkiego. Prostuję się.

– Jeśli chcesz mnie aresztować, zrób to. Koniec gier. Słyszałam, co mówiłeś do policjanta. Wiem, że dla nich pracujesz.

Widzę, jak schodzi z niego powietrze. Przed chwilą taki silny, nagle słabnie.

– Miałem obserwować Sannę, pilnować jej. – Mówi tak cicho, że z trudem go słyszę. – Ale od pierwszej chwili wiedziałem, że to na ciebie trzeba mieć oko.

– Na mnie? – Nie mogę na niego patrzeć, to za bardzo boli.

Podchodzi bliżej. Nie mam dokąd uciekać.

– To ty stanowisz zagrożenie. – Odgarnia mi włosy z twarzy. – Zmieniłaś wszystko.

W jednym z tuneli pojawia się słaby blask i wreszcie widzę go wyraźnie. Ujmuję moją twarz w dłonie.

– Kocham cię, Nevo. Bez względu na to, co się wydarzy, wiedz, że cię kocham.

Mój gniew słabnie, ale ciało nadal czuje każdą upływającą sekundę. Mam coraz mniej czasu. Z jednej strony chcę biec, z drugiej – na zawsze zostać z Braydonem. Całuje mnie. Mamy usta mokre od łez. Może mogłabym zostać. Może będziemy razem. Chcę go objąć, ale odsuwa się ode mnie.

– Znalazłem ją! – krzyczy. – Jest tutaj. – Odpycha mnie. Zataczam się, ale odzyskuję równowagę.

Wściekłość. Panika. Strach.

W tunelu dudnią gniewne kroki.

– Idź – szepcze. – Uciekaj.

Biegnę. Nie wiem, jakim cudem, ale biegnę.

Odwracam się. Braydon biegnie w przeciwną stronę, skręca w jeden z węższych tuneli.

– Jest tutaj! – woła i znika w ciemności.

Uratował mnie.

Biegnę co sił w nogach, chciwie chwytam powietrze przy każdym kroku.

Tunel zakręca, objam się o ściany. Umrę tutaj. Nikt się nigdy nie dowie, jaki los mnie spotkał. Nie zobaczę świata na zewnątrz.

Powietrze wokół mnie iskrzy się, czuję, jak włosy na całym ciele stają mi dęba. To nie może być koniec. Jestem już tak blisko.

Rozlega się głośny trzask i przesywa mnie prąd. Wyginam się w łuk. Potężna siła pcha mnie na ziemię i po raz kolejny spowija mnie ciemność.

Rozdział 35



Znikam.

Tak czuję. Jestem myślą, jestem nicością. Nie mam kształtu. Jestem ciemnością.

Chcę tam zostać, w tym niebycie, ale nagle zalewają mnie wspomnienia. Całe życie przesuwa mi się przed oczami i nagle się zatrzymuje.

Unoszę powieki i chciwie nabieram powietrza w płuca. Powraca mi czucie, a wraz z nim pieczenie na całym ciele. Bolą mnie wszystkie mięśnie, wszystkie kości.

Nadal jestem w tunelu, ale przed sobą widzę łuk, a dalej oslepiającą jasność. Za mną jest tylko ciemność.

314

W tej czerni zostają moi rodzice, Sanna, Braydon. Jestem boleśnie świadoma, ile poświęcili, żebym mogła uciec. Ogarnia mnie smutek, ale idę w stronę światła.

Zataczam się. Światło mnie oslepia. Osłaniam oczy. Wychodzę z tunelu, mrugam i odzyskuję wzrok. Widzę przed sobą wielobarwny dywan. Mrużę oczy i dostrzegam szczegóły. To ludzie. Ludzie o różnych kolorach skóry, różnych włosach, różnych twarzach.

A więc poza kopułą jest życie. Między mną a bezkresnym horyzontem nie ma żadnej bariery. Mam łzy w oczach.

Przeszukuję wzrokiem morze twarzy, szukam znajomych rysów. I wkrótce je dostrzegam. Widzę twarze, które mogłyby należeć do mojej siostry, brata, matki, ojca. Dokoła mnie łączą się bliscy. Nie tylko ja uciekłam.

Odwracam się. Patrzę na kopułę. Z tej strony nie jest przezroczysta, ale połyskuje srebrzyście, odbija się w niej słońce i niebo.

Piękna kobieta o brązowej skórze, stojąca na skraju tłumy, zauważa mnie. Ma długie, czarne, kręcone włosy, naprawdę poskręcane, a nie tylko falujące, jak moje. Uśmiecha się promiennie. Czy to człowiek, czy inna istota, mieszkanka tego ogromnego świata bez granic?

– O mój Boże. Dobrze się czujesz? – pyta mnie niskim głosem, z dziwnym, akcentem, którego nigdy dotąd nie słyszałam. – Widzieliśmy błysk, gdy podłączyli kopułę. Nie sądziliśmy, że jeszcze komuś uda się wyjść.

Idę w jej stronę. Potykam się. Podchodzi, podaje mi rękę.

315

- Co... jak...? - Tylko tyle mogę wykrztusić.
- Wychodzili od kilku godzin, dwójkami i trójkami - tłumaczy. - Wieść się rozeszła i ludzie przyszli w nadziei, że zjawią się ich bliscy. Masz tu kogo?
O Boże, taką mam nadzieję.
- Babcię - odzyskuję głos. - Ruth Adams.
- Ruth Adams - woła kobieta i wkrótce nazwisko babci powtarzają setki głosów.

Może to tylko moja wyobraźnia, ale wydaje mi się, że tłum cichnie. A jeśli jej tu nie ma? Nie zniosę tego. Gdzieś w oddali rodzi się pomruk, przetacza przez tłum.

Idę w tamtą stronę. Ludzie mnie witają. Mam ochotę przyjrzeć się każdej twarzy, każda jest inna. Ludzie o różnych kolorach skóry tulą się do siebie. Niektórzy mówią coś, czego nie rozumiem; posługują się nieznanym mi językiem. Przyspieszam kroku. Ludzie rozstępują się na boki. Potykam się, prostuję, biegnę. Tłum rozsuwa się jak kurtyna. Wstrzymuję oddech, gdy do przodu wysuwa się jedna postać.

Babcia?

Nadzieja dodaje mi skrzydeł.

Podziękowania



Każda książka to efekt współpracy. Zapewne powinnam po prostu podziękować wszystkim, którzy w ten czy inny sposób przyczynili się do powstania tej książki. Czasami było to słowo wsparcia, czasami fakt, że siedzieli ze mną w szkole na angielskim, mówili coś ciekawego, wpadali na mnie w londyńskim metrze.

Ale kilka osób zasługuje na szczególne podziękowania:

Moja rodzina. Znosili moje próby literackie (że nie wspomnę o moich zapędach piosenkarskich, artystycznych i aktorskich), odkąd pamiętam i zawsze mnie wspierali. W szkole podstawowej miałam napisać wypracowanie

o osobie, którą podziwiam najbardziej. Napisałam o rodzicach i gdyby dzisiaj zadano mi ten sam temat, wybrałabym te same osoby. Nauczyli mnie honoru, empatii i poczucia humoru.

Sara O'Connor i Megan Thie. Bez nich nie byłoby tej powieści. Były pierwszymi czytelniczkami nowelki, z której zrodziła się powieść, dopytywały, co będzie dalej. Sara jest niewyczerpanym źródłem redaktorskich rad i słów wsparcia. I nie jest to ta druga Sara. To oryginał.

Jenny Savill. Wyraży wdzięczności dla Jenny, bo podała mi rękę, gdy leżałam w brudnym śniegu, i cały czas była prawdziwą przyjaciółką. Serdeczne podziękowania także dla wszystkich w Andrew Nurnberg Associates za wsparcie podczas jazdy na diabelskim młynie, jakim jest wydawanie książki.

Alvina Ling, Connie Hsu i wszyscy z Little, Brown, którzy uwierzyli w tę powieść i dopingowali mnie, by była jeszcze lepsza. Dziękuję im za to, że dzielili się ze mną swoim doświadczeniem. Wiele się od nich nauczyłam. Ale przede wszystkim dziękuję za troskę, jaką otoczyli debiutantkę.

Chciałabym także podziękować moim wykładowcom na kursie pisania kreatywnego w Goldsmiths College – są to Maura Dooley, Pamela Johnson, Blake Morrison i Susan Elderkin – za ich rady i inspirację.

Dziękuję także przyjaciółom z SCBWI, po obu stronach Atlantyku, którzy nadal mnie wspierają, zachęcają i inspirują: Karen Ball, Trish Batey, Ashley Dartnell, Emily Jeremiah, Vinicie Joseph, Carol Katterjohn, Broni Kicie,

Elizabeth Mercereau, Jasmine Richards, Kate Scott, Sandrze White, Pete'owi Wellingowi. I specjalne podziękowania dla Margaret Carey za konstruktywną krytykę tej powieści na różnych etapach jej powstawania i za to, że ciągle chciała do niej wracać.

Dziękuję babci. Za bajki na dobranoc i za to, że zawsze czułam się wyjątkowa.

I wreszcie dziękuję mojemu mężowi Paulowi. Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo go kocham i jak bardzo jestem mu wdzięczna. Jest moim natchnieniem, cheerleaderem, obrońcą, a także redaktorem, psychologiem, bohaterem i najlepszym przyjacielem.